

JAN MIERZANOWSKI

FOTOREPORTER

ul. Gen. Żelaznego 1 m. 42

01-518 Warszawa, tel. 39-66-37

PKO II O/M Warszawa

1528-60219-170-4

II/1609  
I TAK TO SIĘ ZACZEŁO

ARCHIWUM WSKRONIE

Jeszcze dzisiaj - po tylu , tylu latach - gdy przymykam oczy, niby wyrazista fotografia pojawia się w mej wyobraźni widok przypominający mi dzieciństwo. Polna droga wysadzona rosochatymi wierzbami, obramowana płytkimi rowami, porośniętymi murawą - a po obu jej stronach, jak okiem sięgnąć pola i łąki, jednej z najurodzajniejszych ziem na świecie - ziem Podola.

Wieleż to razy jechałem tą drogą na furce zaprzęgniętej w parę koni, bezpieczny w ramionach matki lub na ojcowskich kolanach. A gdy już miałem trzy latka i ojciec zezwolił mi potrzymać bat, byłem chyba najszczęśliwszym dzieckiem pod słońcem.

Droga prowadziła do miasta Winnicy, znanego z opowiadania Sienkiewicza, gdzie toczyły się zaciekle walki oddziałów Bohuna ze szlachtą polską. Po dobrej godzinie jazdy, gdy spoza horyzontu wykwitła w słońcu lśniąca, pękata kopuła wieży cerkiewnej , ojciec poprawiał się na desce, służącej za siedzenie, konie ruszały żwawiej, czując widocznie świeży obrok i zasłużony odpoczynek. Niebawem wjeżdżaliśmy w pierwsze zabudowania liczącej około siedmiuset "dymów" wsi. Małe Kruszliny. Towarzyszy mi ona po dziś dzień. Jej nazwę mam wpisaną w dowodzie osobistym w rubryce "miejsce urodzenia".

Wieś była spora, ale biedna. Większość zabudowań kryto słomą, z rzadka tylko widziało się domy czy budynki inwentarskie kryte dachówką lub blachą. Dość duża i bogata cerkiew prawosławna niewielka kaplica rzymsko-katolicka, sklepik i obowiązkowa karczma, było to wszystko godne uwagi w Małych Kruszlicach.

Ludność ukraińska i polska, w zgodzie i spokoju uprawiała pszeniczne pola, hodowała bydło i trzodę, dbała o pasieki.

Elektryczność jeszcze nie dotarła i wieczory mego dzieciństwa rozjaśniało ciągle światło lampy naftowej i świec. 2-hektarowe gospodarstwo moich rodziców i hektarowa działka przyzagrodowa otaczająca mały domek, wniesione jako wiano przez moją matkę, należało do najbiedniejszych we wsi. Ale ojciec Michał, nie zamykał rąk, tylko wyuczył się krawiectwa i pracując jednocześnie jako rzemieślnik, wiązał koniec z końcem. Świątek i piątek z pomocą matki uprawiał swoje 2-hektarowe pole, pielęgnował sad i hodował żywy inwentarz, a jednocześnie szył. Do późnej nocy świeciła w izbie lampa naftowa, terkotała maszyna do szycia, a skoro świt rodzice wstawali i zbierali się do nigdy nie dającej wytchnienia pracy w gospodarstwie. Mimo ciężkiej harówki oboje byli pogodni i zadowoleni ze swego losu.

W rok po ślubie przyszło na świat pierwsze dziecko - córeczka. Niestety radość <sup>w</sup>trała krótko. Marysia zmarła po dwóch tygodniach. Następnego roku lato było upalne i w miarę suche, a urodzaj w polu i ogrodzie znakomity. Trzeba było się dobrze zwijać, aby w porę zebrać z pola obfite plony i przygotować ziemię pod siew. Tego sierpniowego dnia 1921 roku skwar był niezwykły. Powietrze stało nieruchomo, było parno, nie było czym oddychać. Zanosilo się na burzę. Słońce zakryły ciężkie, ołowiane chmury, rolnicy szybko ściągali z pól. Wrócił ojciec. Nie bacząc na ulewę i grzmoty, zabrał się do oporzędzania bydła. Nie zajrzał nawet do chaty, gdy nagle poprzez szum deszczu i odgłosy burzy usłyszał krzyk dziecka. Rzucił wszystko i pobiegł do domu. Na progu przyjęła go "babka". Położyła palec na ustach i oznajmiła: " macie syna gospodarzu".

Ojciec, jak opowiadała mi potem matka, bardzo pragnął syna, długo przyglądał się swemu pierworodnemu, a potem powiedział: "urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą, twoje życie będzie lepsze i godniejsze od naszego".

Nadano mi imię Jan. Byłem zdrowym dzieckiem, miałem pogodne usposobienie, byłem spokojny i samodzielny. Z tych lat najwcześniejszych mego dzieciństwa zapamiętałem dobrze liczną rodzinę mojej matki, która zamieszkiwała tuż przez drogę. Byłem tam częstym i lubianym gościem. Dziadkowie i ciotki stale obdarowywali mnie różnymi łakociami, a wujek często majstrował mi zabawki - to wóz z zaprzęgiem, to znowu jakąś cudaczną zmyśloną maszynę.

Dziadek, który już nie wychodził do pracy w pole, wołał mnie często do kuchni, wyjmował z jakichś zakamarków metalowego, polskiego orzełka i zaczynał mi opowiadać o Polsce. Były to moje pierwsze lekcje historii ojczystej. Poznałem z tych opowiadań królów polskich, pierwszych Piastów i wielkich Jagiellonów, dowiadywałem się o latach sławy i potęgi Rzeczypospolitej, o latach klęsk i upadków. I jako mały dzieciak, w oparciu o dziadkowe gawędy, zaczynałem podświadomie kształtować swój światopogląd. Były to beztroskie lata. Mijały jednak szybko i bezpowrotnie. Gdy w sierpniu 1927 roku skończyłem sześć lat, po raz pierwszy wykazałem inicjatywę i upór.

Starszy ode mnie o dwa lata kuzyn, Józek szykował się do szkoły. Nie namyślałem się długo, tylko zacząłem szykować się razem z nim. Za uciulane grosze kupiłem sobie używany elementarz, zeszyty i ołówki. Nic nie mówiąc w domu, pierwszego września znalazłem się wraz z Józkiem w pierwszej klasie miejscowej, wiejskiej szkoły. Jej kierownictwo kazało mi się wynosić ze względu na mój wiek. Jednakże gdy zaniósłem się płaczem i za skarby nie chciałem opuścić szkolnej izby, po długich medytacjach zezwolono mi na pozostanie pod warunkiem, że moje postępy w nauce będą dobre. Gdybym nie podołał, zostanę skreślony z listy uczniów, aż do następnego roku szkolnego.



Zaskoczeni rodzice, gdy im oznajmiłem, że jestem już pierwszoklasistą, nie ukrywali swej dumy i zadowolenia, jednakże sceptycznie zapatrywali się na moje szkolne perspektywy. A przecież nie zawiodłem zaufania okazanego mi przez kierownictwo szkoły. Znalazłem się na liście wzorowych uczniów, a podczas szkolnej akademii z okazji święta 1 Maja wręczono mi nagrodę za dobre wyniki w nauce - książkę pt. "Wędrowniki kropli wody". Ojciec, który był na sali wraz z rodzicami moich koleżanek i kolegów, uściskał mnie serdecznie i szepnął mi coś na ucho. Ja jednak uszczęśliwiony wyróżnieniem i podniecony uroczystością chwili, wśród gwaru dzieci, nie zrozumiałem jego słów. Dopiero gdy wróciliśmy do domu, zobaczyłem w łóżku matkę z wrzeszczącym niemowlęciem. Już nie byłem jedynakiem. Przyszedł na świat mój brat Tadeusz, co pogłębiło moją radość z otrzymanej nagrody.

Wyřęczałem teraz często matkę w opiece nad Tadeuszem. Gdy była zajęta w polu lub w obejściu, zostawiała braciszka pod moją opieką. Tadeusz spał lub gaworzył w przyczepionej hakiem do sufitu kołysce, a ja czytając lekturę szkolną, nogą kołysałem malca.

Bardzo lubiłem przyrodę. Gdy tylko byłem wolny, wybiegałem na pola, pędziłem do pobliskiego lasu lub nad duży staw okolony płaczącymi wierzbami. Nad jego brzegiem gospodynie suszyły poustawiane w kopki konopie i bielili na słońcu płótno własnej roboty. Przed domem matka pielęgnowała piękne malwy i bzy, a w ogrodzie inne kwiaty i drzewa owocowe.

Wszystko dokoła żyło i cieszyło się z ciepłego majowego słońca.

W tymże pamiętnym dla mnie 1928 roku przeżyłem jeszcze dwa niezapomniane wydarzenia.

Do Małych Kruszeliniec przyjechało kino objazdowe. Nie przesadzę, jeśli powiem, że było to dla mnie wydarzenie na miarę

pierwszego lotu człowieka w kosmos. Już na kilka dni przed tym nie mogłem spać, nie uważałem na lekcjach, słowem - byłem kompletnie wytrącony z równowagi. Seans odbywał się późnym wieczorem w ogródku szkolnym. Wyświetlano jakąś komedię produkcji radzieckiej, której tytułu nie zapamiętałem. Film był niemy. Pod drzewem obsługa kina ustawiła przedpotopowy gramofon z wielką tubą, który przez cały czas wyświetlania filmu chrząkał jakieś melodie. Ja i moi rówieśnicy, a nawet i starsi z otwartymi ustami, w nabożnej ciszy śledziliśmy perypetie bohaterów filmu.

Po skończonym seansie churmem rzuciliśmy się do aparatu projekcyjnego, żeby zobaczyć, jak to się dzieje, że na ekranie wszystko się rusza i żyje. Ale niewiele nam się udało zobaczyć, a jeszcze mniej dowiedzieć. Obsługa w pośpiechu zwijała "kino" i nie zdradzała najmniejszej chęci do pogwarek z tłoczącą się dzieciarnią. Ani obejrzeliśmy się, gdy ciężarówka kina objazdowego ruszyła drogą, ciągnąc za sobą warkocz kurzu. Długo biegliśmy za nią, ale motor miał wyraźną przewagę nad naszymi nogami. Pozostawaliśmy coraz bardziej w tyle i w tyle, aż ciężarówka zniknęła za dalekim zakrętem. Kino odjechało, ale wrażenie zostało na długie dni, a wspomnienie pierwszego seansu filmowego na zawsze. Drugie pamiętne wydarzenie nastąpiło niebawem po wizycie kina objazdowego. Ojciec postanowił uwiecznić nas na fotografii. Była niedziela. Ojciec starannie wygolony, z wypomadowaną fryzurą, włożył paradne ubranie, matka wystroiła się jak mogła najlepiej, mnie również nakazano włożyć odświętne granatowe ubranko. W takiej niecodziennej gali pojechaliśmy do pobliskiej Winnicy. Ojciec zatrzymał furkę przed zakładem fotograficznym. W małej gablocie zakładu wisiało mnóstwo zdjęć: z portretów, zdjęć ślubnych i rodzinnych, niezwykle dostojnie i jednocześnie tępo, bez śladu uśmiechu, patrzyły na mnie nieznajome twarze.

Ojciec otworzył oszklone drzwi prowadzące do zakładu , zadzwonił trącony drzwiami dzwoneczek i jak za naciśnięciem sprężyny zza kotary wewnątrz pomieszczenia wyszedł fotograf. W długim, czarnym chałacie, z pejsami wysuwającymi się spod jarmułki. Witał nas jak wytęskniona dziewczyna witałaby niewątpliwie dawno niewidzianego ukochanego.

Na środku pomieszczenia stał trójnog, a na nim kwadratowa skrzynia, zwana fotoaparatem, przykryta płachtą połyskliwej satyny. Fotograf długo sadowił nas przed fotoaparatem, przesadzał raz, przesadzał drugi, jak prawdziwy artysta "komponował" zdjęcie. Wreszcie gdy uznał, że wszystko już jest w porządku i lepiej być nie może, że ściany za fotoaparatem rozblysnęły matowe żarówki. Było ich ze czterdzieści, albo i więcej. Światło było tak silne, że zmrużyłem oczy. Zmartwiło to najwidoczniej fotografa. Aj, aj ! - cmoknął kilkakrotnie - kawaler zamknął oczy. I jaka to będzie fotografia z zamkniętymi oczami ? Jak kawaler nie będzie mrugał, to zobaczy ptaszka.

Stanął za fotoaparatem, podniósł lewą rękę, a prawą zdjął pokrywkę z obiektywu i zawołał:

- Uwaga ! Raz, dwa, trzy ... ! I po wszystkim.

Po raz pierwszy w życiu utytułowany kawalerem czułem się bardzo dumny i ważny, a jednocześnie zawiedziony. Mimo, że nie mrugałem nie zobaczyłem żadnego ptaszka.

Niebawem fotografia ozdobiła ścianę naszego pokoju. Wizyta u fotografa była niewątpliwie przeżyciem, ale bakcyła fotografii połknąłem znacznie później.

Była to niezapomniana wiosna 1928 roku, w całym Związku Radzieckim rozpoczęto podział klasowy. Dzielono na bogaczy, których nazywano wrogami klasowymi, średniaków - którym ledwo wystarczało



związać koniec z końcem aby utrzymać rodzinę i biedota - która nie posiadała i utrzymywała się z zarobków u innych lub z jałmużny. Ten podział przyjął się również na wsi, bogaczy nazywano kułakami, którzy byli sprytniejsi w gospodarowaniu, im właśnie po prostu odbierano gospodarkę, a ich wraz z rodziną wysyłano do innych rejonów Związku Radzieckiego, aby tam zaczęli gospodarować od nowa. Ich gospodarki przekazywano biednym bez żadnego przygotowania do prowadzenia tych gospodarstw. Po kilku latach gospodarka uległa całkowitej ruinie. Ojciec mój należał do średnio rolnych, ponieważ posiadał zaledwie dwa hektary<sup>e</sup> ziemi ornej i miał niedowład lewej nogi. Ale w krótkim czasie pracując w swoim zawodzie krawieckim, zdobył trochę grosza i pobudował nowe zabudowania gospodarcze, stodołę, chlewnię, gdzie mieściło się parę koni, krowa, trzoda chlewna i kurnik, oraz wymurował piwnice do przechowywania na zimę ziemniaków, jarzyn i owoców. Trzeba przyznać, że robotnicy jak i rolnicy polskiego pochodzenia wyróżniali się swoją zaradnością wśród reszty społeczeństwa. Następnym etapem na wsi było organizowanie spółdzielczości produkcyjnej. Pierwszym inicjatorem była biedota wiejska, dlatego też odbywało się to w dziwny i chaotyczny sposób. Widać było jak chłopci sprowadzali swój żywy i martwy inwentarz, to znowu w pośpiechu odbierali go z powrotem, tylko ci, którzy nie mieli co dawać i odbierać prowadzili agitację <sup>i zachęcały</sup> ~~do wstępowańia~~ do wspólnoty rolniczej.

Ojciec mój przyglądał się temu wszystkiemu, ale niespieszno mu było niszczyć swego ciężko zapracowanego dorobku. To też z zazdrości obciążono go dużymi podatkami, których nie był w stanie wypłacić. Wtedy jako równoważnik zabrano i rozebrano nowe zabudowania gospodarcze i rozdano na opał nierobom. Wtedy ojciec opuścił wieś i zaangażował się jako pracownik fabryki krawieckiej

w mieście powiatowym Winnica. Matka z dwojgiem dzieci pozostała na wsi aby dalej gospodarować przy pomocy zarobionych przez ojca pieniędzy. Ojciec w każdą sobotę przychodził, aby odwiedzić rodzinę i pomóc matce w gospodarowaniu.

Kiedy miałem już dziesięć lat nie pamiętam już z jakiej okazji, otrzymałem od wujka prawdziwy korkowiec, który budził prawdziwą sensację wśród kolegów. Jeden z nich, posiadacz skrzynkowego aparatu fotograficznego, tak się rozpałił do mego korkowca, że zaproponował wymianę. Ja mu dam korkowiec, on da mi w zamian swój aparat. Nie namyślałem się długo i tak oto zostałem posiadaczem pierwszego aparatu fotograficznego.

Konstrukcja aparatu była niesłychanie prosta. W przedniej ścianie posiadał on pojedynczą, dwuwypukłą soczewkę, a prostokątna skrzynka dzieliła się na dwie części. Do tylnej części wkładało się światłoczułą szklaną płytkę o rozmiarach 4,5x6 cm i przyciskało przednią <sup>część</sup> ścianką skrzynki. Po załadowaniu aparatu, zdjęcia dokonywało się na czas przez zdjęcie czapeczki nałożonej na występującą ze skrzynki obudowę soczewki. Podobnie jak prymitywny był ten mój pierwszy aparat, tak i zdjęcia były bardzo słabe pod względem technicznym. Nie można było ustawić ostrości obrazu na matówce i trzeba było z konieczności wykonywać zdjęcia przedmiotów znajdujących się tylko na odległości 3-4 metrów, co niesłychanie ograniczało możliwości "fotografa".

Pierwsze zdjęcie, jakie dokonałem tym aparatem, to była grupa kolegów szkolnych. Zdjęcie nie było ostre, postacie wyszły zamazane, mimo to w szkole zrobiło sensację. Naturalnie zrobiłem "portrety" ojca, matki, brata, którzy zapewne przez grzeczność bardzo się nimi zachwycali. Próbowałem również fotografować pejzaż, ale były to przeważnie próby nieudane.



Aby ułatwić organizację spółdzielczości na wsi w 1932 roku wyszła ustawa o tym, że cała ziemia przechodzi na własność spółdzielni produkcyjnych, pozostawiając rolnikom zaledwie nieduże działki przyzagrodowe. Zaistniała potrzeba zgromadzenia zapasu nasion do wykonania planu zasiewu, rolnicy częściowo oddali dobrowolnie nasiona do wspólnego gospodarstwa. Jednakże było to wszystko za mało i w tym celu powołano specjalne brygady i często zostawione zboże na wyżywienie rodziny zabierano bez porozumienia z właścicielem.

Przyszła wiosna 1933 roku. Zboża odebrane rolnikom znalazło się pod namiotami na wolnym powietrzu, <sup>zamokłe zboże</sup> ~~zamokłe~~ uległo całkowitemu zniszczeniu. Nie było czym zasiać i nie było co jeść. Na całej Ukrainie zapanował straszny głód, zjadało się wszystko : konie, psy, koty a nawet zdarzało się, że zjadano nieboszczyków. Na rynku sprzedawano ludzkie mięso. Sąsiad który mieszkał po drugiej stronie ulicy, zjadł nie tylko naszego konia, ale <sup>także zmarłego swego</sup> ~~gdy zmarł mu syn. to~~ ~~ugotował go i zjadł~~. Matka moja, aby ratować życie chodziła do lasu zrywała lipowe liście, suszyła i po utarciu piekła z tego placki na parafinie. Ojciec pracował nadal w fabryce krawieckiej, odwiedzając nas raz w tygodniu. Przynosił trochę zaoszczędzonego chleba, który dostawał na kartkę - 400 gram dziennie. Zdarzało się ojcu zdobyć, w długiej kolejce, paczkę pierników, zwanych "czubryki", to już był naprawdę rarytas.

W krótkim czasie ojciec przeniósł się z pracą do szpitala dla nerwowo chorych i pracował w charakterze instruktora krawieckiego, gdzie miał zapewnione całodzienne utrzymanie i zamieszkanie w hotelu robotniczym.

Ja w tym czasie byłem w szóstej klasie szkoły podstawowej, ale nauczanie było bardzo ciężkie, ponieważ wykorzystywano nas do różnych robót w polu spółdzielni produkcyjnej, a naukę zaniedbywano.

Ponieważ z gospodarstwa naszego pozostało niewiele, pozostawiłem matkę z sześciolatkiem Tadeuszem i poszedłem paść krowę do siostry matki w sąsiedniej wsi Hawryszówce. Gospodarka ciotki była jeszcze jako tako utrzymana i była jeszcze krowa, jedyna żywicielka rodziny. Mimo tego, że warunki życia były lepsze od domowych to głód jednak dokuczał do tego stopnia, że wraz z innymi kolegami zorganizowaliśmy dojenie krów na pastwisku i dożywialiśmy się. Nie trwało to długo, bo już po kilku dniach gospodarze wykryli nasze przestępstwo i wymówiono nam pracę.

W końcu sierpnia 1933 roku ojciec po otrzymaniu samodzielnego mieszkania na terenie szpitala zabrał mnie i Tadeusza do siebie, pozostawiając na wsi matkę. Ja szycowałem się do siódmej klasy, a Tadeusz do pierwszej, ale spotkało nas wielkie nieszczęście. Tadeusz wycieńczony głodem zachorował na zapalenie płuc i mimo troskliwej opieki lekarskiej we wrześniu 1933 roku o godz. 42 w nocy zmarł na rękach matki. ~~Zaczęło się zupełnie inne życie.~~

Miasto Winnica było niewielkie, ale nie do porównania ze skromnymi chałupkami Małych Kruszyniec. Tu było mnóstwo ulic i uliczek, gęsto zabudowanych, jasno otynkowanych domków, które posiadały po dwa, <sup>nawet</sup> ~~ba~~ i po trzy piętra, a także obszerny brukowany rynek. Miasto przecinała błękitna wstęga rzeki przez którą przetrzucono most łączący oba brzegi. Właśnie przy tym moście, na który lubiłem chodzić, obrał sobie stanowisko uliczny fotograf. Był to staruszek, siedział sobie na małym taboreciku, a obok stał aparat fotograficzny w postaci czarnej skrzynki z długim rękawem, obok zaś deska ze zdjęciami w serduszku, gwiazdce lub pod wiatrakiem namalowanym na płachcie, którą fotograf rozpinał na żądanie swoich klientów. Wykonywał zdjęcia w ciągu 5 minut i jeszcze wilgotne wręczał właścicielom.



Podglądałem jego pracę, a że staruszek był bardzo przystępny i gadatliwy, prawdopodobnie nudziło mu się, gdy nie miał klientów. Zaprzyjaźnił się ze mną, w przeciągu tygodnia poznałem wszystkie jego tajemnice, prócz jednej. Nie potrafił mi wytłumaczyć, dlaczego obraz na matówce fotoaparatu widzi się do góry nogami. Sam tego nie wiedział. Jednakże sam aparat, wywoływanie zdjęć, wszystko to szalenie mnie interesowało, a pracę mego przyjaciela fotografa uważałem za godną zazdrości. Nie raz też w marzeniach widziałem siebie ze skrzynkowym aparatem na statywie, robiącym ludziom piękne zdjęcia. Niewątpliwie taka praca była urzekająca. Poznawało się wielu ludzi, którzy chcieli utrwalić swe podobizny i odnosili się do fotografa z wielkim szacunkiem, a przy tym wszystkim można było wcale nieźle zarobić. Niemniej jednak aparat pochłaniał mnie bez reszty. Ojciec, pracujący wówczas w szpitalu, wracając z nocnej zmiany, często zastawał mnie śpiącego pod stołem osłoniętym dookoła kocami. Tak wyglądało moje pierwsze laboratorium fotograficzne.

Jak powiada znane przysłowie, apetyt przychodzi w czasie jedzenia. Tak też i ja byłem coraz mniej zadowolony ze swego aparatu i zacząłem myśleć o aparacie, z którego mógłbym wykonywać lepsze zdjęcia. Ba, ale nie należałem do rodziny krezusów, wprost przeciwnie - w domu nigdy się nie przelewało, a aparaty fotograficzne były wówczas bardzo drogie. Upłynęło wiele czasu. Minęło już półrocze siódmej klasy szkoły podstawowej. Tymczasem w okresie ferii zimowych ojciec zachorował i został umieszczony w miejscowym szpitalu. Matka powierzyła mi wtedy prowiantowanie domu. Cały mój spryt i przemyślność wykorzystywałem wówczas na to, by jak najtaniej nabywać rozmaite produkty i w ten sposób uciulałem sobie niewielkie "koszyczkowe". Zaoszczędziłem również na kupnie podręczników do klasy VIII - mej, kupując od starszych kolegów podręczniki używane.



Teraz miałem pewien "kapitał", daleki jednak od tego, bym sobie mógł pozwolić na kupno nowego aparatu.

Nabyłem jednak trochę materiałów fotograficznych, soczewkę wkłęsłowypukłą o ogniskowej 10 cm i z właściwym sobie uporem, przy pomocy nauczyciela fizyki, zacząłem kleić aparat fotograficzny własnej produkcji. Był on podobny do poprzedniego z tą jednak różnicą, że miał format 6x9 cm, w tylnej ściance posiadał matówkę i miejsce na kasetę ze szklaną kliszą, a obie części aparatu były ruchome i pozwalały na ustawianie ostrości obrazu na matówce.

Jednakże by zrobić lepsze zdjęcia i stać się prawdziwym fotografem, nie wystarczał lepszy aparat. Niezbędne były jeszcze podstawowe wiadomości z zakresu fotografii. W sklepie z artykułami sportowymi, który zajmował się również sprzedażą materiałów fotograficznych, dawno już zauważyłem książkę pt. "Vademecum fotografa - amatora". To było to, czego potrzebowałem. Ale na kupno książki, dosyć drogiej, nie było mnie stać. Toteż zawsze po skończonych lekcjach, zamiast wracać prosto do domu, zachodziłem do sklepu z artykułami sportowymi i udając, że chcę coś kupić, przeglądałem upragnioną książkę. Po kilku wizytach w sklepie zauważyłem, że sprzedawca, młody człowiek, obserwuje mnie dyskretnie. Zapewne był przekonany, że chcę podwędzić coś ze sklepu. Gdy jednak moje wizyty powtarzały się regularnie, a jego przewidywania nie sprawdziły się, nawiązał ze mną rozmowę.

- Interesuje cię ta książka ? - zapytał,  
Byłem zaskoczony i speszony. Potwierdziłem nieśmiało.

- A może jesteś fotografem ? - znowu zapytał sprzedawca, uśmiechając się przy tym życzliwie.

I tak zaczęła się nasza znajomość. Okazało się, że Kola również interesuje się fotografią. W sklepie nie było dużego ruchu

i nasza rozmowa przedłużała się, a jej finał zaskoczył mnie całkowicie. Kola podarował mi wymarzoną książkę. Gdy opierałem się przed przyjęciem nieoczekiwanego upominku, powiedział:

- Nie certuj się, jak panienka. Bierz i już. Jak się dorobisz majątku na swoich zdjęciach, oddasz mi.

Wetknął mi książkę pod pachę, a ja uszczęśliwiony, nie dziękując nawet z przejęcia, jak na skrzydłach pomknąłem do domu. Ale nie ma róży bez kolców. Teraz wyłonił się przede mną nowy problem. Jak pokazać ojcu, który już wrócił ze szpitala, nowy aparat i książkę? Nie namyślając się długo, wziąłem gazetę, zawinałem w nią aparat, książkę i dla niepoznaki jeszcze jakąś moją starą zabawkę.

Ojciec był w domu.

- A, już jesteś - odezwał się na mój widok - Męczą was w tej szkole, oj, męczą! Chyba mieliście dziś ze dwanaście lekcji. A co tam taszczysz pod pachą?

Rozwinąłem mój pakunek.

- Popatrz tato co znalazłem na ulicy - powiedziałem bez przekonania

Ojciec uważnie obejrzał aparat i nowusienką książkę, a najdłużej oglądał nieszczęsną zabawkę.

- No, no, no! - mówił kiwając głową. - Ot, szczęściarz z ciebie nie lada. Znalazłeś, powiadasz. No, no ...! I tę zabawkę też znalazłeś. A ja ją skąciś znam. Wujek ci taką samą kiedyś podarował. Nie dało się nabrać ojczysko na moje, naiwne zresztą kłamstwo. Musiałem przyznać się, jak to mówią, bez bicia. Obtańcował mnie ojciec zdrowo, a potem wręczył mi pieniądze i kazał natychmiast zanieść do sklepu.

Książka bardzo mi się podobała. Gdy przestudiowałem ją od deski do deski, jakoś moich zdjęć bardzo się poprawiła.

Coraz częściej zaczęły się pojawiać w szkolnych gazetkach ściennych, a koledzy i koleżanki ~~zaczęli~~ kupowali materiał fotograficzny i zapraszali mnie na wycieczki, imieniny czy inne uroczystości, by robić im pamiątkowe zdjęcia. Nasz album rodzinny również wzbogacił się o kilka zupełnie udanych fotografii. Ale mój nowy aparat miał jedną poważną wadę. Zabierał mi dużo czasu, czego skutki nie kazały na siebie długo czekać. W moim dzienniczku szkolnym coraz częściej zaczęły się pojawiać słabe lub wręcz niedostateczne stopnie. Toteż pewnego dnia ojciec, po ostrej ze mną rozmowie, zamknął aparat pod klucz i zabronił mi zajmować się fotografią. Było to dla mnie tragiczne przeżycie,, jednakże, nie chcąc się sam przyznać przed sobą, zdawałem sobie sprawę, że ojciec, choć surowo, postąpił dobrze i słusznie. Tak więc na kilka miesięcy moja pasja do fotografii poszła w odstawkę, a ja, nolens volens, zabrałem się do nauki.

Kiedy w czer<sup>wcu</sup> z dumą pokazałem ojcu świadectwo ukończenia szkoły podstawowej z dobrymi i bardzo dobrymi ocenami, ojciec sięgnął po klucz, by oddać mi upragniony aparat fotograficzny. I tu mnie zatkało. Nie był to aparat wykonany przeze mnie, ale bardzo nowoczesny aparat marki "Fotokor" 9x12 cm z obiektywem o otworze względnym 1:4,5 w skórzanym futerale, ze statywem, lampą ciemniową i kuwetami. Ojciec, który wiedział z wywiadówek o moich dobrych postępach w nauce, poinformował się u zawodowego fotografa jaki zakupić aparat i sprzęt do niego, by zrobić synowi miłą niespodziankę. Rzeczywiście, była to wspaniała niespodzianka. Niewiele chyba przeżyłem potem podobnych, radosnych chwil. Ucałowałem ojca z całego przepełnionego wdzięcznością serca i właśnie wtedy narodziła się we mnie myśl, by zostać fotografem. Ale nie takim zwykłym, co to fotografuje codziennie pary ślubne i robi



tuzinami szablonowe zdjęcia rodzinne, ale fotoreporterem, którego fotografie nie zamkną się w albumach rodzinnych, lecz chwytając na gorąco ciekawe wydarzenia z życia i pracy narodu rozejdą się szeroko po świecie, będą publikowane w gazetach i tygodnikach, będą niosły ludziom nowe wartości i zbliżały ich do siebie.

Aparat mojej konstrukcji przekazałem szkole do gabinetu fizycznego, a nowym aparatem fotografowanie rozpocząłem od autoportretu.

Na jesieni 1934 roku otrzymaliśmy nowe mieszkanie, pokój z kuchnią, gdzie natychmiast przystąpiłem do budowy sobie laboratorium fotograficznego. Ojciec był bardzo troskliwy o mnie, a nawet można powiedzieć rozpieszczał mnie, toteż nigdy mi nie żałował pieniędzy na zakup nowego sprzętu i literatury fotograficznej. Będąc uczniem VIII klasy organizuję przy szkole koło fotograficzne, które prowadzę aż do ukończenia szkoły średniej. Zdjęcia moje i moich współuczestników ilustrowały gazetki szkolne, a także ukazywały się w prasie młodzieżowej. Z tego tytułu miałem duże uznanie i popularność nie tylko w Dyrekcji szkoły, ale i wśród koleżanek i kolegów.

Po ukończeniu szkoły średniej w maju 1937 roku stanąłem przed komisją egzaminacyjną w Moskwie, aby zostać absolwentem zaocznego fakultetu fotosistów Wszechzwiązkowego Państwowego Instytutu Kinematografii. Właśnie wtedy poznałem ludzi, których nazwiska były mi znane tylko jako autorów literatury fotograficznej, używanej do nauki. Byli to: ob.ob. Mikulin, Jasztołd, Howorko, Bunimowicz, Sielewiorstow, Siedow i Łukjańczikow.

Gdy nawiązałem rozmowę z ob. Mikulinem i zapytałem, czy to przyjemnie jest napisać książkę ? odpowiedź brzmiała następująco:

" Przyjemność nie polega na tym, aby napisać książkę, lecz polega na tym, aby swoje umiejętności i wiedzę zdobytą w przeciągu szeregu lat przekazać innym".

Ta odpowiedź dodała mi jeszcze większego bodźca i większej zachęty do pracy. Zacząłem studiować dużo literatury fachowej z dziedziny fotografii i od samego początku było moim marzeniem napisać książkę, która mogłaby służyć pomocą w pracy innym.

We wrześniu dostałem pierwszą przesyłkę z Moskwy, która zawierała powiadomienie, że zostałem zaliczony w poczet absolwentów, i materiały do nauki. Była tam między innymi książka Mikulina 25 wykładów o fotografii i kompozycja obrazu fotograficznego znanego reżysera Hołownia.

Miałem własne laboratorium oraz niezbędny sprzęt fotograficzny, układałem sobie na podstawie metodycznych wskazówek uczelni plan pracy i zabrałem się do nauki.

ii \* 10 lat dalekich łabowów bez prawa pisania listów.

Czasy były bardzo ciężkie, u steru władzy był Josif Wisarionowicz Stalin, który był opiewany w piosenkach, studiowano na wszystkich uczelniach jego życiorys jako przedmiot obowiązkowy. Uwielbiano jego imię jak Boga, który stworzył ludziom "raj" na ziemi, ale szerzyły się również represje, znikali ze stanowisk wybitni ludzie tacy jak : Jan Blucher, Tuchaczewski, Kirow, jak również miliony zwykłych obywateli niewinnie skazywano na karę śmierci i obozy pracy, posądzając o zdradę jako wrogów narodu radzieckiego.

Do władzy w 1937 roku w organach bezpieczeństwa doszedł Jeżow, który by przypodobać się naczelnemu wodzowi rozpoczął akcje masowych aresztowań. Był bez pardonu w stosunku do mniejszości narodowej, nazywając swoją akcję "Jeżowymi rękawiczkami".

Powołano <sup>l</sup> (rejonowe) tak zwane "trójki" organów NKWD do wydawania wyroków i wykonywania natychmiastowej egzekucji. Ja zamieszkiwałem razem z ojcem. Byłem już absolwentem Zaocznego Fakultetu WPIK w Moskwie, matka w dalszym ciągu zamieszkiwała we własnym domku na wsi, aby uprawiać przyzagrodową działkę. Pod koniec roku rozpoczęły się coraz częściej aresztowania w mieście Winnicy. Najpierw aresztowano zastępcę naczelnego lekarza, polaka, doktora nauk psychologicznych Szczawińskiego, po paru dniach nauczyciela matematyki i mojego byłego wychowawcę klasowego Jana Wanseckiego. Powodu aresztowania nie było, ale podejrzewano szpiegostwo. Wśród społeczeństwa było duże zdziwienie, ponieważ byli to ludzie o nienagannej opinii w pracy zawodowej i społecznej, ale nikt nie odważył się powiedzieć prawdy.

Dnia 23 grudnia 1937 roku o godzinie drugiej w nocy zapukano do naszych drzwi. Ojciec zapytał kto tam? Odpowiedziano, że kontrola dokumentów. Ojciec otworzył, weszło dwóch mężczyzn, jeden w mundurze NKWD, a drugi po cywilnemu. Mundurowy stał przy drzwiach, a cywil poprosił ojca o dowód osobisty. Kiedy cywil trzymał już dowód w rękach, zapytał ojca o nazwisko, a po odpowiedzi nawet nie zajrzał do dowodu, kazał ojcu wziąć bieliznę i iść z nimi. Był koniec miesiąca i niewiele zostało pieniędzy, które ojciec zabrał ze sobą. Ja tłumaczyłem ojcu, że to napewno jakaś pomyłka, ale to nie była pomyłka.

Pewna grupa "zaufanych" otrzymała pismo oficjalne z NKWD, aby wyznaczyć kontygent ludzi do aresztowania. I tak było, nastąpiły aresztowania wielu osób z mojej rodziny dalszej, dlatego, że byli polakami. Brat mojej matki Dominik był analfabetą i mieszkał na wsi, ale jak mówiono aresztowano go, bo brakowało do kontygentu.

Zbliżała się wigilia Bożego Narodzenia. Lubiłem atmosferę



przedświąteczną, kiedy to przygotowuje się do uroczystej wieszery. Wszyscy są dla siebie mili, nastrój ludzi jest pogodny. Dokonuje się wielkich zakupów, "latając" po mieście w poszukiwaniu prezentów. W domu każdy zajęty jest sprzątaniem i gotowaniem, aby na stole nie zabrakło żadnej tradycyjnej potrawy. Odbywa się także generalna kąpiel domowników, a nawet zwierząt. W naszym domu cały ton świętu nadawała matka, była bardzo wierząca i przywiązywała ogromną wagę do świąt i tradycji. Na stole wigilijnym nakrytym białym obrusem poza opłatkiem nigdy nie brakowało barszczu z uszkami, ryby w różnych postaciach, racuszków, klusek z makiem, jak również kuti z miodem. Potraw tych powinno być co najmniej trzymaście, a gdy zbliżała się ciemna noc rozjaśniona świecami i kolorowymi lampkami na choince, stwarzało w sumie wigilijny uroczysty nastrój. Przy suto zastawionym stole zawsze znajdowało się jedno, zapasowe nakrycie dla niespodziewanego gościa. Ojciec zawsze pierwszy brał opłatek i łamał się z matką, a następnie z resztą domowników, życząc im szczęśliwego życia i zdrowia. Po wzajemnym złożeniu sobie życzeń, zasiadano do wspólnej kolacji. Kiedy zbliżała się godzina 12 w nocy, wszyscy wybieraliśmy się na pasterkę do miejscowego kościoła.

Wigilia i Boże Narodzenie to czas kiedy na świat przychodzi Zbawiciel, czas który przybiera zupełnie inny, uroczysty nastrój, w którym każdy człowiek może żyć nowym życiem. Wigilia jest bardzo smutną uroczystością, kiedy zabraknie przy stole kogoś bliskiego. Tak się stało właśnie 24 grudnia 1937 roku.

Ojciec postarał się, aby w domu pachniało lasem, żeby choinka stała w kącie, pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Pod choinką leżały także zagadkowe upominki świąteczne i opłatek jak przystoi dla katolickiej rodziny. Ciasto i inne smakołyki matka

miała przywieźć ze wsi. Kiedy ojciec odchodził, poprosił o zezwolenie na połamanie się ze mną opłatkiem. Widocznie czuł, że jest to ostatni raz i Święta Bożego Narodzenia spędzi w celi więziennej.

Pozwolono nam się pożegnać. Ojciec poszedł do choinki, ułamał kawałek opłatka, przeżegnał się przed obrazem Matki Najświętszej i podszedł do mnie podając opłatek, jak to robił zawsze.

Dzieląc się opłatkiem obaj włożyliśmy go do ust i zamarliśmy w objęciach. Nie wiem jak długo trwaliśmy w tym stanie, aż cywil oderwał mnie od ojca i kazał mu wychodzić. Odciągając mnie od ojca ów cywil spojrzał na mnie bardzo żalnym wzrokiem, jakby wszystko rozumiał, ale wykonywał jedynie rozkaz przełożonych.

Po zamknięciu drzwi przez mundurowego, upadłem nieprzytomny na podłogę, a kiedy doszedłem do siebie myślałem, że to taki straszny sen. Jednakże była to prawda.

Do wschodu słońca klęczałem pod choinką i modliłem się, zalewając się łzami, aby zwrócono mi ojca. Kiedy słońce zaczęło osuszać resztki moich łez, nawiedziły mnie różne myśli. Jednego nie mogłem zrozumieć, że w państwie gdzie propaganda aż huczała o sprawiedliwości społecznej i internacjonalizmie, może dziać się tyle zakłamania i niesprawiedliwości.

Matka na wigilię nie przyszła, ponieważ mimo słonecznej pogody, zima w tym roku była bardzo sroga. Zasy śnieżne były tak duże, że nie można było przejść przez ulicę. Matka wiedziała, że ojca aresztowano, ponieważ NKWD najpierw było po niego we wsi, gdzie był wytypowany przez gorliwców stalinizmu. Więc wigilię spędziłem sam, nie wychodząc z domu czekałem na powrót ojca.

O godzinie 12 w nocy powitałem modlitwą i łzami Boże Narodzenie. Noc była długa i bezsenna. Dopiero w pierwszy dzień świąt, w porze obiadowej odwiedziła mnie sąsiadka, babcia mojego kolegi, która

mieszkała w tym samym domu i przyniosła talerz zupy. Byłem głodny, ale nie przechodziła mi zupa przez gardło, a do talerza jak groch padały łzy. Nie mówiłem nic, nie słyszałem co mówiła sąsiadka. Wiem tylko, że współczuła mi, a przy wyjściu powiedziała, abym poszedł do pracy ojca,, to może wypłacą mi należne ojcu pieniądze.

Na drugi dzień, kiedy przetarto ścieżki, poszedłem jak doradzała sąsiadka, ale niestety, jeszcze wyśmiano mnie, że syn wroga narodu dopomina się pieniędzy. Z tym wróciłem do domu i znowu odwiedziła mnie sąsiadka ze szklanką gorącej herbaty, doradzając jednocześnie aby wyjechać jak najprędzej z Winnicy, ponieważ może mnie spotkać taki sam los jak ojca.

Było mi wszystko jedno, ale trzeba było jakoś żyć. Trzeciego dnia sąsiadka już nie zapukała. Na dworzu było mroźno, ale śnieg już nie padał. Wyszedłem aby odwiedzić kolegę, również Polaka, którego ojciec pracował jako główny księgowy, ale i jego dom spotkało takie samo nieszczęście. Wracając do domu zauważyłem jak na zaspie śnieżnej wiatr coś czerwonego trzepotał. Od razu pomyślałem, że może to są pieniądze i czym prędzej, na czworaka zacząłem zdobywać szczyt śnieżnej góry. Po dotarciu do mety, okazało się, że rzeczywiście był to banknot trzydziestorublowy. To już dziesięć obiadów w stołówce robotniczej.

Mając już pewne zasoby finansowe, wybrałem się do stołówki na obiad. W czasie posiłku podszedł do mnie kolega ojca, Antek galiczanin, szewc z zawodu i zapytał : co ojca aresztowali ? kiwnąłem milcząco głową, ale za co ? - dodał dalej , - wzruszyłem ramionami i łzy znowu posypały się do talerza. Uścisnął mnie za ramię i wsunął do kieszeni mojej marynarki banknot sturublowy.

Studiując zaocznie, mogłem podjąć się jakiejś pracy, aby zarobić sobie na życie, będąc już zaawansowanym fotoamatorem zgłosiłem się do powiatowego zarządu "Ukrfoto", ale kiedy



opowiedziałem o aresztowaniu ojca, odmówiono mi pracy. Chodziłem po wszystkich zakładach fotograficznych, ale wszędzie wruszano ramionami, byłem przecież synem "wroga narodu". Kiedy zgłosiłem się do zakładu fotograficznego w którym wykonano mi pierwsze zdjęcie z rodzicami, zastałem tego samego fotografa- Janowskiego. Już nie był w czarnym chałacie, a na głowie zostało już niewiele posiwiałych włosów, to jeszcze po mowie poznałem staruszkę. Przywitał mnie jak zwykle, ale kiedy ujawniłem mu swój cel, westchnął i powiedział, że "żał mi ciebie". Doradził abym poszedł do urzędu NKWD i przyniósł od nich papierek że może przyjąć mnie do pracy w charakterze ucznia.

Tak zrobiłem, ale spotkało mnie następne rozczarowanie. Kiedy wszedłem do pięknego gmachu urzędu NKWD i podszedłem do okienka z którego wyglądał młody oficer.

Zacząłem znowu od początku opowiadać w jakiej znalazłem się sytuacji, ale kiedy poprosiłem o skierowanie do pracy, młody oficer podrapał się po głowie, udając zakłopotanie i odpowiadając że żadnego skierowania nie dostanę. Po tej odpowiedzi krew uderzyła mi do głowy i zadałem mu jeszcze jedno pytanie.

- To właściwie co ja mam robić ?

- Wyjść na ulicę i rzucić się pod tramwaj !.

W tym momencie oficer wstał i prawie krzykiem odpowiedział :

- To twoja sprawa ! i zamknął mi przed nosem okienko.

I znowu w oczach pojawiły się łzy, aż byłem na siebie zły, bo wiedziałem, że łzy tu nic nie pomogą. Wytarłem rękawem oczy i wyszedłem na ulicę. Kiedy wróciłem do domu czekała na mnie matka, ponieważ miała zapasowy klucz do mieszkania.

Po trzech dniach dowiedziałem się, że kolegę ojca - Antka, również aresztowano, a po dwudziestu dniach, 12 stycznia 1938 roku

otrzymałem zawiadomienie tej treści: „Mierzanowski Michał s. Kazimierza został osądzony przez trójkę sędziowską i otrzymał wyrok 10 lat dalekich taborów bez prawa pisania listów.”

Takie zawiadomienie było równoznaczne wymiarowi kary śmierci. Orzeczenia takie otrzymywali wszyscy aresztowani i wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że oznaczało to wykonanie wyroku na miejscu przez rozstrzelanie. Zrozumiałem i ja, że ojca już nie zobaczę i trzeba ratować siebie.

Sytuacja była beznadziejna, wróciłem do matki, ale studiów nie przerwałem. Matka namawiała mnie, aby skorzystać z zaproszenia Instytutu Kinematografii i wyjechać do Moskwy.

W maju 1938 roku miały rozpocząć się miesięczne zajęcia praktyczne, aby zaliczyć pierwszy rok nauki. Były dosyć poważne trudności finansowe, wtedy matka by ratować moją sytuację sprzedała świnę, którą karmiła na wsi i wszystkie pieniądze - 700 rubli, oddała mi na podróż. 10 maja 1938 roku o godz. 9 rano pociągiem pospiesznym wyjechałem ze stacji Winnica w kierunku Moskwy. Na dworcu wyglądałem matki, która miała przyjść na pożegnanie, ale kiedy pociąg ruszył widziałem ją na przejeździe kolejowym jak stała przy szlabanie i płakała. Pomachałem jej ręką z okna, ale przez łzy nie zauważyła. Widziałem doskonale, jak ciężko jej było sprzedać przychówek, ale pozostając w domu o chlebie i wodzie była szczęśliwa, że zrobiła wszystko aby mi pomóc. Przez cały dzień pasażerowie zmieniali się na każdej stacji, a kiedy przekroczyliśmy granicę republiki Ukraińskiej w wagonie zostałem tylko sam, ponieważ na przejazd z republiki do republiki koniecznym było mieć specjalne zezwolenie odpowiednich władz. I tak samotna podróż trwała aż do czasu kiedy pociąg zaczął się zbliżać do Moskwy. <sup>Przystanków</sup> ~~Stacji~~ było mało, niekiedy co kilka godzin.

Kelner wagonu restauracyjnego, który roznosił po pociągu herbatę przychodził do mnie z niewiadomo już którą herbatą i opowiadaliśmy sobie różne anegdoty. Do Moskwy przyjechałem po dwóch dniach, wieczorem o godzinie 20<sup>20</sup>. Byłem nieco przerażony wielkim ruchem, ale od razu doskoczył do mnie bagażowy i zaproponował za 5 rubli zaprowadzić ~~mnie~~ aż do Instytutu. Walizka była ciężka, ale bałem się aby jej nie stracić. Doszedłem do biura informacji i tam młoda dziewczyna za 10 kopiejek wypisała mi wszystko na kartece jak mam dojechać do Instytutu. Bagażowy jednak nie odstępował odemnie, próbował namawiać, aż po wylegitymowaniu go zgodziłem się. Kiedy przyjechaliśmy metrem do Instytutu odbywała się tam rada pedagogiczna. Spotkałem tam znane mi już osoby, i oni mnie również poznali, nie tylko z egzaminów, ale również z częstej korespondencji, zanudzając ich różnymi pytaniami na tematy fotograficzne. Przywitano mnie bardzo serdecznie i umieszczono na nocleg w laboratorium fotograficznym uczelni. Oczywiście mimo zmęczenia, całą noc nie mogłem zasnąć, zwiedzałem i oglądałem znajdujące się tam różnego typu kamery filmowe i fotograficzne, powiększalniki, zegary i przyrządy laboratoryjne. Na drugi dzień dyrektor pedagogiczny Anatoli Sielewiorstow zadzwonił do hotelu i umieszczono mnie tymczasowo na trzy dni. Dalsze losy w Moskwie potoczyły się bardzo gładko, ponieważ miałem adres do Stanisława Sławskiego, który pochodził z miejscowości gdzie ja urodziłem się, to też mimo tego, że był starszy i żonaty przyjął mnie jak brata.

Stanisław miał uroczą żonę Marfuszę i małą córeczkę Annuszkę. Po ukończeniu zajęć praktycznych zaproponowano mi, abym zostałem w Moskwie do końca studiów. Po porozumieniu się ~~z matką~~ listownie z matką, chociaż niechętnie, ale wyraziła zgodę. Zatrudniono mnie przy kartotece na uczelni z pensją 220 rubli. Pracę miałem od godziny 18 do 24.



Gdy wychodziłem z pracy zawsze zegar kremlowski wybijał północ. W dzień uczęszczałem na uczelnię jako wolny słuchacz. Czas płynął wszyscy mi pomagali, nie tylko w nauce, ale również często w sprzęcie i materiałach fotograficznych. Zgłównym księgowym uczelni Łukiańczykowym, zwanym popularnie Piotr Nikiticz, tak zaprzyjaźniłem się, że bywałem u niego często w domu, a także robiliśmy wyprawy na poszukiwania tematów fotograficznych. Piotr Nikiticz mieszkał sam, posiadał tylko pięknego, dwuletniego psa, boksera "Dingo". Drzwi do mieszkania nigdy nie zamykał, nawet wtedy, kiedy Piotr Nikiticz był w pracy lub na spacerze.

Pewnego razu w niedzielę wybrałem się, aby odwiedzić przyjaciela, ale w domu nikogo nie zastałem, w prawym rogu pokoju leżał Dingo. Kiedy po kilku minutach próbowałem wyjść, Dingo unosił się na przednich łapach i szczyrzył zęby tak groźnie, że zrozumiałem bez dyskusji jego intencje.

Na szczęście był tam duży aparat stereoskopowy do przeglądania przeźroczy. Włączyłem i oglądałem piękne krajobrazy, aż do powrotu gospodarza. Jak okazało się gość, który znajdzie się w mieszkaniu Piotra Nikiticza zawsze musi na niego zaczekać. Mało tego, Dingo obserwuje rozmowę i wypuści przybysza dopiero wtedy kiedy pożegnanie będzie serdeczne i przyjacielskie, kiedy gospodarz uściśnie rękę przybyszowi.

W czasie ferii wiosennych 1941 roku odwiedziłem matkę, która w dalszym ciągu zajmowała się gospodarstwem na wsi. W tym samym czasie do wsi przyjechał oficer lotnictwa z synem w odwiedziny do swego dziadka. Sensacja była co nie lada, pomyślałem wtedy, że to nadaje się do opublikowania w prasie. Wziąłem swój aparat fotograficzny i zjawiłem się wśród dosyć licznej rodziny, która hucznie witała przybysza. Dziadek i pradziadek był w pełnym słowa znaczeniu

miał piękną siwą brodę i liczył sobie już osiemdziesiąt dziewięć lat. Wnuk był przystojny, młody i do twarzy mu było w mundurze oficera lotnictwa.

W całym licznym towarzystwie rej wodził dziadek Karpo. Moje pojawienie się z aparatem fotograficznym zakłuciło panujący, wesoły nastrój. Mnie również postawiło w dosyć trudnej sytuacji. W mieszkaniu wiejskim było dosyć ciemno, a lamp elektonowych wtedy jeszcze nie było, magnezji również nie miałem przy sobie. Koniecznie uparłem się, aby pokazać na zdjęciu ten nastrój przy stole i wtedy zacząłem reżyserować. Wynieśliśmy stoły na zewnątrz, ustawiliśmy na tle białej ściany budynku. Na stołach uzupełniono różnego rodzaju jadła i picie. Ścianę domu udekorowaliśmy autentycznymi obrazkami, które <sup>zdeblity</sup> ~~znaleźliśmy~~ na ścianach wnętrza domu.

Rodzina zasiadła za stół, ale nastrój, który zastałem nie nadawał się do fotografowania. Musiałem trochę odczekać, aż całe towarzystwo oswoi się z fotoaparatem, a raczej czekałem kiedy zapomną o nim. Nareszcie dziadek zagaił, podniósł szklanę napelnioną wódką i prawdopodobnie zaczął powtarzać się, opowiadając już po raz wtóry o swojej młodości. Towarzystwo roześmiało się, zaczęli bić brawo. A gdy wszyscy uspokoili się i z zainteresowaniem słuchali dziadka. Nacisnąłem na spust migawki.

Następnego dnia cała wieś oglądała w powiatowej gazecie fotografię podobną do obrazu Leonarda da Vinci "Ostatnia wieczerza", a pod fotografią znajdował się podpis -" foto: Jan Mierzanowski".

Gdy nadszedł czas powrotu do Moskwy w powietrzu zawisła groza wojny. Po niedawnym konflikcie z Finlandią i podziale Polski między Związek Radziecki i Niemcy - Związek Radziecki uspokoiony paktami rozmowami dyplomatycznymi Mołotowa i Robintropa nie był zorjentowany, że Niemcy szykują totalną wojnę i pochód na wschód.

Matka zaczęła prosić abym pozostał w domu. Trudno było oprzeć

się, ale ponieważ pozostało mi tylko wykonać pracę dyplomową, postanowiłem pisać zaocznie. Podjąłem się pracy w Młodzieżowym Domu Technika jako instruktor fotografii w Winnicy, współpracując jednocześnie z miejscowymi mistrzami fotografii : Janowskim, Grinbergiem i Lebua, którzy chętnie służyli mi swoimi doświadczeniami, ~~które~~ pomagały w opanowaniu techniki fotografowania. Prowadząc studium młodzieżowe, dokonywałem zdjęć, które często ukazywały się w miejscowej prasie. Wiele zagadnień teoretycznych rozwiązywałem wspólnie z fizykiem Instytutu Medycznego Ob. Rawiczem. Pewnego dnia, kiedy robiłem reprodukcję, przygotowując się do wykładu z historii fotografii, wszedł do mojej pracowni jeden z rolników mojej wsi, aby zaprosić mnie na ślub swojej córki.

Siedząc w pracowni i patrząc jak ja w czasie fotografowania szeptem obliczam sekundy : 21,22,23,-nagle wstał i głośno powiedział : "Nie, przepraszam, ale zdjęć na ślubie nie będziemy robić. - A to dlaczego ? - zapytałem. - A bo to tak. że każdy fotograf coś tam czaruje, a to jest grzech rozmawiać z nieczystym duchem. - Trudno, powiedziałem, ale na weselu byłem, a za zdjęcie, które ukazało się w powiatowej gazecie, wyklęto mnie w tej rodzinie. Za to młodzi odwiedzali mnie często i zamawiali dodatkowe odbitki.

~~ZAPACH PROCHU I KRWI~~

Należy przyznać, że naród rosyjski jest bardzo życzliwy, ponieważ zaznałem od nich wiele pomocy w czasie studiów w Moskwie. Jednakże o aresztowaniu mojego ojca bałem się powiedzieć komukolwiek, chociaż leżało to mi kamieniem na sercu, ale nie miałem się przed kim wyżalić. Dopiero w 1941 roku, kiedy już pracowałem w Winnicy, władze miejscowe NKWD przypomniały sobie o tak zwanych "niepewnych".



Polak<sup>cy</sup>~~ami~~, którzy mieli kogoś aresztowanego z rodziny <sup>otrzymywali</sup> ~~wręczano~~ karty powołania do okresowej służby wojskowej. Stworzono z nas dwa bataliony, załadowano w towarowe wagony i skierowano do miejscowości Radzechów koło Grodna. Tam właśnie niedaleko znajdowała się państwowa granica między Związkiem Radzieckim a Niemcami. Zadaniem naszym było budować lotnisko wojskowe. Warunki bytowe i pracy mieliśmy nieludzkie, wydano nam mundury III kategorii, brudne i podarte, zakwaterowano nas na terenie byłego majątku w stajniach, gdzie trzeba było wyczyścić pomieszczenie, wykonać sobie prycze na których spaliśmy pokotem jak śledzie jeden obok drugiego. Zamiast karabinów dano nam łopaty i kilofy. W takich warunkach, po dwóch tygodniach opanowała nas taka wszawica, że po zdjęciu koszuli w czasie pracy niemożliwym było ją założyć z powrotem na siebie. Po prostu rzucało się ją w ogień.

Po dosyć energicznych interwencjach dowództwa przysłano nam kocioł parowy do odwszawiania i czystą bieliznę. Warunki z każdym dniem pogarszały się, wyglądało to na obóz skazańców, żywność często niedostarczana w ogóle, chodziliśmy na pół senni i głodni.

Praca rozpoczynała się o 6 godzinie rano, o godzinie 8 był pierwszy posiłek - trochę zupy i 200 gr. chleba, obiad odbywał się na terenie budowy, nie zawsze o wyznaczonej godzinie, a często było i tak, że za jednym posiedzeniem była kolacja z obiadem o godzinie 20. Powoli przyzwyczajaliśmy się do ciężkiej pracy i życia-prawie obozowego. Wolny dzień mieliśmy co drugą niedzielę. Za wyróżnienie można było nawet otrzymać dwugodzinną przepustkę do miasta Grodna. Jednakże nie danym nam było dokończyć lotniska. 22 czerwca 1941 roku dzień zapowiadał się pogodny i wolny od pracy. Już z wieczora żołnierze snuli sobie plany na następny dzień, a niektórzy z nich już nawet mieli przepustki w kieszeni.

Rano o godzinie czwartej obudził nas przeraźliwy krzyk dowódcy batalionu, który ogłaszał nam osobiście natychmiastową pobudkę. Żołnierze zmęczeni pracą poprzedniego dnia niechętnie poddali się, ale po przeczytaniu komunikatu o zbrojnym przekroczeniu granicy państwowej przez wojska niemieckie, wszystkim sen i zmęczenie ustąpiło. Wydano rozkaz zabrać rzeczy tylko wojskowe i czym prędzej udać się do pobliskiego lasu. Zaledwie dobiegliśmy do wyznaczonego miejsca jak niemieckie samoloty z czarnymi krzyżami bombardowały nasze pomieszczenia i niedokończony lotnisko.

Nie byliśmy przygotowani do podjęcia jakiejkolwiek walki, ponieważ byliśmy niepewni i posiadaliśmy tylko dwa karabiny na wartowni i to bez amunicji. Więc pozostało nam wycofywać się w głąb Związku Radzieckiego. Po drodze byliśmy świadkami jak oddziały Armii Radzieckiej szły na spotkanie niemieckim siłom, uzbrojonym po uszy.

Marsz był dosyć forsowny, ponieważ Niemcy stale deptali nam po piętach. To była wojna z zaskoczenia i tak silnego uderzenia nie mogła powstrzymać żadna siła. Niedaleko miasta Brody spotkaliśmy się po raz pierwszy z niemieckim desantem.

Nagle z pobliskiego zagajnika rozległa się seria z karabinu maszynowego, dano rozkaz - padnij ! Żołnierze kryli się jak mogli w przydrożnym rowie, ale na drodze pozostali zabici i ranni. Byliśmy bezradni mając dwa karabiny bez amunicji. Natychmiast zgłosiło się na "ochotnika" dziesięciu i umówili się wg zegarka, że z naszej strony za 20 minut rozlegnie się okrzyk - Naprzód !, a tamci spróbują obezwładnić desant. I tak się stało., po 20 minutach mieliśmy już dwóch jeńców i karabin maszynowy. W czasie potyczki zginął jeden z dziesiątki Józef

Szczepański. Pochowaliśmy także dwóch młodych oficerów i 26 żołnierzy, rannych pozostawiliśmy na pastwę losu w pobliskiej wiosce. Po zlikwidowaniu trzyosobowego desantu przyspieszyliśmy marsz, trzeba było obchodzić główne trasy, ponieważ ciągłe bombardowania utrudniały poruszanie się po otwartym terenie. Letnie, upalne dni zmuszały żołnierzy do pozbywania się własnych ekwipunków a z powodu braku zaopatrzenia w żywność, każdy na własną rękę zdobywał pożywienie. Niełatwe to było ale po wejściu do wioski ludność przyjmowała nas serdecznie i ze współczuciem. Ja natomiast miałem przy sobie banknot dziesięciorublowy i jak zwracałem się o chleb i mleko to chciałem zapłacić, ale przecież prawie każdy kogoś z rodziny miał w wojsku i z miejsca odmawiał zapłaty. Zostawało mi podziękowanie i iść dalej. Czym dalej odstępowaliśmy w głąb Związku Radzieckiego tym bardziej przerzedzały się nasze szeregi. Po drodze wyczerpani marszem żołnierze zostawali po prostu we wsiach. Pozostało nas około czterdziestu żołnierzy i dwóch oficerów.

Pozostało nam jeszcze około 20 kilometrów do miasta Biała Cerkiew, gdzie mieli nas włączyć do jednostki frontowej. Weszliśmy do wioski <sup>Stawiszcz</sup> przy samej szosie. Dowódca zarządził odpoczynek, część żołnierzy usiadło ze zmęczenia na trawie, część poszło zdobyć żywność.

Ja również z czterema żołnierzami z mojej drużyny weszliśmy do jednego domu zapytując o chleb, ale gospodyni była tak uprzejma, że poczęstowała nas prawdziwym, ukraińskim barszczem, a w nim po dobrym kawałku wieprzowego mięsa. W czasie konsumowania usłyszeliśmy na szosie warkot motorów, a gdy uchyliłem firankę, zobaczyłem za oknem Niemców jadących na motocyklach. Natychmiast



chyłkiem wyskoczyliśmy z domu i ukryliśmy się w zaroślach kukurydzy, skąd było widać jak na dłoni, na placu przy cerkwi uzbrojeni Niemcy prowadzili z podniesionymi rękami resztę naszego batalionu. Dowódcy wśród nich nie dostrzegliśmy. Nie było mowy poddawać się do niewoli, po całej wsi plądrowali Niemcy, słychać było płacz kobiet i dzieci. Trzeba było zastanowić się nad planem dalszego działania. W ogrodzie przesiedzieliśmy do zmroku. W lepszych domach zakwaterowali Niemcy, rozległy się pijane głosy niemieckich piosenek. Obok ogrodu dostrzegliśmy bardzo stary domek, tak, że nawet wątpiliśmy czy jest zamieszkały.

Wysłałem jednego z żołnierzy na zwiad, okazało się, że mieszka tam dwoje starszych, bardzo ubogich ludzi. Weszliśmy pojedynczo do starego domku, zmieniliśmy mundury na ubrania cywilne, jeżeli to można było nazwać ubraniami, a raczej ucharakteryzowaliśmy się na chłopów. Ja miałem<sup>z</sup>chłopskiego płótna koszulę i z tego samego płótna bardzo krótkie spodnie, dosyć przyniszczone, na plecach grabie i torebkę z chlebem.

Rano wyszliśmy w takich strojach na szosę i każdy powędrował do sojego domu. Udając robotników chłopskich nie napotkaliśmy na żadne przeszkody.

III \* Slub. Po powrocie do miasta Winnicy zająłem się pracą, której zarzekałem się, to znaczy, po prostu otworzyłem zakład fotograficzny jako rzemieślnik. Miasto było prawie niezniszczone, był zerwany tylko most, a na ulicy Lenina stały rozbite tramwaje. Zakład mój znajdował się obok mieszkania, z okna którego mogłem obserwować jak główną ulicą Niemcy bestialsko znęcali się nad jeńcami pędzonymi masowo do obozów. Sceny były niesamowite i przerażające, jak może traktować człowiek drugiego człowieka i to bezbronno.

Po odejściu frontu dalej na wschód, ulice miasta opustoszały zerwały się również różnego rodzaju spotkania towarzyskie. Zakład zaczęli odwiedzać niemieccy żołnierze, którzy przynosili do wywołania filmy, na których poza grupkami żołnierzy lub flirtami z miejscowymi dziewczynami nie można było nic dostrzec. Po likwidacji Żydów na miejscowym stadionie zrozumiałem, że było to wcielenie idei faszyzmu wyniszczenia wszystkich narodowości, aby opanować całą Europę.

W lasach zaczęły pojawiać się oddziały partyzantów, którymi dowodził gen. Kołpak i Werszykora, jednakże konspiracja musiała być bardzo precyzyjna, aby uniknąć tortur gestapo. Dowiedziałem się przypadkowo, że mój były dyrektor Czarny zamieszkuje na starym mieście i ma kontakt z oddziałem partyzantów. Na wstępnej rozmowie dowiedziałem się, że przynależność do jednej z grup działających może być możliwa, tylko w przypadku posiadania własnej lub zdobyczonej broni. Byłem wtedy jeszcze bardzo młody, miałem zaledwie dwadzieścia lat i nie posiadałem żadnego doświadczenia bojowego. Po prostu nie wiedziałem jak do tego się zabrać, aby nie zmarnować bezowocnie swego życia. Po dłuższym zastanowieniu się pomyślałem, że aparat fotograficzny również jest odpowiednią bronią, którą można walczyć.

Chociaż nie wolno było dokonywać zdjęć na ulicy, wziąłem do kieszeni niewielki aparat fotograficzny "Taxona" i ponownie poszedłem do Czarnego. Spotkało mnie tam wielkie rozczarowanie. Zanim doszedłem do miejsca zamieszkania, uprzedzono mnie, że u Czarnego wykryto <sup>radiostację, a jego rozstrzelano. Nie wiem jak długo trwało,</sup> powrót do domu, ale przy wejściu do zakładu spotkałem moją dawną sympatię Tamarę, która przyszła, aby zrobić sobie zdjęcie. A może to był tylko pretekst, bo widok jej bardzo mnie ucieszył i zaczęliśmy rozmowę wspomnieniami o czasach, kiedy przy śpiewie



słowików wspólnie spędzaliśmy wiosenne wieczory. Znałem ją dopiero od pół roku, a zdawała mi się taka bliska i droga, że zapomnieliśmy o zdjęciach i rozłączyła nas dopiero nadchodząca godzina policyjna. Odwiedzały mnie również inne dziewczęta i koleżanki z lat szkolnych, ale Tamara była moim najwierniejszym przyjacielem.

Lato (było tego roku) dosyć upalne i dłużył się każdy dzień. W dniu moich urodzin <sup>15</sup> 15.08.1941 roku odwiedziła mnie jedna z moich uczestniczek koła fotograficznego - Nina. Miała już siedemnaście lat, była skromnie ubrana, ale z rozmowy wynikało, że jej ojciec jest Polakiem i dostała wiadomość, że przed paroma dniami zginął w czasie bitwy pod Sewastopolem. Nie wiem czy to z miłości czy z litości, a może z patriotyzmu do Polski spotykaliśmy się coraz częściej, przeważnie pod lipą, która rosła obok jej domku, w którym mieszkała. Spotkania nasze miały na opowiadaniach swoich życiorysów o ciężkim życiu dzieciństwa. Zbliżała się jesień. W tym czasie cała Europa płonęła w ogniu od pożogi wojennej. Na wszystkich frontach ginęły setki i tysiące żołnierzy, broniąc przed najeźdźcą każdą osadę, każdy rubież. Pewnego razu, gdy wieczorem spotkałem się z moją dziewczyną zaproponowałem, że pragnę przedstawić ją mojej matce, która w dalszym ciągu zamieszkiwała na wsi. Z jej strony nie było żadnego oporu. I może to nie było mądre z mojej strony, ale okazało się, że prawo natury wzięło górę. Dnia 27 sierpnia 1941 o godzinie 20<sup>00</sup> zjawiliśmy się z kolegą Jerzym Postołowskim u jej rodziny.

Były to pierwsze odwiedziny domu mojej dziewczyny, którą miałem pojąć za żonę. Mieszkanie było skromne, jedna izba w suterynie, gdzie zamieszkiwało pięć osób. W domu zastaliśmy tylko matkę i dwie młodsze córki. Przedstawiliśmy się i korzystając z



nieobecności Niny rozpoczęliśmy rzeczową rozmowę. Trochę żartem trochę serio dotarliśmy do sedna sprawy. Matka mojej dziewczyny po kilku kieliszkach węgierskiego tokaju była już pod rauszem i zaczęła mnie całować i nazywać swoim zięciem. Po powrocie Niny do domu zostało nam tylko ustalić datę ślubu, którą wyznaczono na niedzielę 10 września 1941 roku.

Od następnego dnia rozpoczęły się przygotowania. Zamówiłem dla narzeczonej suknie, pantofle i wszystkie niezbędne akcesoria. Ślub odbył się bardzo huczny w gronie 50-osobowej rodziny i przyjaciół. Małżeństwo nasze zostało zawarte w najcięższym dniu.

Okupant mordował nie tylko walczących przeciw niemu żołnierzy ale również na tyłach padały jego ofiarami bezbronne matki i dzieci. Wiedziałem, że moje miejsce nie jest w domu, ale brak mi było odwagi pozostawić młodą żonę, którą nad życie pokochałem. Po roku z wielkiej miłości urodził nam się syn, który dostał imię Kazimierz. Była to radość jakiej w życiu nie przeżyłem, a zarazem wdzięczność moja dla małżonki była nieograniczona. Według planu na drugi rok miała się urodzić córeczka, ale i tym razem był syn, chociaż miał wiele cech dziewczęcych. Okrągła, jaśniutka buzia, kędzierzawe włosy i o wiele był delikatniejszy od starszego brata. Szybko pogodziliśmy się z losem i nazwaliśmy imieniem Tadeusz. Byłoby wszystko dobrze, gdyby nie ciężki losy wojenne.

Ponieważ niemieckie wojska na zdobytych terenach barbarzyńsko obchodzili się nie tylko z jeńcami wojskowymi, ale również z ludnością cywilną wywożąc do pracy w Niemczech, a którzy stawiali opór kierowano ich do obozów zagłady. To zadecydowało, że totalny marsz na wschód załamał się.

W roku 1944 Armia Radziecka rozpoczęła ofensywę na wszystkich frontach i z każdym dniem dostarczano wiadomości nowych zwycięstw

nad hitlerowską ordą. Niemcy szykowali się do obrony niedaleko miasta, w lasku wybudowano specjalny - podziemny schron dla Hitlera, jednakże został on zdemaskowany przez dowódcę partyzantki generała Kołpaka.

Pewnego dnia, gdy przechodziłem miastem zauważyłem niedaleko rynku niemieckie ciężarowe samochody i uciekających ludzi, skręciłem szybko w boczną uliczkę, ale za chwilę zatrzymał się przy mnie samochód osobowy, a przez uchylone drzwi poproszono ode mnie "auswajs".

Prawą rękę miałem w kieszeni od spodni, lewą ręką dostałem dokument i nie wyjmując prawej ręki wylegitymowałem się. Oficer nawet nie spojrzał na auswajs, tylko powiedział "gut" i odjechał. Podobno byłem blady jak ściana, ale i oficer niemiecki również był był w strachu, widocznie myślał, że w kieszeni mam granat, bo im często się zdarzało wylecieć w powietrze.

Wróciłem do domu i z kolegą wybraliśmy się na wieś do mojej matki.

IV \* Zapach prochu i krwi

Wyzwolenie miasta Winnicy przez Armię Radziecką nastąpiło dopiero 20 marca 1944 roku. Znajdowałem się wtedy na wsi u matki. Niemcy odstępowali w popłochu. Zabierali ze sobą co się tylko dało, resztę palili i niszczyli. Matka miała w komórce drzewo na opał, toteż zrobiłem sobie tam kryjówkę, skąd z kolegą obserwowaliśmy przez szczelinę w ścianie napiętą sytuację. Słyszałem, jak wszedł do mieszkania żołnierz Własowa i zabierając matce buty powiedział: " macie szczęście, że tak szybko odchodzimy, a to spalilibyśmy całą wieś". Wreszcie matka weszła do komórki i zakomunikowała, że Niemców już nie ma.

Wyszliśmy z kryjówki, ja usiadłem na ławie przy oknie, ale na drugiej ulicy zauważyłem biegnących żołnierzy, na szczęście byli



to żołnierze radzieccy, a za chwilę przed domem maszerował sznur młodych żołnierzy z czerwonymi gwiazdami na czapkach.

Matka wyjmowała chleb z pieca, a ja kroilem na pajdy i częstowałem zgłodniałych wyzwolicieli. W nocy we wsi był spis ludności, a rano o godzinie 6<sup>00</sup> przyszedł żołnierz z pepeszką i zapytał o moje nazwisko. Byłem zaskoczony. Powiedział, że naczelnik NKWD mnie wzywa. Poszedłem. W domu powstał popłoch. Matka i żna rozpaczały, ponieważ bali się aby NKWD nie powtórzyło swojej akcji wobec Polaków.

Przywitał mnie młody porucznik i zapytał o mój zawód. Odpowiedziałem, że jestem fotografem "no to cztóż, Wasia przywiedli konia budiem fotografiować sia".

Za chwilę wróciłem do domu, ładowałem aparat i fotografowałem naczelnika NKWD na koniu.

Na drugi dzień po wykonaniu odbitek wyjechałem do miasta Winnicy. Tam zgłosiłem się na punkt zbiorczy, gdzie po zarejestrowaniu przydzielono mnie od razu do jednostki. Przyprawiono do koszar, rozdzielono po pokojach i kazano czekać. Po kilku godzinach wszedł do naszego pokoju umundurowany kapral i wymienił moje nazwisko. Ja wstałem, wtedy on powiedział, proszę zabierać swoje rzeczy i pójdziecie ze mną. I tak się stało. Za kilka minut znalazłem się w innym pokoju, gdzie na mnie czekał major, a gdy zobaczył mnie uśmiechnął się i powiedział "no wot imiejem i fotografa". Ale niedługo nacieszył się. Zaraz w ślad za mną przyszedł kapitan, pokazał majorowi papierek i kazał mi iść za nim do innego majora, który na początku z całą surowością zaczął mnie wypytywać jakim prawem ja opuściłem pokój. I nie ~~znalazły~~ <sup>zdały</sup> się żadne tłumaczenia, że jeszcze nie jestem zorientowany, kto jest moim dowódcą, ale major dalej prowadził dialog, że to równe dezercji i grozi mi powieszeniem.



Więc stałem na baczność i dałem mu wykrzyzczyć się. Nareszcie padło pytanie zupełnie spokojnie : "Wot ty fotograf, a aparat to imiejesz?"

Mam, ale w domu - odpowiedziałem,

Major kazał natychmiast wypisać przepustkę i wyprawił mnie po aparat i materiały fotograficzne. Na drugi dzień wydzielono mi pomieszczenie na laboratorium i rozpocząłem wykonywanie swoich obowiązków służbowych, to znaczy fotografowanie na początku dowództwa, a następnie przenieśliem się na kompanię gospodarczą, aby sobie zabezpieczyć odpowiednie wyżywienie i umundurowanie.

W Winnicy nie bawiliśmy długo. 26 marca uformowano nas w kolumny i wyruszyliśmy w dalszą drogę piechotą na zachód.

Żonę z dwojgiem dzieci pozostawiłem u mojej matki na wsi. Oczywiście warunki materialne pogorszyły się, żonie to nie odpowiadało, a zwłaszcza gdy młoda kobieta i do tego przystojna, mająca powodzenie u wojskowych. Małe dzieci i teściowa, która czasem przypominała o mężu, często przeszkadzały żonie w dosyć ponętnych zabawach. Aby poprawić sobie sytuację żona wywozi dzieci do swojej matki do miasta Winnicy, a sama wyjeżdża z koleżanką do miasteczka Janowa - 70 kilometrów. ~~od miejsca, gdzie pozostawiła dzieci~~. Tam występuje w roli fotografa prowadząc wesoły tryb życia, bez żadnej kontroli rodziców, nie troszcząc się o los dzieci.

Po drodze dowiedziałem się, że jestem w czwartym rozdzielczym batalionie Drugiej Strzeleckiej Dywizji, która wchodzi w skład sześćdziesiątej Armii Radzieckiej. Moim bezpośrednim przełożonym był oficer polityczny kpt. Fiodor Frałow.

Był to człowiek o wysokiej kulturze z którym można było rozmawiać na różne tematy. Zabrałem ze sobą, jaki miałem sprzęt fotograficzny i wyruszyliśmy naprzód.

28 marca nasz batalion zakwaterował w jednej ze szkół nowo wyzwolonego, historycznego miasta znanego z powieści Sienkiewicza , w Kamieńcu Podolskim nad rzeką Smotricz.

Wybrałem sobie pomieszczenie na laboratorium fotograficzne gdzie również zamieszkałem. Moje obowiązki na początku ograniczały się do fotografowania miejscowego dowództwa w towarzystwie tak zwanych PPŻetek / polowych pochodnych żon /. Z czasem do jednostki przychodzili nowo rekrutowani żołnierze z terenów wyzwolonych, trzeba było ich umundurować, wyposażyć w odpowiednie dokumenty, na których umieszczano podobiznę właściciela mojej produkcji. Było to pewnego rodzaju studiowanie za pomocą fotografii ludzkich charakterów.

W chwilach wolnych wychodziliśmy na miasto z Fiedią i robiłem dokumentację zniszczonego miasta.

Wejście I-go Ukraińskiego frontu na kierunek Tarnopol i II-go Ukraińskiego frontu na kierunek południowy Bug stworzyło warunki okrążenia pierwszej armii czołgów nieprzyjaciela. Aby uniknąć następnej katastrofy niemieckie dowództwo wprowadziło do walki dziesięć dywizji czołgów i sześć piechoty celem dokonania kontrataku. Już od 11 do 19 marca w okolicach Tarnopola, Wołoczyska i Proskurowa toczyły się zaciekle walki. Jednakże nieprzyjaciel nie osiągnął zamierzonych celów. Radzieckie dowództwo przerzuciło w tym czasie na ten kierunek pierwszą armię czołgów gen. Katukowa a znajdujące się tam 60 i 1-sza gwardyjska armia została wzmocniona dywizjami z rezerwy frontu.

Po wycieńczeniu nieprzyjaciela w walkach obronnych na kierunku Tarnopol 21 marca zostało wznowione natarcie.

1 i 4 armia czołgów szybkim tempem przekroczyły rzekę Dniestr w kierunku Zaleszczyk, a za pięć dni nastąpiło wyzwolenie



m. Czarnowice i Kamieńca Podolskiego. W wyniku tych walk w obronie nieprzyjaciela powstały ogromne luki, które dowództwo niemieckie starało się uzupełnić pierwszą armią wojsk węgierskich i kilkoma dywizjami sprowadzonymi z Niemiec, Francji Danii i Jugosławii. Ciężkie walki o Tarnopol trwały prawie do końca czerwca.

Moje zetknięcie się z pierwszą linią frontu odbyło się w trzecią rocznicę wojny niemieckiej ze Związkiem Radzieckim. Niedaleko od naszego batalionu we wsi znajdował się sztab II Strzeleckiej Dywizji, dowódcą której był płk Moroz, zasłużony, z pełną pierśią orderów oficer. O mojej działalności dowiedział się na odprawie dowódców pułków i natychmiast kazał mi zameldować się w jego polowym gabinecie. Serdecznie ucieszyłem się, ponieważ kpt. Frałow uprzedził, mnie, że mam otrzymać specjalne zadanie ze Sztabu Dywizji.

Jako fotoreporter prasowy zostałem skierowany na pierwszą linię w związku z trzecią rocznicą walk z okupantem, jak również przygotowania wzmocnionego natarcia i zdobycia strategicznego punktu miasta Tarnopola.

W podwołoczysku zgłosiłem się do sztabu I-go Ukraińskiego frontu, gdzie otrzymałem 16 żołnierzy i kaprała Piotra Grybowa. Był piękny, słoneczny dzień 21 czerwca 1944 roku, sprawdziłem razem z kapralem ekwipunek żołnierzy i pieszo wyruszyliśmy na pierwszą linię, która znajdowała się niedaleko rzeki Seret w miejscowości Skałat. Było tam pustych kilka zabudowań i drewniany kościółek. Zbliżając się do pierwszej linii słychać było rzadkie strzały strzelców wyborowych z jednej i z drugiej strony. Niedaleko pierwszej linii zatrzymał nas wartownik i zapytał o hasło, następnie zakręcił polowy telefon, zameldował nasze przybycie i wskazał wejście do rowu łącznikowego.



Tam spotkał nas inny żołnierz, który prowadził chyłkiem aż do dowódcy odcinka. Kapral Grybow sprężyście zameldował się porucznikowi, który powiedział " Raspolahajties i czuwstujtie siebia kak doma".

Z prawej strony zauważyłem młodego oficera ładującego aparat fotograficzny, był nim fotoreporter gazety frontowej ppor. Debałow. Na całej linii frontu panował przedziwny spokój, gdzieś słychać było nawet śpiew ptaków. Ta cisza wróżyła przygotowania ze strony nieprzyjaciela, toteż i z naszej strony wszczęto przygotowania do odparcia ewentualnego ataku. Ponieważ stan liczebny wojska i sprzętu po poprzedniej walce nie był zadawalający, rozkazano <sup>wróży!</sup> wkopać w ziemię i zamaskować, aby mogły służyć początkowo jako działa. Duży ruch ekip sanitarnych - usuwano rannych z pierwszej linii, tu i ówdzie było widać spożywanie w okopach posiłków. Pod wieczór, gdy zachodzące na czerwono słońce wskazywało piękną pogodę na następny dzień, kilku zwiadowców wyruszyło do wypełnienia bojowego zadania. Po dokonaniu zdjęć wyruszających zwiadowców kpr. Grybow zameldował, że obok w sąsiednim okopie byłoby doskonałe miejsce do zamaskowania fotoaparatu.

Oczywiście kpr. Grybow okazał się bardzo dobrym scenografem jak później okazało się, <sup>on</sup> ma nieukończone zaoczne studia reżyserskie. Z tego miejsca udało mi się jeszcze dokonać zdjęć sylwetek naszych zwiadowców na tle zachodzącego słońca. Po czym zacząłem obserwować teren w oddali. Nad samą rzeką Seret był niewielki las w którym jak można było przypuszczać znajdują się Niemcy. Zafotografowane filmy miałem za pośrednictwem przydzielonych żołnierzy odsyłać do sztabu. Jednakże do końca wieczora nie dokończyłem nawet jednej rolki, liczyłem na lepszą sytuację.

kpr. Grybow informował mnie o każdym wydarzeniu, między innymi powiedział mi, że następnego dnia szykuje się natarcie sąsiadów z kierunków Hrimajłowo i Zbaraża, a my będziemy na miejscu oczekiwać na uciekającego nieprzyjaciela.

Około godziny 22<sup>00</sup> nasz zwiad przyprowadził a raczej przyciągnął "języka". Był to wartownik niemiecki, który w zasadzie niewiele pomógł w rozwiązaniu tej zagadkowej ciszy na froncie. Dopiero o godzinie drugiej w nocy następnego dnia udało się naszemu zwiadowi schwytać niemieckiego esesmana - dowódcę czołgu "unter oficera", który wysunął się ~~z grupy czołgów~~ do przodu na rozpoznanie. Trudna była sprawa przy przesłuchiwanie niemieckiego podoficera, był bardzo twardy, ale przesłuchując go różnymi sposobami udało się dowiedzieć, że o godzinie 4<sup>00</sup> szykuje się natarcie w naszym kierunku jednej pancernej dywizji znajdującej się w lesie.

To było ich jedyne wyjście, aby przerwać zamykający się pierścień i przedostać się na Skałę Podlaską, gdzie jeszcze znajdowały się oddziały niemiecki.

I tak też było, bo prawie do godziny czwartej słuchaliśmy gwizdu sów i puszczyków, a nawet zaczęły budzić się słowiki, zaczęło świtać i dosłownie parę minut przed czwartą usłyszeliśmy komendy i przygotowania artyleryjskie. Pociski artyleryjskie zaczęły rozrywać się dookoła nas, gdzieś słychać było jęki rannych.

Ja zamaskowany w okopie oczekiwałem na obiekty zdjęciowe i mimo dosyć ciepłej czerwcowej nocy dostałem gęsiej skórki, a na plecach zaczęły krążyć mrówki. Powtarzałem sobie, dodając animuszu że śmierci nie boję się, a tylko kalectwa, jednakże do głowy zaczęły napływać myśli o domu, o rodzinie, a gdy kanonada artyleryjska ucichła wyjąłem z portfela obrazek świętego Antoniego, który



dostałem od matki, z którym mój ojciec brał udział w I wojnie światowej i zdrów wrócił do domu.

Czołgi niemieckie nie pozwoliły na dłuższe rozmyślanie, przegnałem się, obrazek schowałem do kieszeni, a sam przygotowywałem się do fotografowania czołgów, które zbliżały się do naszej linii frontu. Wtedy zorientowałem się, że zaczyna się właściwie mój bezpośredni udział w wojnie. Gdy czołgi niemieckie znalazły się w odległości około 200 m zaśpiewały nasze rusznice przeciwpancerne. Jak również czołgi, które były okopane i zamaskowane zaczęły strzelać do celów bezpośrednio. Niemców spotkało zaskoczenie, po prawie dwugodzinnej walce na polu zostało 36 niemieckich czołgów, mnóstwo zabitych i rannych, Myśmy mieli również wielkie straty ale atak został odparty. Przeklinałem w duszy teleobiektyw, bo wszystko tak było blisko, że można było fotografować zwykłym obiektywem, którego przy sobie nie miałem.

Były to zdjęcia palących się niemieckich czołgów, wychodzących z ognia żołnierzy niemieckich i poddających się do niewoli. Prawie co pięć minut zmieniałem kasetę w swoim Kontaksie, a zafotografowaną rolkę przekazywałem kpr. Grybowu, który miał za zadanie, za pomocą przydzielonych żołnierzy dostarczyć ją do sztabu.

Niemcy jednak nie dali za przegraną i o godzinie 9 rano resztkami sił rozpoczęli nowy atak. Jednakże wkrótce nadeszły posiłki naszych wojsk. Jak było przewidziane z kierunku Hrimajłowo i Zbaraża.

Walka tym razem była przyjęta z nadzieją zwycięstwa i już po półgodzinie nasze wojska przeszły do ataku. Zrobiłem jeszcze kilka zdjęć uciekających Niemców i chcąc zmienić swoje "ogniowe" stanowisko wybrałem się na wieżyczkę kościoła skąd doskonale jak na dłoni było widać cały front z lotu ptaka i tu teleobiektyw dopiero miał swoje zastosowanie.



Jednakże nie udało mi się tych zdjęć dokonać, ponieważ w czasie ładowania aparatu ruszyłem fotoaparatem i błysk zauważył strzelec wyborowy, który trafił mi prosto w obiektyw i roztrzaskał całkowicie aparat fotograficzny.

Na prawej ręce zauważyłem krew, ale to było tylko małe draśnięcie odpryskiem blachy od aparatu fotograficznego.

Odchodząc do sztabu i żegnając się z kapralem Grybowym dowiedziałem się, że z jego drużyny zostało zaledwie trzech żołnierzy. W sztabie czekała już odpowiedź na mój raport - skierowanie do Pierwszej Armii Wojska Polskiego w Żytomierz.

Tak zakończył się mój pierwszy fotoreportaż z pierwszej linii frontu.

Z kpt. Frałowem żyliśmy jak z bratem, toteż pożegnanie nasze nie należało do przyjemności, gdy wręczał mi skierowanie do Wojska Polskiego i nowe umundurowanie. Wymieniliśmy serdeczne pocałunki a dalej nie pamiętam. Obudzili mnie dopiero rano dwaj górale z podzakopiańskiej wioski i kierowca ze Lwowa, których miałem polecenie dostarczyć również do Armii Wojska Polskiego. Jadąc do sztabu I Armii Wojska Polskiego przeczytałem komunikat o zdobyciu ważnego strategicznego punktu miasta - Tarnopol. Zdjęcia, które dokonywałem trafionym aparatem "Contax" pozostały w sztabie sześćdziesiątej Armii Radzieckiej.

V • Droga do Ojczyzny

Szlaku bojowego nie zaczynałem od Lenino. Pismo w zalakowanej kopercie było skierowane do sztabu Pierwszej Armii Wojska Polskiego znajdującego się w tym czasie w Żytomierzu na Ukrainie. <sup>10 lipca 1944 roku</sup> Na dziedzińcu przy koszarach stał stolik, a przy nim w wypłowiałym mundurze polskim, sztabowy pisarz w stopniu sierżanta. Dookoła krążyli nieumundurowani jeszcze żołnierze oraz kilku oficerów, niektórzy z nich byli już w mundurach polskich, a niektórzy jeszcze w radzieckich, zwano ich tam "Kupcami".

Przybyli oni, ~~tam~~, aby dobierać sobie ~~nowych~~ żołnierzy do nowotworzących się polskich pododdziałów. Ja wraz z moimi współtowarzyszami podeszliśmy do stolika. Sierżant, widać było jak niechętnie pełnił swoją funkcję, spieszo mu było jak wszystkim do Ojczyzny. Ledwo otworzył zalakowaną kopertę i zaczął kolejno wpisywać do dużej księgi nazwiska, skierowując od razu nowy nabytek do odpowiednich "kupców". Kiedy przeczytał moje nazwisko i zawód, który był podany w piśmie przewodnim, podniósł głowę i jeszcze raz upewniając się zapytał mnie o zawód. Odpowiedziałem: - fotoreporter. Wtedy Sierżant spojrzął w bok na młodą kobietę z jedną gwiazdką czytającą gazetę "Nowe Widnokregi" i zawołał: Obywatelko Chorąża, mam dla was towar. Za chwilę Obywatelka Chorąża Świetlik trzymała moje dokumenty i z uśmiechem rzekła: "pójdziecie ze mną". Wyglądała niewiele starsza ode mnie, ale była ubrana estetycznie w dopasowany mundur oficerski, pas skórzany i furażerkę z polskim orzełkiem. Wtedy pomyślałem, ale trafiłem pod babskie dowództwo. Obawa moja szybko prysnęła, bo niedługo znalazłem się w sztabie armii i jak okazało się, że Ob.chorąża Świetlik była tylko oficerem kadrowym. Mnie po umundurowaniu skierowano do pokoju Nr 3, gdzie znajdowała się redakcja frontowej gazety "Żołnierz Wolności".

Przedtem chorąża Świetlik pouczała mnie, że po wejściu do pokoju należy zameldować się u Redaktora Naczelnego por. Nadzina. Rozmowa była krótka, angaż natychmiastowy. Pierwsze polecenie Naczelnego Redaktora, to przygotować się do wyjazdu, ponieważ nasz sztab, a wraz z nim i Redakcja przenosi się na wyzwolone tereny Polski. W ciągu kilku godzin miałem zmienić mundur żołnierski na oficerski, ponieważ otrzymałem stanowisko fotoreportera jako oficer bez stopnia. Sekretarz redakcji chor. Haber wręczył mi redakcyjny aparat fotograficzny FED i dwie rolki taśmy negatywowej. Ponieważ figurę miałem typową, w magazynie mundurowym zabawiłem się niedługo, dopasowałem piękny szewiotowy mundur oficerski i konfederatkę z orzełkiem, który trochę był inny od tego co mi pokazywał dziadek, ale był dla mnie historycznym orzełkiem, ponieważ nosiłem go po raz pierwszy.

Na epoletach moich jeszcze nie było gwiazdek, ale miałem uprawnienie wychodzenia na miasto bez przepustki. Po obiedzie, w kasynie oficerskim, gdzie byłem zaprowiantowany, wyszedłem, aby poznać miasto Żytomierz. Na mieście spotkałem się z kapralem Brodzkim, który był znanym pedantem i wojskowym z powołania. Kpr. Brodzki był wysokim, chodził prosto i estetycznie ubrany w mundur podoficerski, służył w jednostce samochodowej, na jego naramiennikach były dobrze widoczne, błyszczące dwie belki i odznaka samochodowa tak, że często młodsi oficerowie uważali jego za majora i pierwsi salutowali. Ja zauważyłem kpr. Brodzkiego z dosyć dużej odległości i zacząłem przygotowywać rękę do salutowania, kpr. Brodzki natychmiast ingerował jeżeli ktoś z niższym stopniem nie oddał należących mu honorów. Tego samego wieczora gdy wracałem z miasta do redakcji już była szarówka, kaprala Brodzkiego mijał o połowę niższy od niego żołnierz, który nie zasalutował.



Kpr. Brodzki natychmiast zawrócił żołnierza, postawił go na baczność i patrząc na niego z góry zaczął dosyć głośno pouczać dlaczego nie oddaje honorów. Żołnierz cierpliwie wysłuchał uwag i podszedłszy do kpr. Brodzkiego powiedział: "synku pochył się i zobacz co tu jest" wskazując palcem na naramiennik. Kpr. Brodzki szybko stanął na baczność, zasalutował i prosił o przebaczenie. Jak okazało się był to generał Połtużycki we frontowym mundurze.

Po tygodniu cały skład pociągu z dowództwem i papierami sztabowymi żegnali gościnną ziemię ukraińską. Były to piękne dni, tyle radości, pożegnania i łez dziewczęcych, ale jak to mówi przysłowie polskie "zapomniano języka w gębie", tak i ja z tego przeżycia i radości powrotu do kraju zapomniałem, że mam przy sobie aparat fotograficzny i dziś dopiero wiem, ile straciłem wizualnych obrazów dla historii naszego kraju, a były to naprawdę wzruszające do łez scenki, prawdziwie ludzkie.

Po drodze wszędzie widać było jeszcze świeże ślady zniszczeń wojennych, porozrzucany niemiecki sprzęt bojowy.

I oto pierwszy przystanek na wyzwolonych ziemiach polskich, miasto Chełm, domy udekorowane biało-czerwonymi flagami, ktoś z kolegów zaproponował zrobić wspólne zdjęcie pamiątkowe na tle ruin i tak powstało pierwsze moje zdjęcie na wyzwolonych terenach. Nie było to dobrą cechą jak na fotoreportera, ale byłem wtedy jeszcze bardzo młody i może trochę przeczulony tajemnicą wojskową, ale nie ma czasu nad rozczulaniem się. Pociąg rusza dalej, za linią frontu.

*24 lipca 1944 roku w Chełmie Lubelskim powstaje Komitet Wyższej Narodowej, tymczasowy organ władzy wykonawczej na wyzwolonych terenach z pod okupacji hitlerowskiej. Następnego dnia wydane historyczny Manifest Lipcowy.*

24 lipca zostaje wyzwolony Lublin, który powitał nas z wielkim entuzjazmem.

W mieście wracało normalne życie. Uruchomiono zakłady pracy, ruszyły fabryki i organizowały się urzędy. Sztab nasz rozlokował się w budynku na placu Unii Lubelskiej.

Przed hotelem stał jeszcze zniszczony niemiecki czołg. Zniszczone całkowicie było Stare Miasto i kilka domów w nowym Lublinie, ale ulice były już posprzątane, a na Zamku, gdzie w czasie okupacji urzędowało Gestapo siedzieli za kratami oprawcy obozu koncentracyjnego - Majdanek. Ja czekając na zorganizowanie pracy redakcyjnej, zostałem tymczasowo przydzielony do Centralnego Domu Żołnierza, gdzie otrzymałem pomieszczenie na laboratorium fotograficzne i mogłem uprawiać swój zawód wykonując fotogazetki do dekoracji pomieszczeń C.D.Ż.

30 lipca na placu Unii Lubelskiej wybudowano trybunę, na której zajęli miejsca członkowie PKWN, przyjmując wielką defiladę wojskową z udziałem partyzantów i całego społeczeństwa Lublina.

Zdjęcia, które wykonałem w czasie uroczystości wykorzystałem do wykonania fotogazetki. *Od 1 sierpnia 1944 roku siedziba PKWN została przeniesiona do Lublina*

Następne zdjęcia dokumentalne wykonałem z rozprawy sądowej w C.D.Ż., gdzie sądzono zbrodniarzy wojennych Majdanka. Kiedy prowadzono ich pod eskortą nie było mowy zrobienia zdjęć, ponieważ tłumy Lublinian rzucały się na katów Majdanka i pomimo silnej obstawy nowoorganizowanej milicji, oprawców wprowadzono do sali rozpraw tak posiniaczonych, z porozbijanymi głowami, że przed rozprawą trzeba było im udzielić pomocy lekarskiej. Po kilku dniowej rozprawie i oskarżeniu przez prokuratora Sawickiego pięciu esesmanów zawisło na szubienicy.

Przy Centralnym Domu Żołnierza istniało już cały szereg zespołów twórczych, które prowadziły pracę kulturalno-propagandową.

Pracownia graficzna, pod kierownictwem majora Cieślaka, wykonywała propagandowe plakaty, które dodawały otuchy walczącym na froncie i pracującym na terenach wyzwolonych. Zespoły artystyczne przygotowywały występy teatralne i estradowe oparte na tekstach polskich pisarzy.



Każdy dzień przynosił zmiany, PKWN organizuje naród do dalszej walki z okupantem. Kierownik Resortu Obrony Narodowej powołuje do życia II Armia W.P., rozbudowuje się administracja państwowa. Zostaje upaństwowiony przemysł i rozdano chłopom ziemię obrarniczą. 21 sierpnia 1944 roku zostaje wydany dekret o ściganiu zbrodniarzy wojennych pod przewodnictwem Kierownika Resortu Bezpieczeństwa Publicznego S. Radkiewicza. W tej sprawie przebrnęły miary. Walka ta polegała nie tylko ze zbrodniarzami hitlerowskimi, ale również z własnym narodem, a przede wszystkim z byłymi żołnierzami Armii Krajowej, którzy walczyli z wrogiem na równi z innymi oddziałami partyzanckimi. Rozpoczęły się aresztowania pod nadzorem organów radzieckich NKWD, często układano zasadzki w mieszkaniach ukrywających się Akowców. W ten sposób skutecznie stworono podziemie walercze, a następnie przygotowano procesy, gdzie wymuszano do niepopelnionych przestępstw. O jeden z epizodów takiej walki ma kieleczyźnie. Stanisław Karliński pseud. „Burza” były wychowanek szkoły dla małoletnich w Szwecji, uczestnik walk obywatelskich 1939 roku usychający się od dłuższego czasu jako oficer AK postanowił ujawnić się. Rozpoczął od poszukiwania kontaktów z władzą ludową. Kiedy dowiedział się, że jego były wychowawca senatny Krupa został I sekretarzem PPR w Kielcach, zarezykował z nim spotkanie, które odbyło się bardzo radosne, ale krótkie. Sekretarz PPR okazał się szują, ponieważ wyznaczył podstępnie następną spotkanie, na które Stanisław Burza-Karliński zgłosił się w zł. umowy, ale czekało na niego oprócz sekretarza dwóch dwulców. Zarządzono dokumenty bez żadnych wyjaśnień i kazano iść z nimi. Karliński był oburzony postępowaniem i kategorycznie odmówił posłuszeństwa, ale sekretarz PPR wyjaśnił, że ma to być tylko przyjacielska rozmowa z przedstawicielami NKWD. Zgodził się pójść, ale w asyście sekretarza. Kiedy znaleźli się w gabinecie NKWD powitało go trzech rosyjskich oficerów, jeden w stopniu generała i dwóch w stopniu pułkownika. Przed nimi siedziała czwórka osobista Karlińskiego. Rozmowa rozpoczęła generał drizkuje go pomoco radzieckim partyzantom i za akcją wyzwolenia jeńców rosyjskich oraz za pomoco w utworzeniu oddziału partyzanckiego pod dowództwem lejtinanta Zonczarowa. Jednakże celem spotkania była inna intencja. Zwrucano się do Karlińskiego proponując awans ze stopnia porucznika do stopnia pułkownika pod warunkiem, że poda on nazwiska i miejsce pobytu całego dowódstwa AK. Odmówienie ministra propozycji pogorszyło sytuację Karlińskiego. Zarzeczajze, że awans to on może otrzymać wyłącznie od swojego dowódstwa, a odrzając nigdy nie ostanie, ponieważ są to kolearzy z którymi łgornieś wzięła walka z okupantem hitlerowskim. Generał podnieślił pytanie zapytał Karlińskiego „a czy macie ziemię syberyjską? którą możecie zwiędzić, a jest to daleka podróż i niezawnie można z tamtąd wrócić.” Stanisław Karliński zorientował się, że jest w pułapie, ale próbuje wykusić się. Poprosił o kilkodniowy termin zastanowienia się, a następnie wstał podał rękę generałowi i wyprzedł. Widocznie wierzyli ponieważ na dalsze przesłuchania nie używano, ale Karliński muszony był opuścić dom i ukrywać się pod innym nazwiskiem.



Kiedy Zespół Artystyczny C.D.Ż. leciał samolotem do Białegostoku, aby tam dać występy dla ludności, pojechałem i ja z fotoaparatem. Był to pierwszy mój lot samolotem, ale byłem zupełnie rozczarowany, bo nie odczułem żadnego wrażenia. Społeczeństwo Białegostoku gorąco powitało pobyt naszego zespołu, a po występach na scenę przyniesiono olbrzymi kosz kwiatów i proszono, aby powtórzono występ w dniu następnym. W powrotnej drodze zrobiłem jeszcze kilka zdjęć miasta z samolotu. W Lublinie już tego samego dnia wywołałem negatywy z których byłem bardzo zadowolony, mając mnóstwo materiału ilustracyjnego.

← 47<sup>a</sup>

#### VI Fotoreportaż

Dnia 13 stycznia 1944 r., powołana została do życia redakcja "Polska Zbrojna", której właśnie miałem zaszczyt zostać fotoreporterem. Przyznam się, że zaimponowało mi to stanowisko fotoreportera Centralnego Organu W.P., a redaktor naczelny major Henryk Werner wręczając mi legitymację służbową dodał, że legitymacja ta upoważnia mnie do wejścia na wszystkie imprezy wojskowe i państwowe, należy tylko z godnością wykonywać swój zawód. Redakcja nasza nie miała jeszcze wtedy dużych możliwości wykorzystywania moich zdjęć z powodu braku własnej chemigrafii, więc towarzyszyłem wielu imprezom organizowanym na terenie wojska, jak również tam, gdzie wojsko występowało z pomocą dla ludności cywilnej.

16 stycznia 1945 roku 69 armia i 11 korpus armijny czołgów szturmem zdobyły miasto Radom, a następnie posunęły się dalej w kierunku m. Łodzi. W tym samym czasie 47 i 61 armia okrążyły miasto Warszawę, a 2 gwardyjska armia czołgów uderzyła po zgrupowaniach przeciwnika od tyłu umożliwiając tym samym w nocy 17 stycznia przejście do natarcia I armii Wojska Polskiego pod dowództwem generała S. Popławskiego.

Dopiero, gdy przyszła wiadomość o wyzwoleniu Warszawy, dostałem delegację, aby dokonać zdjęć z wyzwolonej stolicy.

18 stycznia 1945 roku o godzinie 6<sup>00</sup> zabrałem się na szosie pierwszym okazyjnym samochodem. Jednakże z powodu zerwanego mostu na Wiśle, a pontonowy jeszcze nie był gotowy, kierowca dowiedział się że miasto Radom wyzwoliły wojska radzieckie już 16 stycznia, więc do Warszawy można dotrzeć objazdem.

Wisłę przekroczyliśmy w Puławach.

W Radomiu byliśmy przed godziną dziewiątą, miałem wtedy 24 lata i była to dla mnie niezapomniana chwila. Samochód zatrzymał się na placu przy ul. Żwirki i Wigury, ja wysiadłem, aby dokonać kilku zdjęć, na ulicach było pełno ludzi. Na widok mojego munduru samochód obległy tłumy, nie było mowy o robieniu zdjęć.

Mnie porwano na ręce i niesiono przez kilka ulic. Dostałem również mnóstwo kwiatów. Jak okazało się byłem pierwszym żołnierzem polskim w wyzwolonym Radomiu.

Mój mundur wzbudzał ogromny entuzjazm, wiele kobiet płakało. W imieniu społeczeństwa miasta oficjalnie powitał mnie jeden z inżynierów fabryki skórzanej, a potem zaprosił mnie do siebie na śniadanie. Jakiś fotograf przyniósł mi kilka rolek niemieckich filmów. Wzruszenie było ogólne, prosili, ażeby pozostać dłużej, a ja miałem polecenie być tego dnia w Warszawie. Obowiązek i własne pragnienie zmusiły mnie do dalszej podróży przez Białobrzegi i Grójec. Tak jak Radom sprawił mi wielką niespodziankę i radość tak w Warszawie zastałem smutek, pustki i ruiny.

Spotkałem wtedy małego chłopca, miał może lat osiem - dziewięć, Był to Marek Zabłocki, uczestnik powstania warszawskiego, który zwrócił mi uwagę, abym był ostrożny, bo to szkopi wszędzie nawtykali min i podjął się mnie oprowadzić po zgliszczach Warszawy.



Jako pierwsze miejsce Marek pokazał mi Stare Miasto i Żolibòrz, gdzie były okopy powstańców, następnie poszliśmy na dworzec Główny i Plac Napoleona, obecnie Plac Powstańców Warszawy.

Z dużym entuzjazmem i poświęceniem oprowadzał mnie Marek, opowiadając o bohaterskich walkach powstańców i o bastialskich barbarzyństwach hitlerowców.

Dzień dobiegał końca, noclegu musiałem szukać na Pradze, bo w Warszawie nie było żywego ducha.

Po powrocie z Warszawy i wywołaniu negatywu zorientowałem się że posiadam cenne materiały prasowe, jednakże nie były one wykorzystane w redakcji, ponieważ były duże trudności nie tylko z wykonaniem kliszy cynkowej, ale również brak było papieru do druku. 3 lutego 1945 roku otrzymałem od Naczelnego Redaktora polecenie wyjazdu celem odebrania w Kijowskim Okręgu Wojskowym dwa wagony papieru gazetowego. Po przybyciu do Kijowa okazało się, że papier został już wysłany koleją i trzeba było wracać bezowocnie. Miałem 24 godziny, aby zastanowić się co robić dalej. Znajdując się niedaleko miejsca zamieszkania mojej rodziny, postanowiłem zabrać ją do Polski. Trzeba było w kilka godzin wszystko zlikwidować i wyjechać w podróż. O załatwieniu jakichkolwiek dokumentów repatriacyjnych nie było mowy. Przyjazd mój do miasta Winnicy był zaskoczeniem. Do wyjazdu była spora gromadka, ponieważ poza żoną, dziećmi, matką, pragnęła również wyjechać teściowa z dwoma córkami i wnuczką. Aby wyjechać w kierunku Polski trzeba było dostać się do Kijowa. Jednakże z powodu dużego ruchu pociągi do Kijowa były tak przeładowane, że nie było mowy wyjechać w tym samym dniu. A tu czas naglił, przypadek chciał, że z Winnicy do Kijowa przydał się samochód ciężarowy i chociaż był bez pokrywy, a mróz sięgał do 22<sup>00</sup> C, nie było innego wyjścia.



Wyruszyliśmy w drogę około południa, co było dosyć ryzykowne z małymi dziećmi. W połowie drogi o północy, w czystym polu na odludziu, samochód zagrzebał nam się w śniegu i ani rusz z miejsca. Zauważyłem z daleka jakąś osadę, zdawało mi się, że 2-3 kilometry, więc wybrałem się pieszo po pomoc. Śnieg do pasa, a osada zamiast przybliżyć się, oddalała się. Wreszcie po kilkugodzinnej walce ze śniegiem dobiłem do osady.

Odszukałem dom w którym zamieszkiwał przewodniczący spółdzielni produkcyjnej, ale mimo tego że była północ przewodniczącego w domu nie było. Dowiedziałem się od żony przewodniczącego, że znajduje się w karczmie z oficerami lotnictwa. W karczmie zwróciłem się o pomoc aby odśnieżyć samochód ponieważ na samochodzie znajdują się małe dzieci.

Owszem pomocy udzielono, ale dwóch pijanych oficerów lotnictwa szantażując aresztowaniem, przeszukując walizkę, zabrali wiele osobistych rzeczy jak również 6 monet złotych, które matka dostała za sprzedanie części swojego dorobku. Ludzie których przysłano do pomocy, zajęli się nie tylko odśnieżaniem, ale również zaopiekowali się i nakarmili dzieci za co byliśmy bardzo wdzięczni. Natomiast jeden z oficerów, porucznik zauważył u mnie na ręku zegarek i powiedział, że on chce przymierzyć, a po przymierzeniu dodał że zupełnie mu pasuje i już nie zwrócił. Drugi oficer, podporucznik nie chciał być gorszym, odwołał mnie na stronę i powiedział: widzisz on zabrał ci zegarek, sprezentuj i mnie chociaż obrączkę. Obrączka była ślubna, ale co miałem robić, ważne było to aby ocalić dzieci.

Ludzie przyszli z pomocą, ruszył samochód, ogrzały się dzieci i dalej w drogę.

W Kijowie nowe trudności. Pociąg jest, ale biletów nie było mowy zdobyć, trzeba było szukać innych sposobów.

Konduktorka , której wsunąłem do kieszeni wszystkie swoje rezerwy pieniężne, załadowała nas do swojego przedziału i w ten sposób znaleźliśmy się na granicy Radziecko-Polskiej. Po przeładowaniu się do wagonu pociągu polskiego, straż graniczna zażądała dokumentów, a stwierdziwszy, że tylko ja mam prawo wjazdu do Polski, kazała rodzinie opuścić wagon. Jednakże znowu z pomocą przyszedł kolejarz polski, który przyglądał się cierpliwie, jak my wyładowaliśmy się. Po odejściu straży granicznej, podszedł do mnie i powiedział: ładujcie się jak najszybciej, ponieważ za dwie minuty mamy odjazd. Tak zrobiłem, w mgnieniu oka byliśmy z powrotem w wagonie. Po przybyciu do Lublina czekała na nas ciepła kwatery i kolacja u państwa Mazurków, gdzie zajmowałem kwatery służbową.

Redakcji naszej "Polska Zbrojna" już w Lublinie nie było. Przeniosła ona swoją siedzibę do m. Łodzi, wyzwolonej dnia 19 stycznia 1945 roku.

### VI 6. Michał Żymierski - Marszałek Polski

Pozostawiając rodzinę w Lublinie zameldowałem się w redakcji "Polska Zbrojna" w Łodzi, gdzie uzyskaliśmy doskonały lokal przy ul. Piotrkowskiej 96. Ja również otrzymałem przydział na mieszkanie i pomieszczenie na pracownię fotograficzną. Po kilku dniach sprowadziłem rodzinę do m. Łodzi. Rozpoczęła się intensywniejsza praca w redakcji, toteż moje zdjęcia coraz częściej ukazywały się na szpaltach Centralnego Organu WP, oraz wzmożyły się moje wyjazdy w teren, przeważnie z red. Teofilem Urniażem.

Wojna zbliżała się ku końcowi, 16 kwietnia 1945 roku rozpoczęła się operacja berlińska Radzieckich Sił Zbrojnych z udziałem pierwszej i drugiej Armii Wojska Polskiego. Jednak zwycięstwo nie przychodziło tak łatwo, szlaki bojowe naszego Ludowego Wojska obficie były zroszone krwią żołnierzy polskich i radzieckich.

Ale w duchu można było przyjąć, że zwycięstwo jest pewne.

Dziennikarze naszej redakcji "Polska Zbrojna" dwoiły i troiły się donosząc z frontu o sukcesach naszego wojska.

Po załadowaniu kilku kaset do aparatu fotograficznego FED dołączyliśmy się jak zwykle z Teosiem do ekipy Ministra Obrony Narodowej gen. broni Michała Żymierskiego, który właśnie wybierał się na inspekcję jednostek frontowych. Przed obiadem dnia 29 kwietnia 1945 roku znaleźliśmy się na odcinku frontu pierwszej Armii Wojska Polskiego nad Łabą, którą dowodził gen. Stanisław Popławski.

W tym czasie gen. Michał Żymierski odbył rozmowę z marszałkiem Żukowem, który ustosunkował się przychylnie do propozycji naszego Naczelnego Dowódcy i wyraził zgodę na wzięcie udziału w szturmie na Berlin naszej pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, która znajdowała się około 60 km od Berlina. Wydano natychmiast rozkaz: wykorzystać wszystkie możliwe środki transportu, aby w nocy z dnia 29 na 30 kwietnia przerzucić cały stan osobowy i uzbrojenie pierwszej Dywizji do Berlina. Było to jedyne wojsko, które brało udział w szturmie na Berlin obok Armii Radzieckiej.

Po dokonaniu inspekcji i odznaczeniu najbardziej zasłużonych w walkach Naczelnny Dowódca Sił Zbrojnych WP udał się na odcinek walk drugiej Armii WP generała Karola Świerczewskiego. Armia ta odpierała kontrataki przeciwnika pod Budziszynem. I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki dzielnie zapisała się w kartach historii walk II wojny światowej. Była to nagroda dla całego Wojska Polskiego za udział w walkach, ponieważ gdy Berlin padł 2 maja 1945 roku na kolumnie zwycięstwa i Bramie Brandenburskiej w Berlinie obok flagi radzieckiej załopotąła flaga biało-czerwona.



"Żołnierze, podoficerowie i oficerowie wykazali męstwo godne najlepszych tradycji Polskiego rycerstwa". Tak pisał o Kościuszkowcach specjalny wysłannik Polski Zbrojnej major Jacek Rolicki.

Redakcja nasza pracowała na dwie zmiany. W pokojach przez całą noc wystukiwały maszynistki, przepisując artykuły dostarczone przez wojennych korespondentów. Naczelny Redaktor osobiście nadzorował w drukarni, schodzące z maszyn pierwsze egzemplarze "Polski Zbrojnej".

Po powrocie z inspekcji zabrałem się również do pracy w laboratorium, aby moje zdjęcia na drugi dzień mogły zilustrować artykuły Teosia.

3 maja 1945 roku decyzją Rządu Rzeczypospolitej Naczelny Dowódca Wojsk Polskich Michał Rola-Żymierski został mianowany Marszałkiem Polski. Nowomianowany Marszałek po powrocie do stolicy przemówił do warszawiaków, zapewniając bliski koniec wojny.

I tak się stało, bo już 8 maja 1945 roku w dzielnicy Berlina Karlshorst podpisano bezwarunkowy akt kapitulacji przez generała Keitla.

Przybyliśmy do Berlina wraz z Marszałkiem. Był to przerażający widok, ślady walk dawały znać na każdym kroku, nie można było odróżnić ulicy od ulicy. Wszędzie leżały rumowiska domów i mnóstwo zabitych. Ludność miejscowa, która pozostała przy życiu wyglądała jak pajace - usłużna na każde skinięcie palca i ciągle powtarzała "Hitler kaput", "Hitler kaput".

Smutny był widok berlińskiego metra, gdzie ludność cywilna<sup>na</sup> schroniła się przed bombardowaniem, a dowództwo hitlerowskie kazało zatopić metro, nie zważając na bezbronne kobiety i dzieci.

Najbardziej zabawne sceny można było zobaczyć w dzielnicy Tierparku, gdzie znajdowało się berlińskie ZOO. Zwierzęta prawie wszystkie znalazły się na wolności, spacerowały po chodnikach, zwiedzały klatki innych zwierząt, a także zaglądały do ruin domów, jednakże były tak oswojone z ludźmi, że nie zauważyliśmy, aby rzucały się na przechodniów.

Poruszaliśmy się z Teosiem po gruzach Berlina za pomocą zdobytego samochodu BMW. Po dotarciu do Reichstagu zmuszeni byliśmy oddać swoją zdobycz, ponieważ żaden z nas nie miał prawa jazdy ani zezwolenia na posiadanie samochodu. Jak widać na zdjęciu pozostały mi tylko okulary.

Reichstag był jeszcze w ogniu i można było obserwować tylko z daleka. Cały plac przed Reichstagiem był wypełniony żołnierzami radzieckimi i polskimi, nawoływali się wzajemnie, ściskali sobie dłonie, rzucali się w ramiona. Strzelano na część zwycięstwa pojedynczo i salwami. Na ich twarzach była wyraźna radość nie tylko dlatego, że doczekali się zwycięstwa i końca wojny, ale i dlatego, że nie minęła ich zemsta nad faszyzmem za Leningrad, Stalingrad, Kijów, Warszawę i inne zniszczone bestialsko miasta i wioski.

Z zapartym tchem robiłem zdjęcia według własnej kompozycji oraz na zlecenie redaktora Urniaża do jego specjalnych notatek. Zdjęcia wykonywałem na taśmie filmowej otrzymanej od operatora Samocewicza z "Czołówki Filmowej" WP, nie znając ani jej pochodzenia, ani światłoczułości. Ot tak - nawinięto mi trochę z bębna, zawinięto w czarny papier i wręczono godzinę przed wyjazdem. Jak później okazało się była to taśma z odrzutów operatorów filmowych i cała moja praca była na nic, ponieważ taśma była naświetlona.

Zdjęcia dla redakcji udało mi się uzyskać od kolegi Wiktora Tiomina fotoreportera Armii Radzieckiej, który wrócił właśnie już samolotem z Moskwy, z gazetą "Prawda" i zdjęciami, które dokonywał w czasie zdobycia Berlina.

Na drugi dzień 9 maja ogłoszono - dniem zwycięstwa. W każdym garnizonie oddawane były salwy artyleryjskie, na ulicę wyszedł cały naród, ciesząc się z wolności, śpiewając pieśni i wznosząc okrzyki na cześć zwycięstwa.

Wojna była zakończona, nie zakończyła się ona jeszcze dla saperów i fotoreporterów.

Po wyzwoleniu kraju, Ludowe Wojsko Polskie, które walczyło obok Armii Radzieckiej, nie spoczęło na laurach. Trzeba było zlikwidować grasujące tu i ówdzie bandy hitlerowskich niedobitków UPA i NSZ oraz rozminować kraj, aby można było przystąpić do pracy w fabrykach i na roli.

Praca fotoreportera w tym czasie była bardzo uciążliwa, trzeba było dwoić się i troić, aby zdążyć zadokumentować niezwykle wydarzenia dla Polski Ludowej.

#### viii ●. Powrót do życia

Przemiany społeczne - reforma rolna, osadnictwo wojskowe na ziemiach zachodnich, upaństwowienie kluczowego przemysłu oraz tworzenie nowych związków tyktycznych Ludowego Wojska Polskiego przynosiły fotoreporterowi mnóstwo tematów do fotografowania. Nasze Ludowe Wojsko Polskie walcząc obok Armii Radzieckiej wpisało się do księgi historii zwycięstwa nad hitlerowcami, ale wojsko nasze walczyło również w wielu częściach świata, wszystkie te drogi prowadziły do kraju. Powracające wojska z zachodu trzeba było odpowiednio przyjąć i wyjaśnić, że ojczyzna czeka na nich. Otrzymałem wraz z Teosiem Urniażem polecenie wyjazdu do Koźła, gdzie mają przyjechać żołnierze z Armii generała Andersa. Zabraliśmy ze sobą dwie paczki gazet "Polska Zbrojna" i udaliśmy się na dworzec Kaliski w Łodzi.



Pociąg miał odjechać o godzinie 22.00 w kierunku Częstochowy, ale niestety tabor kolejowy nie był zbyt obfity i opóźnienie wyjazdu dochodziło już do sześciu godzin. Wreszcie zawiadowca o godzinie 6 rano powiadomił, że pociąg nie odjedzie z powodu pęknięcia kotła w parowozie. Mróz był niesamowity  $-22^{\circ}\text{C}$ , my w wojskowych płaszczach i konfederatkach, wyszliśmy na rozstaje dróg i po półtora godzinnym oczekiwaniu zatrzymaliśmy ciężarowy samochód, który wiózł do Częstochowy dwie krowy i świnie, ale nie było wyjścia, musieliśmy zabrać się w drogę tym samochodem i w niezbyt przyjemnym towarzystwie.

Mimo dużego mrozu mieliśmy dosyć gorącą podróż, ponieważ świnia chodziła luzem, potraçała krowy, które bez przerwy wierzgały, a myśmy robili uniki, aby w całości dojechać do miejsca przeznaczenia. W Częstochowie udało nam się dostać miejsce w parowozie pociągu obok maszynisty. Dojeżdżając do Koźła maszynista oświadczył, że na stacji nie zatrzyma się. Trzeba było przed miastem na moście zwolnić bieg pociągu, a my rzuciliśmy najpierw paczki z gazetami, a następnie zeskoczyliśmy sami i pieszo doszliśmy do miasta. Na stacji w Koźlu stało siedem wagonów towarowych udekorowanych polskimi flagami i transparentami. Spotkał nas porucznik w mundurze angielskim z napisem na rękawie Poland i zaprosił do świetlicy dworcowej, gdzie odbywało się powitanie przez gen. Pułtużyckiego. Po zakończeniu obustronnych przemówień rozpoczęły się luźne rozmowy.

My rozdaliśmy nasz bagaż w postaci gazet "Polski Zbrojnej", a oni zaprowadzili nas do spiżarni, która przyjechała w trzech towarowych wagonach, a były tam same delikatesy jak na te czasy powojenne. Czekolada, kompoty, konserwy, rodzyнки, kawa, papierosy i alkohol.

Przywieźli tego w nadmiernej ilości i częstowano nas bez ograniczeń. Wreszcie Teoś zajął się wywiadem o walkach na zachodzie, ja wykonałem kilka zdjęć i wracałem do swojej kwatery. Po drodze spotkał mnie jeden żołnierz i powiada, że chciałby mnie podarować paczkę herbaty. Zacząłem dziękować, że już dosyć mam od nich prezentów, ale ów żołnierz zaczął rozpaczać, że nie ma nikogo w kraju, całą rodzinę wymordowali mu Niemcy, a on trafił do Oflagu i stamtąd uciekł na Zachód, tam dostał się do wojska i teraz ja mu robię przykrość, że nie chcę przyjąć od niego herbaty. Chciałem pocieszyć go i wyraziłem zgodę przyjąć, wtedy ucieszony żołnierz poprowadził mnie do wagonu i wyrzucił mi z wagonu 50 kilogramową paczkę herbaty.

Jak mówi polskie przysłowie "szkoda rzucić i ciężko nieść". We dwóch przykantowaliśmy paczkę do mojej kwatery i tam po rozpakowaniu obdzieliliśmy wszystkich sąsiadów i jeszcze nam z Teosiem zostało po pięć kilogramów, bo tak była pakowana herbata do dużej skrzyni.

Po powrocie do redakcji koło nas zromadzili się kto był żywy i wszystkich starczyło obdarować.

Oczywiście kobiety delectowały się czekoladą, kompotem z moreli i kawą, a mężczyźni częstefildy i coś mocniejszego.

Następny wyjazd był z Tadeuszem Bernasiem na ziemie zachodnie, aby towarzyszyć osadnikom wojskowym. Wysiedliśmy na dworcu w Jeleniej Górze. Na bocznicę rozładowują się repatrianci z za Bugu, ale nas interesują wojskowi. Na punkcie repatriacyjnym skierowano nas do wsi Ludwikowo. Tam zastaliśmy pełno wojskowych, którzy zostali zdemobilizowani i otrzymują tu opuszczone po Niemcach gospodarki, inwentarz żywy i martwy. Życie zaczyna nabierać rumieńców, nawiązują się sąsiedzkie stosunki i wzajemna pomoc.

Jednakże w terenie jeszcze było niebezpiecznie.

Miny i niewypały pozostawione przez uciekające wojska hitlerowskie pozostawiły sobie jeszcze dużo do życzenia. Żołnierze jednostek saperskich ciągle jeszcze narażali swoje życie, aby można było spokojnie dokonać reformy rolnej, nadania aktów własności i wyjść pracować w pole.

### ix • Awans

W czerwcu 1945 roku utworzono Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej z siedzibą w Warszawie. Ministrem Obrony Narodowej został Marszałek Polski Michał Rola Żymierski.

Część fotoreporterów wojskowych znajdujących się przy czołówce filmowej WP zdemobilizowano i utworzono Agencję Fotograficzną przy Filmie Polskim.

Przy Centralnym Organie WP "Polska Zbrojna" pozostałem ja sam. Najczęściej współpracowałem z redaktorem Teosiem Urniażem, toteż wiele wspólnych przeżyć można znaleźć w artykułach tego dziennika, zilustrowanych zdjęciami dokonanymi przezemnie. Nierzadko zdarzało się tak, że nie zdążyłem wrócić z podróży z Teosiem, jak na mnie czekał inny redaktor Tadeusz Bernas, Bronisław Król, Mariusz Kwiatkowski czy też Anna Jakubiszyn, którzy również pragnęli, aby ich reportaże zilustrować zdjęciami. Były to zdjęcia z ćwiczeń w nowotworzących się garnizonach Ludowego Wojska Polskiego, jak również zdjęcia z wyzwolonych terenów prastarych ziem zachodnich - Wrocław, Jelenia Góra, Gubin, Nysa.

Unikalne zdjęcia z przeprowadzenia reformy rolnej na wsi koło Bolesławca woj. wrocławskie, które reprodukowano po dzień dzisiejszy w książkach, podręcznikach szkolnych i periodykach.



Sprzętem dysponowałem wtedy nie najlepszym, był to służbowy aparat fotograficzny FED i trofejna sprężynowa maszynka do magnezji na kamyczki do zapalniczki.

Mówili, że nie ma Warszawy.

Tak mówił Hitler, wściekły tempem <sup>odwrotu</sup> ~~obrotu~~ kazał nie zostawić w Warszawie ani jednego domu. Jego żołdaki byli mu posłuszni. Ale po wyzwoleniu Rząd Polski postanawia odbudować zniszczoną stolicę. Nie było światła, wody, ale ludzie garnęli się do stolicy z całej Polski, zamieszkiwali, gdzie się dało, w piwnicach, w zniszczonych mieszkaniach, byle jak, bez okien, bez drzwi, a nawet bez dachu.

Następnie powstała Warszawa parterowa. Kto nie pamięta ulicy Marszałkowskiej, największego centrum handlowego lewobrzeżnej Warszawy.

Wreszcie na pierwszej Konferencji Stołecznej Organizacji PZPR powstał plan odbudowy Warszawy od podstaw.

Nasza redakcja "Polska Zbrojna" przeniosła się do stolicy już 30 marca 1946 roku. Gen. dyw. Bolesław Zorako-Zorakowski ówczesny dowódca OW Łódź, wystosował taki list do redakcji: "Z żalem żegnam "Polską Zbrojną", która z dniem 30 marca 1946 roku opuszcza Łódź i przenosi się do Warszawy. Przez czas pobytu swego w Łodzi redakcja "Polski Zbrojnej" wykazała wiele zrozumienia dla potrzeb DOW Łódź, za co składam jej serdeczne podziękowanie".

Ryszard Dobrowolski będąc wtedy pracownikiem redakcyjnym w swoim artykule "Pożegnanie z Łodzią" w podskrypcie pisze: Co do mnie osobiście - nie opuszczę Łodzi. Rozdarty między dwoma miłościami żyć będę "okrakiem" w Łodzi i w Warszawie, aż do czasu, kiedy łódzką koleją dojazdową lub pocztowym warszawskim tramwajem będzie można poruszać się między dwoma najbliższymi dzisiaj mojemu sercu miastami.

Granica ich przebiegać będzie wówczas przez rynek w Skierniewicach.

Redakcja zwiększyła swój stan liczebny personelu, ponieważ powstało już kilka działów. Ja pozostawiając rodzinę w Łodzi, przeniosłem się <sup>również</sup> do Warszawy i należałem do wszystkich, dokonując wielu historycznych zdjęć ze zniszczeń i odbudowy naszej stolicy. Zbliżało się święto pierwszego maja, było to pierwsze po wojnie święto robotnicze, w którym brał udział cały naród wolnej i niezależnej Rzeczypospolitej Polski. Na ulicach Warszawy widać było ożywienie, na gruzach domów ukazywały się czerwone i biało-czerwone flagi. Za pierwsze osiągnięcia w pracy - pierwsze awanse i odznaczenia.

Ja również na pochód pierwszomajowy zameldowałem się jako podporucznik WP, a w pierwszą rocznicę zwycięstwa zostałem odznaczony medalem "Za zwycięstwo i wolność" oraz Srebrnym Krzyżem Zasługi.

### ̄ • W stolicy

Od pierwszych dni odbudowy Warszawy rozpoczął się gorączkowy okres ratowania z ruin tego, co można było jeszcze uratować. Do na wpół rozwalonych domów płynęły nieustannie masy ludzkie, które zajmowały zdemolowane, bez okien, bez wody, bez światła, a często i bez dachu i drzwi mieszkania. W tych właśnie ruderach ze łzami i radością witały powracających członków rodziny i przyjaciół. Ta sama Warszawa, którą świat zachodni uważał za miasto stracone, wróciła do życia. Pojawiło się hasło: "Cały naród buduje swoją stolicę". Nie liczono wtedy godzin pracy, masowo stawano przede wszystkim do odgruzowywania, aby można było zrekonstruować zabytkowe dzieła architektoniczne lub oczyścić miejsce na nowoczesne bloki mieszkalne. Byłem nie tylko świadkiem tego zapału i poświęcenia, lecz w wolnych chwilach brałem również udział w tych pracach, nie rozstając się z fotoaparatem, który stale dokumentował każdy wyczyn, każde osiągnięcie.

Dla każdego, kto nazajutrz po wyzwoleniu stolicy widział oblicze jej mieszkańców, nie było wątpliwości, że Warszawa nie zginęła i zginąć nie może.

Leon Pasternak, który powrócił do stolicy tak pisał w swoim wierszu "Powrót" :

Zbłąkany pośród zgliszcz stanąłem,  
Wśród wzgórz dymiącej, krwawej cegły,  
Wiatr sypał śniegiem i popiołem,  
Na groby, co wśród ruin legły.  
Ja - syn wygnany tego miasta,  
Z daleka wracam drogą trudną,  
- a w oczach łuna już dogasła,  
- a serce w piersi skrzepło grudą.  
Spalony dom mój, skwer i jodła,  
Rozdarty bruku tli się kamień  
Tęsknota, co mnie tu przywiodła  
Strzaskana leży pod gruzami.

Koniec wojny wyraźnie był odczuwalny w każdej rodzinie. Stabilizowało się życie w zakładach pracy, rzemieślnicy świadczyli swoje usługi, a rolnicy rzetelnie rozpoczęli pracę na swoim.

XI Jan syn Jana

Kiedy 27 sierpnia 1946 roku wróciłem z podróży służbowej, żony w domu nie zastałem, powiedziano mi tylko, że mam trzeciego syna, który po urodzeniu się ważył sześć kilogramów. Oto co napisała żona ze szpitala : "Drogi Janku - samopoczucie mam dobre, prawda wewnętrzności jeszcze bolą, ale to wszystko nic. Jak Tobie już wiadomo, w ten sam dzień jak mnie przywieziono do szpitala o godzinie 8<sup>30</sup> rano urodził się syn. Oj, Janku ciężko było, ale wszystko przeszło szczęśliwie i dobrze. Mimo tego, że jeszcze niezupełnie jestem zdrowa, wkrótce wrócę do zdrowia i o wszystkim zapomnę.



Ale jak ktoś nie ma dobrego męża to mi się zdaje, że bardzo, bardzo ciężko i szkoda cierpieć. Ale dzięki Bogu i mi się zdaje, że ja jestem najszczęśliwsza, że mam takiego dobrego męża. W życiu każdemu zdarzają się ciężkie chwile i właśnie w tych ciężkich chwilach jest z kim poradzić się i razem przeżywać z najbliższym przyjacielem, a tym przyjacielem może być tylko mąż lub żona. Synek podobny jest do Ciebie, sam jak piłeczka taki grubasek, siostry nazywają go "Herkules".

Całuję Cię mocno            Nina.

Postanowiłem jak najprędzej odwiedzić ich w szpitalu. Zgłosiłem się do komendanta wojskowego szpitala wykorzystując legitymację służbową i nie zdradzając, że to mój syn, uzyskałem zezwolenie na dokonanie zdjęć Herkulesa.

Ubrano mnie w biały fartuch, pokazano wydział porodowy i urządzenie "tortur", a następnie przeszliśmy do słonecznego pokoju, gdzie w eleganckich łóżeczkach leżały niemowlęta.

Siostra wskazała nam noworodka, a po dokonaniu zdjęć poszliśmy z dzieckiem do szczęśliwej matki. Kiedy weszliśmy na salę i ja od razu skierowałem się do żony składając jej gratulacje, wtedy komendant patrząc na kartę zdrowia wybuchnął śmiechem i powiedział: " I kto by to pomyślał, to tylko dziennikarskim sprytem udało się panu dostać na wydział, aby na drugi dzień po urodzeniu się dziecka złożyć wizytę noworodkowi".

Na tej wizycie ustaliliśmy, że syn zostanie nazwany moim imieniem. Żona wzięła syna do karmienia, a ja zrobiłem jeszcze kilka zdjęć i wyszedłem wraz z komendantem.

Aby nie zrobić zawodu komendantowi, kiedy przybyłem po odbiór żony i syna przyniosłem ze sobą komplet zdjęć i plik gazet w których były zamieszczone zdjęcia małego Janka.

Nasza redakcja "Polska Zbrojna" została rozlokowana w Warszawie przy ul. Królewskiej 2 w gmachu w którym znajdował się Główny Zarząd Polityczny WP. Personel redakcyjny i pomocniczy liczył 62 osoby oraz wielu dziennikarzy terenowych. Moje zdjęcia ruin Warszawy i jej odgruzowania były zamieszczane nie tylko w "Polsce Zbrojnej" ale również w wojskowych czasopismach.

## XII 2. Dar Pomorza

Polacy ciągnęli do kraju z całego świata, którzy walczyli o Polskę na różnych kontynentach. Wróciły również do kraju jednostki morskie, które w czasie wojny znalazły sobie schronienie w portach angielskich. Szkolny Okręt Żeglugi Polskiej Marynarki Handlowej "Dar Pomorza" oraz trzy podwodne okręty wojenne "Orzeł", "Burza" i "Sęp" zostały przyprowadzone do portu wojennego na Oksywiu pod dowództwem komandora J. Kłosowskiego. Razem przybyli również oficerowie komandor Mohuczy, kapitan Gąsiorowski i kapitan żeglugi wielkiej Żebrowski.

W dniu przybycia do portu wybrałem się z Teosiem na powitanie. Była to dla nas zupełna nowość. Po raz pierwszy znaleźliśmy się na pokładzie "Daru Pomorza". Przybyli także : prezydent R.P. Bolesław Bierut, Marszałek Polski Rola - Żymierski oraz kontradmirał ZSRR Abramow. Po wkroczeniu przedstawicieli Rządu na pokład przy dźwiękach Hymnu Narodowego wciągnięto flagę na maszt i odebrano raport od dowódcy komandora Kłosowskiego w obecności załogi - oficerów i marynarzy. Następnie komandor Kłosowski oprowadził po "Darze Pomorza", wyjaśniając po drodze warunki przedostania się do portów Anglii, po czym przeszliśmy na pokład jednego z podwodnych okrętów "Orzeł", którego historię poznaliśmy w filmie reżysera Buczkowskiego.

A gdy śruby i rurki okrętu podwodnego zamąciły zupełnie nam głowy Komandor Kłosowski poprosił nas na część oficjalną uroczystości, tzn. odwiedzić mesę oficerską "Daru Pomorza", na co czekały z niecierpliwością nasze żołądki, które jak dotychczas wypełnione były tylko morskim powietrzem. Natychmiast zjawił się także głośny na całą marynarkę kucharz "Daru Pomorza" Witek, który zaproponował skromny marynarski obiad z sześciu dań. Były to niezapomniane czasy.

Po sytym obiedzie odbyło się wręczenie załodze odznaczeń państwowych i wojskowych, a przedstawiciele Rządu i ambasador Abramow przesiedli się na niedawno ofiarowany przez marynarkę wojenną ZSRR ścigacz i wypłynęli na spacer morski.

### xiii Goście

Ustawiono słupy graniczne nad Odrą i Nysą Łużycką.

Z każdym dniem granice naszego kraju uznawane były przez państwa socjalistyczne i kapitalistyczne oraz zaczęto nawiązywać stosunki dyplomatyczne.

Dnia 14 marca 1946 roku z wizytą przyjaźni zawitał do nas legendarny wódz narodów Jugosławii Marszałek Józef Broz Tito. Powitanie tego dostojnego gościa odbyło się jeszcze ~~na~~ na stacji Włochy pod Warszawą. O godzinie 12 w południe zgromadziły się tu liczne tłumy. Przybyli również na powitanie vice prezydent Barcikowski, premier Osóbka - Morawski, vice premierzy Gomółka i Mikołajczyk, Naczelnny Dowódca Sił Zbrojnych PRL Marszałek Polski Michał Rola - Żymierski, wyżsi oficerowie WP i korpus dyplomatyczny. Na dworzec udekorowany narodowymi flagami Polski i Jugosławii wjechał specjalny pociąg, z którego przy dźwiękach hymnu narodowego, wysiadł Marszałek Broz Tito wraz z towarzyszącymi mu osobami.



Po przywitaniu się z członkami Rządu, przedstawicielami WP i korpusem dyplomatycznym Marszałek Tito odebrał raport od dowódcy kompanii honorowej WP, po czym przeszedł przed jej frontem. Po przyjęciu defilady Marszałek Tito wygłosił krótkie przemówienie przed mikrofonami polskiego radia, dając wyraz zadowolenie że może osobiście pozdrowić naród polski w imieniu narodów i rządu Jugosławii.

"Braterstwo naszych narodów powstałe we wspólnej walce z faszyzmem niemieckim, pogłębimy je współpracą w dobie pokojowej" mówił Marszałek Tito kończąc przemówienie okrzykiem na cześć Narodu Polskiego, Rządu i Prezydenta Bieruta. Po uroczystości powitalnej we Włochach Marszałek Tito wraz z przedstawicielami KRN i Wojska Polskiego udali się samochodami do Warszawy. Następnie odbyło się oficjalne przyjęcie w Belwederze przez prezydenta Bieruta i udekorowanie Marszałka Tito najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym Orderem Virtuti Militarii I klasy. W czasie pobytu w Polsce Marszałek Tito zwiedził miasta Łódź i Wrocław, spotykając się z życzliwością i serdecznością ze strony społeczeństwa, jak również w garnizonach wojskowych, gdzie odbył spotkania z żołnierzami i podchorążymi szkół oficerskich.

Po podpisaniu układu o przyjaźni i wzajemnej współpracy między Polską a Jugosławią w dniu 19 marca, Marszałek Tito gościł u Ministra Obrony Narodowej WP Marszałka Roli-Żymierskiego.

W końcowym przemówieniu Marszałek Tito powiedział:  
"Widziałem młode, ale zahartowane w bojach. Wojsko Polskie i jestem przekonany, że znajduje się ono na najlepszej drodze, aby wyrosnąć na dzielnych obrońców swojej Ojczyzny".  
Po niedługim czasie witano następnego gościa Ministra Obrony Narodowej Armii Czechosłowackiej, generała Ludwika Svobodę, a następnie

działacza hiszpańskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, generalnego sekretarza Partii Komunistycznej Hiszpanii Dolares Ibaruri /pseudonim La Pasionaria/. Wszystkie uroczystości powitalne podobne są do siebie i mają charakter oficjalny z zachowaniem ceremoniału dyplomatycznego.

Rok 1946 był początkiem, w którym Rzeczpospolita Polska była znana na całym świecie, chociaż w niektórych państwach dowiedziano się o niej dopiero po raz pierwszy. W tym znamienym roku redakcję naszą odwiedził również gość - Wernyhora, który pełnił funkcję Szefa Wydawnictw Wojskowych ZSRR, a w czasie II wojny światowej był dowódcą partyzantki na Ukrainie. Jego wybitnym wyczynem było porwanie wysokiego oficera niemieckiego w Winnicy i dostarczenie samolotem do dowództwa radzieckiego.

#### XIV Defilada

Najbardziej popularnym moim zajęciem w czasie pokoju było fotografowanie w czasie uroczystości państwowych i wojskowych. Uroczystości takie przeważnie odbywają się na wolnym powietrzu i nie wymagają dodatkowego sprzętu poza aparatem fotograficznym, filtrami i wymienną optykę. Jedną z takich tradycyjnych uroczystości jest defilada wojskowa, która weszła już na stałe do ceremoniału wojskowego.

Jak zwykle na kilka dni przed uroczystością rozpoczyna się budowę trybun oraz dekorację miasta. W ostatnią noc poprzedzającą uroczystość nieustannie trwa praca wykończeniowa służb pomocniczych, a zgrupowane w specjalnych miejscach pododdziały wojskowe dokonują próbnych defilad i zgrania w całości. Następnego dnia w godzinach rannych zaczynają gromadzić się uroczystości z transparentami tłumy mieszkańców miasta.

Około godziny 10<sup>00</sup> na trybunie pojawiają się przedstawiciele rządu i władz partyjnych. Boczne trybuny wypełniają goście zaproszeni i korpus dyplomatyczny.

W tym czasie staram się zorientować w terenie i uzgodnić z innymi fotoreporterami punkty zdjęć, od czasu do czasu naciskając na spust migawki aparatu, dokonując dokumentacji przybycia na trybunę poszczególnych dostojników państwowych i gości. Punktualnie o godzinie 10<sup>00</sup> następuje chwila uwagi, we wszystkich głośnikach rozlega się melodia Hymnu Narodowego, a następnie sprawozdawca radiowy zapowiada przemówienie Ministra Obrony Narodowej. Po przemówieniu aktywność moja, jak i moich kolegów wzmagą się. Przed trybuną defiladę rozpoczynają poczty sztandarowe oraz w zwartych kolumnach maszerują różne rodzaje wojsk. Pierwsze zdjęcia jakie dokonuję to poczty sztandarowe od strony trybuny z pozycji żabiej, dalsze zdjęcia to zwarte kolumny maszerujące na tle trybuny. W tym celu staram się dostać ~~na~~ jakiegokolwiek podwyższenia, może to być rusztowanie do tego celu wybudowane lub balkon, z którego można byłoby dokonać zdjęć z lotu ptaka. Na tym podwyższeniu przeważnie pozostaję aż do pokazów techniki wojskowej: czołgów, artylerii i wojsk zmechanizowanych, ponieważ w tej pozycji mogę pokazać na zdjęciach od przodu i od tyłu siłę i masę naszej techniki wojskowej. Defiladę lotnictwa fotografuję zawsze z dołu, tak aby w kadrze uchwycić można było jakiś przedmiot na ziemi. Ponieważ każda defilada jest bardzo do siebie podobna, to moim zadaniem było pokazać z każdej defilady nowe ujęcie. Inaczej sprawa wyglądała, gdy fotografowałem pochód w dniu święta narodowego, tu zanim rozpoczął się pochód na ulicach i placach miasta pełno było śmiechu i radości. Odbywały się tańce, występy zespołów artystycznych, pokazy sportowe, loteria fantowa i cały szereg imprez ludowych.



I tu miałem zawsze bogatą tematykę do wyboru i koloru, trzeba było szybko decydować się na wybór punktu zdjęcia i chwytać wszystko na gorąco. W samym pochodzie również duża różnorodność od weteranów powstań i wojny do grup robotniczych, zakładów, organizacji młodzieżowych i szkolnych. Kiedy fotografowałem nieduże defilujące grupki lub trybunę wybierałem niski punkt ustawienia aparatu; przy fotografowaniu folkloru oraz wyróżniających się osób stosowałem średni punkt ujęcia; natomiast wszelkiego rodzaju ogólne ujęcia defilujących osób lub występy zespołów artystycznych fotografowałem z wysokiego punktu.

#### XV 13. Ćwiczenia

W formujących się nowych garnizonach Ludowego Wojska Polskiego miałem wiele roboty.

Moje zdjęcia codziennie dostarczały nowych informacji o szkoleniu, inspekcjach i promocjach młodych oficerów przez wybitnych dowódców jak Marszałek Michał Rola Żymierski, gen. Karol Świerczewski, gen. Stanisław Popławski, gen. Bordziłowski i inni.

Wyjazd z gen. Bordziłowskim do Kazunia, gdzie były przeprowadzane ćwiczenia saperów. Gdy przyjechaliśmy na miejsce słońce zaczęło wschodzić, była silna mgła. Warunki ćwiczenia jak na zamówienie, powiedział generał stojąc w oddali i obserwując przez lornetkę przebieg ćwiczeń. Pod obstrzałem artyleryjskim imitowanym za pomocą petard część saperów przedostała się łodziami pontonowymi na przeciwległy brzeg. Pozostali żołnierze szykowali pontony do montażu mostu. Żołnierze wiedzieli, że od każdego z osobna zależy aby ćwiczenia wypadły sprawnie i na czas. Obecność generała Bordziłowskiego jeszcze bardziej przysporzyła energii u żołnierzy.

Most rósł z minuty na minutę. Czas naglił, ale musiała być i precyzja wykonania, gdyż jedna nieuwaga i wszystko na nic. Budowa dobiegała końca, generał spojrział na zegarek i powiedział głośno: Zuchy chłopcy. W tym czasie podbiegł dowódca przeprawy i zameldował Ob. Generale most gotowy do przeprawy. Generał uścisnął rękę oficerowi i kazał przygotować listę wyróżniających się w ćwiczeniach.

Kadra oficerska, podoficerska i żołnierze których często odwiedzałem na obozach letnich twierdzili, że ciężko przelany pot na ćwiczeniach nie pójdzie na marne. Gdy dochodziło do końcowych wyników ćwiczeń, broni połączonych w warunkach maksymalnie zbliżonych do bojowych, żołnierze wykażą swoje prawdziwe wartości bojowe.

I oto znaleźliśmy się z Teosiem na pierwszym, powojennym ćwiczeniu połączonym z ostrym strzelaniem na poligonie w Toruniu. Teoś mógł zostać na trybunie obserwacyjnej wraz z dowództwem ćwiczeń i spokojnie obserwować przebieg całych ćwiczeń przez lornetkę. Mnie to nie wystarczyło. Ja musiałem być razem z żołnierzami. Dowódca odcinka przydzielił mi punkt obserwacyjny przy stacji radiowej i rozkazał, aby z tego miejsca nie ruszać się.

Powoli zapadał zmierzch. Przed nami cichy milczący pas "frontu". Gdzieś na tym samym wzgórzu, z którego dowództwo ćwiczeń obserwowało "pole bitwy" przyczaiła się bateria artylerii pułkowej która jutro o świcie ogniem na wprost rozpocznie artyleryjskie przygotowania na "nieprzyjaciela".

Obok świetnie zamaskowano stanowiska piechoty.

Dalej zasieki z drutu kolczastego i linia obronna "nieprzyjaciela" zamaskowane równie dobrze. Linia rowów strzeleckich piechoty zdaje się wymarła. Nikt z obserwujących pole nie przypuszcza nawet, że świetnie zamaskowane darnią i zielenią rowy kryją w sobie setki przyczajonych żołnierzy.

I nagle od strony pozycji nieprzyjacielskich, z drugiej strony gęstych zasieków drutów kolczastych wystrzela w niebo rakietą oświetlająca i w ciszę zapadającego wieczora wpada krótki grzechot karabinu maszynowego. Tak jak zwykle wieczorem front ożywia. Rakiety coraz częstsze, coraz częstsze strzały karabinowe. W rozbłyskach rakiet widać biegnące w stronę nieprzyjaciela grupki żołnierzy. Słychać jak nawiązuje się walka. I teraz cały front tonie wprost w świetle rakiet. Broni maszynowej zaczyna pomagać artyleria.

Raz po raz ciszę rozrywają detonacje wystrzałów armatnich i huk pękających pocisków. Uderzenie było tylko pozorujące. Chodziło właśnie o to, aby niespodziewanie zaatakowany przez oddział zwiadowczy "nieprzyjaciel" rozpoczął gwałtowną obronę. W tym czasie pomiarowcy oznaczyli już dokładnie stanowiska nieprzyjacielskich baterii artyleryjskich, na które następnego dnia posypie się lawina naszych pocisków.

O godzinie 8,30 rano nieruchomym wzgórzem wstrząsa głuchy pomruk tuż obok z lewa i z prawa niewidoczne do ostatniej chwili działa przeciwpancerne pluć zaczynają dziesiątkami pocisków.

Na pierwszej linii nieprzyjaciela wystrzeliwują słupy dymu i ognia. Równocześnie z pierwszej linii naszych okopów gwałtowny ogień otwierają działka piechoty.. Drży ziemia, wyje powietrze, a o kilkaset metrów przed nami rwą się strzępy belki nieprzyjacielskich schronów i wystrzeliwują w górę pióropusze pyłu i trawy. Równocześnie nadlatują samoloty. Eskadra szturmowców raz po raz pikuje nad stanowiskami nieprzyjaciela, obrzucając je dziesiątkami bomb. Artyleria strzela ostrymi pociskami, samoloty rzucają prawdziwe bomby. Żołnierze piechoty przyczajeni w rowach strzeleckich, którzy w tej chwili oczekują rozkazu do natarcia, mają przed sobą prawdziwy obraz pola walki.



20 minut trwa ogień bezpośredni. Ze świstem i furkotem prują powietrze pociski wszystkich kalibrów. Kurz i dym przesłania horyzont. Na przedpolu pokazują się ciężkie czołgi.

Na nowy sygnał rakieta, ogień artylerii przenosi się w głąb obrony nieprzyjaciela.

Po rozpoczęciu przygotowania artyleryjskiego okazało się, że punkt ten dla fotografowania był nieodpowiedni i należało wysunąć się nieco do przodu, aby sfotografować przygotowujących się żołnierzy do ataku. Gdy znalazłem się około 20 metrów od okopów jeden z młodych oficerów artylerii podał niewłaściwe obliczenia współrzędnych i pociski zaczęły kłaść się na małym skrawku ziemi między mną, a okopem. Wrócić do okopu nie było mowy, więc przywarłem do ziemi, a aparat ukryłem pod własnym ciałem. Na szczęście ogień z tego działa szybko został przerwany, mój hełm był draśnięty tylko małym odłamkiem, punkt obserwacyjny z radiostacją został zasypany całkowicie, a żołnierza obsługującego radiostację zabrała karetka pogotowia.

Wymieniliśmy kilka ostrych zdań z dowódcą odcinka, tak, że przestał się mną interesować, a ja spokojnie mogłem wykonywać swoje zadania. Pozostałem na miejscu wykonując cały szereg ciekawych zdjęć, które Teos po powrocie do redakcji wykorzystywał do swoich reportaży w dzienniku "Polska Zbrojna" i w tygodniku ilustrowanym "Żołnierz Polski".

### XVI. Na granicy

Częstym i ciekawym tematem do zdjęć byli żołnierze WOP-u, ponieważ dostarczali oni wiele środków wyrazowych do tworzenia obrazów fotograficznych.

Wchodzi tu w grę piękny krajobraz górski czy też zarośla z których WOP-ista sam czy też z psem wypatruje i nasłuchuje każdy powiew

wiatru, każdy szmer krzaczka. Wykonując zadanie redakcji i będąc na reportażu otwarcia fabryki Włókienniczej w Gubinie, dowiedziałem się, że stacjonuje tam placówka WOP-u. W rozmowie z dowódcą powiedziałem, że robiłem wiele zdjęć wopistom przy pełnieniu ich obowiązków, ale jeszcze nie udało mi się trafić na akcję ujęcia przestępcy granicznego czy chociaż przemytnika.

"Dobrze - powiedział major - jeżeli pan sobie życzy mogę pokazać panu jak żołnierze zachowują się w akcji". Major tej nocy miał w planie wypad - osobiście skontrolować posterunki na granicy. Umówiliśmy się, że z wieczora pójdziemy spać, a o godzinie 12,00 w nocy pójdziemy kontrolować posterunki. I tak się stało. Noc była pogodna, wyszliśmy nad Łabę, księżyc odbijał się w wodzie dookoła lekko szumiały od wiatru liście przybrzeżnych krzaków, szliśmy prosto nad wodę, wszędzie panował spokój. Major półgłosem opowiadał, jak często przez rzekę przepływają przeważnie przemytnicy, którzy handlują różnym towarem, ale czasem zdarza się, że przyłapie się grubszą rybkę.

Przy moście zażądano od nas hasła, major powiedział, wtedy zza krzaków wyskoczył kapral Mioduszewski i zameldował, że na granicy nic ważnego nie zaszło. Ja ze statywu wykonałem kilka zdjęć żołnierzy nad wodą i skręciliśmy w prawo do lasu.

I znowu nie ma pan szczęścia - powiedział major. Księżyc schował się za chmurami. Zrobiło się zupełnie ciemno, ale major znał tu każdy krzaczek i każdy posterunek. Szli w milczeniu. Major wykorzystał sytuację, że ja zatrzymałem się, aby zrobić siu, siu znikł jak kamfora.

Próbowałem półgłosem nawoływać, ale domyśliłem się, że była to pułapka, wyostrzyłem słuch i zacząłem iść ścieżką wydeptaną wśród zarośli. Księżyc znowu wyszedł zza chmur i świecił mi prosto w oczy.

Nie upłynęło wiele czasu jak odezwał się głos "stój" - stanąłem, "ręce do góry" - i chociaż wiedziałem, że to żart majora, ale nie wiadomo, żołnierz ma swoje prawa, podniosłem ręce do góry, a gdy obejrzałem się, niedaleko ode mnie stał żołnierz z wycelowaną pepeszką, a drugi zbliżał się do mnie od tyłu, najpierw obmacał wyjął pistolet z kabury, potem odebrał mi dwa aparaty fotograficzne. Zacząłem tłumaczyć się, ale to nie dochodziło do żołnierzy. Kazano mi iść, że sprawa wyjaśni się na strażnicy i jeden z żołnierzy pozostał na posterunku, a drugi prowadził mnie do strażnicy, gdzie na dyżurce siedział major i pękał ze śmiechu, ale gdy zobaczył mnie spoważniał i po odebraniu <sup>pistoletu:</sup> aparatu od żołnierza, zwolnił <sup>go</sup> żołnierza, a do mnie powiedział: "i był pan świadkiem zatrzymania na granicy", bałem się tylko, ażeby nie próbował pan stawiać ~~z~~ żołnierzom oporu, bo mogło być nieszczęście.

#### xvii ~~U~~ U lotników

Praca fotoreportera to ciągle wędrówki i stale poszukiwania, można powiedzieć - że spróbowałem chleba nie z jednego pieca. Otóż, gdy znalazłem się w Dęblinie wśród lotników, koszary były puste, podstawiony samochód w mgnieniu oka przewozi mnie na pobliskie lotnisko. Na wielkich betonowych płytach, w równych szeregach stoją imponujące maszyny. Białe - czerwona szachownica odcina się wyraźnie od zielonych skrzydeł i ogonów. Wokół samolotów, przy nich, w nich i pod nimi kręcą się mechanicy w usmarowanych kombinezonach. Potężne silniki są rozkapotowane, broń pokładowa częściowo zdemontowana. Pod każdym silnikiem na goleniach podwozia założone są wielkie blachy, przypominające tace. Z silników, mytych przez mechaników kapie niebiesko-fioletowy olej i gromadzi się na ich dnie.



Wszyscy piloci, mechanicy, radiotelegrafiści - biorą udział w wiosennej toalecie swych maszyn. W przededniu pierwszego maja, w przededniu powietrznej defilady, nad robotniczymi pochodami ambicją ich jest wyszykować znakomite samoloty na ostatni połysk by na słonecznym niebie było jeszcze jaśniej, gdy wzlecą w górę polscy lotnicy. Wysiedliśmy z samolotu<sup>chodu</sup>, do komendanta Oficerskiej Szkoły Lotnictwa podeszła młoda dziewczyna, pilot w stopniu porucznika i zameldowała, że jej maszyna gotowa do próbnego lotu. Wtedy komendant zwrócił się do mnie ironicznie - czy posiada pan oprócz aparatu fotograficznego zapasowe kalesony.

Zapiąłem spadochron, nałożyłem okulary i usłyszałem komendę mechanika "kontakt". Jest kontakt - powiedziała por. Kalinowska i po chwili oderwaliśmy się od ziemi.

Po zrobieniu dwóch okrążeń wraz z całym kluczem i po dokonaniu kilku zdjęć porucznik Kalinowska dała znak, że idzie do lądowania. Oderwała się od klucza i poszła w górę, następnie pikując szła w dół z taką siłą, że można było sądzić, że to już ostatni lot, ale niedaleko ziemi wyprowadziła maszynę i zrobiła jeszcze nisko jeden krąg i wylądowaliśmy. Byłem cały spocony, ale obeszło się bez zmiany kalesonów.

#### XVIII Na reportażu.

W związku z powstaniem wydawnictwa MON, zapotrzebowanie na zdjęcia ciągle rosło. W związku z dużym nawalem pracy zmuszony byłem wziąć sobie do pomocy asystenta Stanisława Iwana, przeszkalając początkowo do pracy w laboratorium, a następnie wdrażając zasadę dokonywania zdjęć prasowych i fotoreportaży. Umożliwiło mi to wykonywanie zdjęć nie tylko o tematyce wojskowej, ale również o tematyce cywilnej dla potrzeb wydawnictw wojskowych.

Legitymacja prasowa upoważniała mnie do wejścia bez ograniczeń nie tylko do jednostek i instytucji wojskowych, ale również do każdego zakładu pracy, a w wypadku konieczności nawet do łóżka. Toteż często będąc w terenie nie ograniczałem się do zrobienia zdjęć tylko z ćwiczeń wojskowych, ale penetrowałem teren i dowiadywałem się o osiągnięciach przodowników pracy w miastach i na wsi, o terenowych osiągnięciach w postępach nauki i kultury polskiej. Tematów do zdjęć często szukałem w teatrach, muzeach, świetlicach miejscowych, w szkołach wiejskich i zagrodach chłopskich. Robiłem reportaże w takich zakładach jak PAFAWAG, gdzie pamiętam spotkał mnie taki niuans. Wartownik zatrzymał mnie na bramie i po sprawdzeniu legitymacji pokręcił głową i powiedział, że nie może mnie wpuścić na zakład pracy, ponieważ w legitymacji jest napisane wyraźnie, że mam prawo fotografować, ale zezwolenia na wniesienie aparatu fotograficznego nie mam i dopiero wezwano komendanta straży, który wartownikowi wyjaśnił, że to jest równoznaczne.

Lubiłem również fotografować wyroby wedlowskie i jak tylko miałem trochę wolnego czasu zawsze tam mogłem poszperać za tematem, a temat był zawsze słodki.

W czasie, gdy ruszyła warszawska rzeźnia na Pradze po porozumieniu się z redaktorem Kuźniewskim wykonałem rozkładówkę dla tygodnika "Przekrój" pt. "Dzieje jednego kotleta".

Fotografowałem również na salach operacyjnych i w czasie zaćmienia słońca.

Następną fotoreportaż - odprawa oficerów w Rembertowie. Lubiłem punktualność, czego nie można było powiedzieć o Teosiu. Wyjechaliśmy pół godziny przed odprawą. Po drodze na przejeździe kolejowym straciliśmy 15 minut. Przy wejściu na salę drzwi tak zaskrzypiały, że wszyscy zauważyli naszą obecność. Na drugi dzień Naczelnny wręczył nam upomnienie za spóźnienie.

Trzeba było również uczestniczyć w różnego rodzaju spotkaniach w Radzie Ministrów i w Belwederze. Ileż to narozrabiałem, kiedy w Nowy Rok zgłosiłem się do Belwederu na uroczystość składania życzeń noworocznych tow. Bierutowi, a mnie opuszczono na liście i wartownik pod żadnym pozorem nie chciał wpuścić.

Zauważyłem przy bramie przycisk drzwonkowy, a uroczystość lada chwila miała się rozpocząć. Na sali pompejańskiej zebrało się wiele delegacji partii politycznych, instytucji oraz organizacji społecznych. Nie było innego wyjścia, zmuszony byłem nacisnąć na przycisk. Wybiegł natychmiast komendant straży, ale pomimo tego, że mnie znał, tak się wściekł, że odmówił mojej prośby, ale po odejściu komendanta zauważyłem, że jadą samochodem znajomi z ochrony. Zatrzymałem samochód i z nimi dostałem się na dziedziniec Belwederu. W czasie uroczystości komendant straży wielokrotnie zmierzył<sup>T</sup> mnie zabójczym wzrokiem co dało do zrozumienia, że sprawę trzeba przeprowadzić przez bufet. Na tym zabawa się zakończyła.

Tow. Bierut siedział w fotelu w towarzystwie osób mu bliskich, a nad głową świeciła żarówka, która wchodziła mi prosto w obiektyw w czasie fotografowania, po prostu podszedłem do kontaktu i wyłączyłem, ale po skończeniu zdjęć zapomniałem włączyć. Po jakimś czasie, kiedy zabrałem się już do konsumowania poczęstunku, szef protokołu dyplomatycznego podchodzi do mnie i pyta się czy można już włączyć żarówkę, bo prezydentowi jest ciemno. Powiedziałem - tak można włączyć i szef protokołu grzecznie podziękował i światło włączył.

I oto jesteśmy z Teosiem w Legnicy, zresztą nie pierwszy raz opracowywaliśmy fotoreportaż o zespole artystycznym Armii Radzieckiej.

Wracając na dworzec kolejowy Teoś zauważył - popatrz jaka fertyczka i rzeczywiście w naszym kierunku szła piękna dziewczyna, ubrana



skromnie w białej bluzeczce i granatowej na szerokich szelkach spódniczce. No i co z tego - po pierwsze żonaty, po drugie pociąg odchodzi za 20 minut, a po trzecie taka obstawa ... Oczywiście obstawa była co się zowie - dwu milicjantów, chłopaki jak świece nie ma frajerów.

Ale o drogę możemy zapytać. Podchodzimy bliżej. Ona coś im żywo powiada i po chwili cała trójka śmieje się wesoło. Bardzo przepraszamy - jak dojdziemy stąd do dworca? - O, to niedaleko. Wsiądźcie panowie do dwójki, dwa przystanki i dworzec. Voila! - wskazał ręką na nadchodzący tramwaj - siadajcie panowie. To pan z Francji? - zapytał Teoś. Tak my wszyscy z Francji. Niestety na dalsze rozmowy nie było czasu. Wyciągnąłem aparat fotograficzny, kiedy tramwaj zatrzymał się na przystanku. Niech go diabli wezmą, zdążymy następnym. Panna Więckowska jak każda kobieta - najpierw nie i nie, bo nie uczesana, bo to, bo tamto. Zanim wszystko wyliczyła, migawka pstryknęła już kilka razy i było po krzyku. Z towarzyszkami panny Stasi nie było ceregieli. Wytłumaczyliśmy w trzech słowach, co, dlaczego i sprawa załatwiona. Niestety następny tramwaj nie nadchodził. Jak panowie będą w Legnicy, to proszę zajść do moich rodziców - rzuca na pożegnanie pan Górski Edward. Adres! Żwirki i Wigury 46. Tylko musicie przyjść rano, bo ojciec idzie do pracy. Ledwo wpadliśmy na peron, a tu już: Gotów, odjazd! Usiedliśmy w prawie pustym przedziale, wyjąłem notes i zacząłem przepisywać nazwiska i adresy zanotowane na gazecie. Jeszcze jeden uśmiech panny Stasi i moglibyśmy spóźnić się na pociąg.

Następnym razem trafiliśmy do Legnicy w dzień targowy, a w dzień targowy nie ma co się spieszyć, bo i tak się nie zdąży.

Wozy tramwajowe zapchane na amen. Postoje na przystankach są niczym na dworcach kolejowych. Nic dziwnego, zanim się wyładuje tyle koszy, baniek, a i drób ma tu przywilej korzystania ze środków lokomocji miejskiej. Dopiero za rynkiem zrobiło się trochę luźniej. Ulica Żwirki i Wigury, gdzie mieszkają rodzice pana Górskiego, leży na uboczu. Domy tu są duże, jasne, trzypiętrowe. Pana Górskiego nie zastaliśmy, już wyszedł przed pół godziną do pracy. Przyjmuje jego żona, pani Maria - kobieta bardzo energiczna. W pięć minut zapoznała nas z wszystkimi problemami gospodarstwa. Mieszkanie ładne i duże - cztery pokoje z kuchnią. Gdyby jeszcze meble były do tego jak należy - wzdycha pani Górską. Tak, z meblami w Legnicy jest ciężko. Wojna zniszczyła dużo domów, ludzie osiedlili się tu później, niż gdzie indziej. Ci co przyszli pierwsi zabrali co lepsze. - Przykszy się samej. - Opowiada pani Górską. Syn we Wrocławiu w milicji. Mąż późno przychodzi. Słucham radia po całych dniach, bo i co mam robić. Ale niedługo tak będzie. Idę do pracy do fabryki włókienniczej. W domu się nie przelewa, mąż mógłby zarabiać znacznie więcej w piekarni, ale mu ten fach obrzydł. Zresztą ja do pracy przyzwyczajona, we Francji też nie siedziałem w domu. - Jak chcecie panowie, to zejdźcie do Błażejewskich na dole oni też z Francji. Przyjechali przed dwoma tygodniami. Wizyta u sąsiadów spaliła na panewce - pukaliśmy długo do drzwi, wreszcie ktoś z innego mieszkania poinformował nas, że pani Błażejewska poszła na targ i wróci za dwie godziny. Udaliśmy się do fabryki win, gdzie pracuje pan Górski Wacław. Znów jechaliśmy przez zatłoczone furmankami ulice. Motorniczy tramwaju repatriant ze Lwowa kłął w żywe oczy ten ruch. Ta tu panie w każdy wtorek zwariować można ! Od przystanku do fabryki jest niecałe pięć minut drogi. Weszliśmy do głównej bramy, gdzie tu pracuje pan Górski Wacław ?

- Ja jestem ! Od stołu podniósł się wysoki, szczupły mężczyzna, o ostrych rysach twarzy. Panowie w jakiej sprawie? Na wiadomość, że rozmawialiśmy z synem, twarz naszego rozmówcy rozjaśniła się. Rozmawialiśmy długo o Wrocławiu, o Legnicy, Wałbrzychu, o pracy i ludziach na ziemiach odzyskanych, a potem przeszliśmy na tematy bardziej osobiste. Pan Górski pochodzi z poznańskiego. Do Francji nie wygnała go chęć zobaczenia dalekiego świata, ale po prostu bieda. Lata spędzone na emigracji nauczyły go patrzeć na świat i ludzi. Legnicę wybrał sam, chociaż wiedział, że gdzie indziej mogło być lepiej. Był święcie przekonany, że tacy jak on powinni się znaleźć właśnie tam, gdzie jest gorzej.

Wierzył w lepszą przyszłość.

I sprawdziło się - ciągnie pan Górski. Nie ma co porównywać ubiegłego roku z obecnym. Za rok będzie jeszcze inaczej. Rozmowę przerywano nam co chwilę: to telefon, to znów ktoś przejeżdża albo wyjeżdża z fabryki. Pan Górski uwija się jak w ukropie. Czy tu zawsze taki ruch? O! niech panowie zaczekają jeszcze z godzinę, albo wtedy jak zwożą towar do fabryki. Wtenczas można dopiero mówić o ruchu. To od niedawna tak jest. Był czas, że fabryka była pusta. Zresztą zobaczycie panowie fabrykę, porozmawiacie z ludźmi. O samej fabryce opowiadał nam dyrektor Iwanicki. Przeżywał z zapalem budowę olbrzymiej prasy, cytował cyfry, podsumował raporty i wykresy. Niemcy wyrabiali tu likiery, ale z dawnych urządzeń nie pozostało ani śladu, mamy za to co innego "Biały tokaj", którego duża część idzie na eksport.

Dyrektor nacisnął palcem przycisk dzwonek, skrzypnęły drzwi. Do gabinetu dyrektora weszła sekretarka trzymając na tacy eksportowy tokaj i trzy kieliszki. Było wiadomo, że trzeba spróbować. Wino było wyśmienite, ale czas naglił, trzeba było jeszcze wykonać zdjęcia, aby fotoreportaż nasz był pełnowartościowy.



Warszawa goiła rany, z każdym dniem zmieniał się jej krajobraz. Odbudowa domów czynszowych rosła jak grzyby po deszczu. Warszawiacy wrócali do swoich gniazd. Każdy kto żywy i zdrow chwycił za kilof, łopatę i pomagał w odbudowie, bo takie było pragnienie każdego Polaka.

22 lipca 1946 roku Wisła już otrzymała most Poniatowskiego. Następnie Nowy Świat jest pierwszą ze znanych ulic warszawskich, której całkowita rekonstrukcja nawiązana ściśle do dawnych, historycznych założeń. 22 lipca 1949 rok odbudowa Mariensztatu i otwarcie trasy W-Z. Fotoreporter już miał co fotografować. Wybrałem się właśnie na gruzy Zamku Królewskiego, który został doszczętnie zniszczony i co ja widzę wśród zwalenisk fragmentów rzeźb, ornamentów i sztukaterii spotykam mojego pierwszego warszawiaka Marka Zabłockiego, który po wyzwoleniu oprowadzał mnie po jeszcze zaminowanej Warszawie. Marek miał już 15 lat pomagał on konserwatorom wyszukiwać fragmenty zniszczeń Zamku, aby w przyszłości, kiedy zapadnie decyzja odbudowy, można było wbudować autentyczne fragmenty Zamku.

Marka poznałem natychmiast, Marek wahał się z pamięcią i nie mógł jakoś mnie utożsamić, ponieważ w tym czasie wielu osobom cywilnym i wojskowym służył za przewodnika po wydeptanych przez niego ścieżkach dopóki przyszły oddziały wojsk inżynieryjnych i rozminały ostatecznie stolicę. Dla Marka zaczęły się ciężkie dni, jako bezdomny sierota jadał nie z jednego pieca chleb, a także sypiał tam często, gdzie go noc zastała. Wreszcie przypomniał sobie jak chodził ze mną w okopach powstańczych na Żoliborzu i jak przeprowadzał mnie na plac Napoleona.

Jak opowiedział mi później, zaopiekował się nim Antoni Szpaderski kierowca buldożera przy budowie Trasy W-Z.

Początki były niełatwe, ale Marek szybko stał się jednym z najpopularniejszych pracowników jako goniec, bo przecież znany był mu każdy kamyczek w zburzonej Warszawie.

Marek był wścibski i często był tam, gdzie go nie proszono, a w szczególności interesowała go praca konserwatorów, którym potrafił przyglądać się zapominając czasem o swoich właściwych obowiązkach. Godziny wieczorne Marek spędzał w szkole, gdzie również miał doskonałe osiągnięcia, uzupełniając zaległe wiadomości.

Marek i teraznie tracił czasu, przedstawił mi majstrów: Popowskiego i Kozłowskiego, następnie zaczął opowiadać i objaśniać każdy skrawek muru kolejno ponumerowanego, które zostały ostrożnie wyciągnięte z gruzów. Widać było, że Marek był w swoim żywiole. I tak rozmowa mogłaby trwać w nieskończoność, gdyby nie wzywały nas własne obowiązki, zrobiłem jeszcze kilka zdjęć Markowi i pożegnałem się do następnego spotkania w odbudowanym Zamku Królewskim.

Zdjęcia Marka zostały wykorzystane w książce Grażyny Weysznia - Terlikowskiej pod tytułem "Wczoraj - dziś - jutro Warszawy" wydaną przez Książkę i Wiedzę. ~~Warszawie~~.

Na zawsze pozostanie w pamięci światowy kongres pokoju w Warszawie, gdzie w nowo-wybudowanym gmachu Domu Słowa Polskiego zgromadziło się tysiące ludzi różnych narodowości, różnych organizacji społecznych i koloru skóry walczących o pokój świata. Można tam było spotkać wybitne osobistości politycznych, duchownych, aktorów i ludzi pracy.

Mówiono w różnych językach, aże na bieżąco tłumaczono, każdy mógł założyć słuchawki w języku zrozumiałym dla niego. Poza zdjęciami udało mi się wtedy nakręcić drugi film na taśmie 16 mm pt. "Wojna przeciw wojnie".

Częste wyjazdy w teren celem poszukiwania nowych tematów do fotografowania stały się z każdym dniem bardziej niebezpieczne, ponieważ powojnie pozostały w lasach niedobitki niemieckich żołnierzy, rosyjskich dezertersów i ukraińskich nacjonalistów, które łączyły się w grupy bandyckie napadając na osiedla i pojedyncze osoby. Po tym można było również spotkać żołnierzy i oficerów Armii Krajowej, którzy ukrywali się w lasach przed aresztowaniem przez UB. W tym samym czasie umyślnie zabił prawie przez dwa lata Stanisław Burza-Karliniski i myślał, że sprawa ucichła zaczęł odzwiedzać swoje rodzinę, ale w listopadzie 1946 roku kiedy przekroczył próg domu rodzinnego zastał tam gromadę sąsiadów, których zatrmano, ale nie uprzedono jego o zesadce UB. Karliniski odrazu zrozumiał, że przysli po niego, nie bronił się i nie uciekał, założono mu kajdanki i wyprowadcono bez pożegnania. W domu Karliniskich dokonywano wielokrotnie rewizji oraz skonfiskowano mienie. W krótkim czasie prawie na poszepekaniu spreparowano oskarżenie jakoby celem jego było obalenie władzy ludowej. Jeneń w końcu 1946 roku otrzymał wyrok karę śmierci, który na mocy amnestii został zamieniony na 15 lat pozbawienia wolności. Długo to odesobniony wypadek aresztowano wiele innych AKowców, którzy zdecydowali się ujawnić się.



Rosła siła i potęga naszego Wojska Ludowego.

Z każdym dniem rosły również zapotrzebowania na nasze zdjęcia do ilustrowania nie tylko dzienników i periodyków wojskowych, ale również do tworzenia historii i wydawania książek i albumów.

← 82<sup>a</sup>

XIX Gen. Świerczewski.

Generała Świerczewskiego wielokrotnie fotografowałem podczas promocji w szkołach oficerskich jak również na inspekcjach w jednostkach wojskowych. Jako wiceminister Obrony Narodowej gen. Świerczewski, były warszawski ślusarz w Woli, wybitny dowódca i psycholog, komunista i patriota współczesnego wojska.

Lubiany przez podwładnych i wśród społeczeństwa.

Gen. Świerczewski interesował się wyglądem zewnętrznym żołnierzy. Sprawdzał stan umundurowania i wyżywienie, dbał o wysoki poziom wyszkolenia. Fotografując gen. Świerczewskiego widać było, że nigdy nie zwracał uwagi na fotografujących, był zawsze sobą. Od czasu do czasu poprawiał tylko pas i chusteczką wycierał czoło. Tak samo było i 23 marca 1947 roku. Gen. Świerczewski wybierał się na tygodniową inspekcję garnizonu województwa rzeszowskiego. Nie zabrakło tam i mnie z Teosiem. Zapowiadała się piękna podróż salonką. Na drugi dzień gen. Świerczewski zatrzymał się w Oficerskiej Szkole Łączności w Sieradzu i po dokonaniu zdjęć w czasie inspekcji zmuszeni byliśmy wrócić do Warszawy, aby umieścić w prasie relację z dokonanej inspekcji.

Gen. Świerczewski odbywał dalszą podróż, a my mieliśmy dołączyć później bezpośrednio w Baligrodzie. 28 marca po dokonaniu inspekcji w Baligrodzie gen. Świerczewski w towarzystwie towarzyszących mu osób wyjechali do Cisny, gdzie na szóstym kilometrze samochody zostały ostrzelane przez bandy UPA.

Wiadomość o tragicznej śmierci generała Świerczewskiego wstrzymała nasz wyjazd. Trzeba było fotografować uroczystości żałobne. Dokonałem zdjęć na lotnisku jak wynoszono z samolotu trumnę z ciałem gen. Świerczewskiego w otoczeniu rodziny i najbliższych. Następnie przewieziono trumnę i ustawiono w Klubie Oficerskim przy Alei I Armii WP. Trumnę otworzono, ale ze względu na to, że rodzina nie życzyła sobie fotografowania, zabroniono wstępu dla fotoreporterów. Przy drzwiach zebrała się spora grupka dziennikarzy i fotoreporterów, jednakże w żadnym wypadku nie można było dostać się oficjalnie do środka klubu.

Wtedy poszedłem, jak to się mówi, po rozum do głowy. Przez kuchnię kasyna było wejście na poddasze, przyrzekłem kucharkom zdjęcia i po chwili byłem na poddaszu, a stamtąd opuściłem się po linie w dół na salę widowiskową. W trumnie zobaczyłem ciało gen. Świerczewskiego. Światła żadnego z sobą nie miałem, ustawiłem kilka krzeseł jedno na drugim i zdążyłem zrobić tylko jedno zdjęcie na czas z ręki, jak do sali weszło dwóch żołnierzy, założyli na trumnę pokrywę i zabili gwoździami.

Musiałem przyrzec wartownikowi, że nikt się nie dowie o fotografii. Ale na drugi dzień wraz ze zdjęciami konduktu pogrzebowego było w prasie jedyne zdjęcie popiersia gen. Świerczewskiego w trumnie.

### X ~~IV~~. W obronie Ojczyzny.

Zaraz po pogrzebie wyjechaliśmy z Teosiem do dowódcy grupy operacyjnej gen. Mosara w Rzeszowie, gdzie otrzymaliśmy samochód mały Dodz i dziesięciu żołnierzy do ochrony.

Wyruszyliśmy w rejon operacji, gdzie kościuszkowcy prowadzili zacięte walki z bandami UPA. Jadąc przez Przemyśl natrafiliśmy na przeszkodę, ponieważ przed Przemyślem zauważyliśmy szlaban,

który zagradzał tylko pół drogi, kierowca wyminął szlaban, ale ja po prostu instynktownie kazałem zatrzymać samochód. Jak okazało się, most był zerwany, ale jadąc pod górkę nie było widać i myśmy się zatrzymali dosłownie około 20 cm. od przepaści.

Na drugi dzień wyjechaliśmy w kierunku wsi Borowice, gdzie miał znajdować się walczący oddział kościuszkowców. Gdy wieczorem znaleźliśmy się we wsi Borowice, zastaliśmy pustą, spaloną wioskę, a ślady furmanek prowadziły do lasu. Robiła się już szarówka, ale nie było innego wyjścia, trzeba było szukać jednostki, wszędzie czyhało niebezpieczeństwo. Gdy podjechaliśmy do lasu, w krzaku coś zaszeleściło, kierowca zatrzymał się i wszyscy ukryli się za samochodem. Zaczęliśmy nawoływać, ale nikt nie odzywał się. Wtedy padł rozkaz oddania serii w kierunku krzaka. Coś spadło, ale po sprawdzeniu okazało się, że był to zabłąkany kot. Całą noc samochód pchaliśmy pod górę lasem po śladach. Następnego dnia zbliżał się ku końcowi, nagle usłyszeliśmy głos: "stój bo strzelam".

Trudno było rozpoznać czy żołnierz czy handyta. Okazało się szczęśliwie, że to wartownik KBW, do tego już mi znany, bo robiłem mu zdjęcie na komisji poborowej w Łodzi.

Drogą radiową odnaleźliśmy kościuszkowców, ale na nocleg zostaliśmy w jednostce KBW, ponieważ byliśmy zupełnie wyczerpani fizycznie po 24 godzinnym marszu.

Zjedliśmy wspólną kolację z żołnierzami. Kładliśmy się nie rozbierając się na z lekka zaścielonej słomą podłódze. Długo jeszcze wsłuchiwalismy się w chrapanie zmęczonych żołnierzy i cierpliwie znosiliśmy skoncentrowane ataki pcheł. Wreszcie zasnęliśmy. Obudził nas trzask wystrzału. Jeden, drugi. Trajkotliwie rozgdał się erkaem i pluje serią za serią. Detonują granaty.



Odruchowo spojrziałem na zegarek. Za piętnaście trzecia. Żołnierze już są na zbiórce, gorączkowo poprawiają zmięte mundury, sprawdzają karabiny. Nie znać po nich już wczorajszego zmęczenia. Oficerowie wydają rozkazy. Radiotelegrafista już się włączył na odbiór i woła coś do mikrofonu. Są i nasi żołnierze.

Cała dziesiątka wypożyczona nam przez generała Mosora jako ochrona już siedzą w samochodzie ściskając mocno automaty. Nawet kierowca Chaszczewski wyciągnął spod płaszcza swoją pepeszę i ulokował ją na kolanach. Meldunek radiowy, banda próbuje przerwać się przez linię placówek oddziału KBW na odcinku wsi Nastrepka. Atak został odparty, jest jeden ranny. Dla większego bezpieczeństwa trzeba wzmocnić obronę pomiędzy Natrepką a Jawornikiem.

W 5 minut potem jechaliśmy już w marszu.

Za chwilę ulokowaliśmy się na szczycie wzgórza, górującym nad lasem. Długa lufa erkaemu trzyma pod obstrzałem cienisty wąwóz wychodzący z lasu wprost na nasze stanowisko. Nasi żołnierze dotąd tylko raz brali udział w akcji i nie mieli wówczas - jak powiadają, szczęścia spotkać się z bandą, a palą się po prostu do walki.

~~Ata~~ "Burlak" po nieudanym ataku na placówkę KBW zaszył się gdzieś głęboko w lesie i nie daje znaku życia. Zresztą rozwidnia się już, a banderowcy bardzo niechętnie operują w dzień. Radiotelegrafista nawiązał wreszcie łączność z Kościuszkowcami - są o 10 km stąd. Jadą właśnie do wsi Borownica i tam będzie miejsce postoju ich sztabu. Wracamy więc do wsi i jedziemy do nich. Drapiemy się na to samo wzgórze, gdzie wczoraj spotkaliśmy ślady bandy i stamtąd widać już w dole ukryte w krzakach samochody i linię placówek, zamykających las. Znajome czapki z żółtymi otokami. To tu. Dowódca wita się z nami, nie wypuszczając z ręki mikrofonu radiostacji polowej.

Powtarzając wielokrotnie Wata, Wata ja Cerata - jak mnie słyszysz - odpowiadaj.

Ze wzgórza na którym znaleźliśmy się widać dokładnie cały kompleks lasu, poprzez <sup>cinanego</sup> ~~zynanego~~ głębokimi wąwozami - idealne miejsce na punkt dowodzenia. W tubę mikrofonu raz po raz wpadają energiczne rozkazy do poszczególnych pododdziałów. Tam z lewa wtrąca chor.

Marczuk i pokazuje ręką wzdłuż drogi z Borownicy do Dobrej Szlacheckiej - nasze placówki. Osadziły leśną drogę i myśz się Tędy nie przemknie. W prawo aż do Jawornika trzymamy linię lasu, a dalej jest już oddział, w którym byliście rano. Przed chwilą poszła w las tyraliera - o właśnie z tej strony, od tej plamy na lewo. Poprowadził ich por. Kucharczyk. Dobry oficer, żołnierze idą za nim w ogień. Lada chwila powinni przechodzić tą dużą polaną pośrodku lasu, zaraz za tym wąwozem. Niedługo powinni spotkać się z bandą, którą nagania na nich inna grupa, działając od strony Sanu.

Chor. Marczał przykłada z powrotem lornetkę do oczu. Kładziemy się za jakimś małym krzaczkiem na samym skraju wzgórza obok zamaskowanego RKM-u. Las jest tak gęsty, że trudno w nim coś zauważyć. Całą uwagę skupiamy więc na przednim skraju polany. Dowódca oderwał <sup>się</sup> już na chwilę ~~się~~ od radiostacji. Oddał mikrofon i słuchawki radiotelegrafistom, a sam studiował mapę. Jak tam Tomczak - nie jeszcze nie widać? Kpr. Tomczak przecząco kręci głową.

- Jeszcze ich nie ma Obywatelu Pułkownika.

Pułkownik rozkłada mapę i ciężko siada przy nas na trawie. Okazuje się, że Kościuszkowcy już stracili nadzieję na dogonienie bandy. Bandy ci bowiem w nocy przeskoczyli znowu San. Ale wypłoszył ich stamtąd zwiad konny, wysłany tam wczoraj. Burłak zawrócił z powrotem do lasów Borownickich i oddział wysłany w las już jest na tropie bandy.

Jak dotąd Kościuszkowcy mają szczęście - Uśmiecha się pułkownik. Ma szaroniebieskie oczy i jasne siwiejące nieco na skroniach włosy. Rozbiliśmy w tym miesiącu bandę "Lastiwki" teraz znowu ten "Burłak", a kilka dni temu mocno przetrzepaliśmy skórę "Kryłaczowi".

Najprawdopodobniej resztki "Kryłacza" połączyły się z "Burłakiem" - tym lepiej. Będzie prostrza robota. Przerywa nam gorączkowy okrzyk kaprała Tomczaka, Sę !!! Biegna przez polanę ... O ! . jeden, drugi, pięciu, panie pułkowniku, pięciu jeden w mundurze czterech w cywilu. O ! uciekają do wąwozu.

A las już rozbrzmiewa gwałtownym ogniem wystrzałów erkaemów i pepeszy. Seria za serią, coraz silniej, coraz gęściej.

A z drugiej strony odpowiada im terkotliwy, szczękający ogień bergmanów tak charakterystycznych dla broni niemieckiej.

Jest godzina 10 minut 40. Pułkownik nawiązuje rozmowę drogą radiową z por. Kucharczykiem.

"Wata, Wata, ja Cerata" - jak mnie słyszysz ? - Odpowiadaj.

- Odbiór. Pułkownik nagle zapytał czy możemy pożyczyć samochód aby przywieźć rannych i pojechał. Myśmy zostali na wzgórzu. Było nas razem z radiotelegrafistą 13 osób, jeden rkm, 10 pepeszek i dwa pistolety TT. Wszystko to było niczym w stosunku do grupy UP-owców. Około 70 osób, którzy właśnie wyskoczyli z lasu i biegają prosto na nasze wzgórze mając przy tym co drugi - rkm.

Przyczailiśmy się i czeka~~liśmy~~<sup>liśmy</sup>, aby zbliżyli się do nas jak najbliżej, aby zaoszczędzić amunicji i zrobić niespodziankę dla nieprzyjaciela. Uratował nas <sup>pierwszy</sup> jeden pluton zwiadu, który był z prawej strony w lasu, a o którym myśmy nic nie wiedzieli. Pluton zwiadu ostrzelał bandytów z <sup>c kMa</sup> ~~skóry~~ i zmusił ich do powrotu. Za chwilę zjawił się nasz samochód, ale nie z rannymi, lecz zabitymi kościuszkowcami, była to okropna scena.



Usunięto zabitych i udzielono pomocy rannym UP-owcom. Tych którzy poddali się zaczęto przesłuchiwać. Pułkownik żadnego wywiadu nie potrzebował udzielać, ponieważ byliśmy sami świadkami. Pułkownik zasiadł dalej do radiostacji i nawołując : Kucharczyk, Kucharczyk ... mówi dowódca, banda na wprost wzgórza 476,6 bić, bić ich, nie puścić, nie puścić ...

Pułkownik wprost krzyczy w tubę mikrofonu. Kapitan Biliński i chorąży Marczak nie odejmują od oczu lornetek. Żołnierze przy ERKM - ie przyłgnęli do ziemi, obrócili maszynkę lufą w kierunku strzałów, a kapral Sieroń czołga się do przodu w stronę wylotu biegnącego wprost ku nam, zarośniętego gęstymi krzakami wąwozu. Obserwujemy naszych żołnierzy, którzy zostali na dole przy samochodzie, już złapali automaty i erkaem i pochyle- ni biegają zboczem wzgórza w naszą stronę. Dajemy im znak, ażeby obsadzili wysunięty cypel na lewo. Zrozumieli. Zawracają i po chwili już lecą za jakimś krzaczkiem z wycelowanymi karabinami na las. Strzały umilkły. Nad lasem w miejscu, gdzie nastąpiło starcie wisi błękitny obłoczek dymu. Następnie długa chwila denerwującego oczekiwania. Pułkownik już nie studiuje mapy. Wsadził oczy w lornetkę i ómi papierosa za papierosem.

Radiotelegrafista włączył się na odbiór i nerwowo stuka palca- mi w skrzynkę radiostacji. Żołnierze szepczą coś do siebie na ucho. Marczak ! Na rozkaz Obywatelu Pułkownika. Głos dowódcy jest spokoj- ny i opanowany.

- Weźmiecie kilku ludzi i przeprowadzicie zwiad na przednim skraju lasu. Trzeba przetrząsnąć ten wąwóz, gdzie uciekło tych pięciu. Uciekli pewnie na lewo. Zanim Kucharczyk tam dojdzie, zwieją mu na prawo. Zresztą jego ludzie starli się zdaje się z większą siłą.

Dlaczego psiakrew nie podaje mi, w którym kierunku ściga. Ilu, sześciu ludzi - drużyna.

- Weźcie dwie. To przecież ochrona punktu dowodzenia, a obywatel Pułkownik ?

- Dwie drużyny jak powiedziałem i spieszyć się !

Żołnierze już zbiegają ze wzgórza. Już są dwieście metrów przed nami. Uszeregowali się w tyralierę i ostrożnie podchodzą do lasu. Radiostacja milczy jak zaklęta.

Milczący jest również las. Gdzieś z tyłu turkoczą na drodze wozy. To kuchnie polowe podciągają bliżej stanowisk. Rozkaz dowódcy kieruje je dalej do wsi Borowizka. Wieś jest zupełnie spalona, ale zaraz w dolinie na skraju lasu przy drodze ocalał mały kościółek. Obok kościółka będzie następnie miejsce postoju sztabu. Tam również został wyznaczony punkt zborny oddziałów po zakończeniu akcji. Słońce pali niemiłosiernie. Chce nam się pić, tylko skąd wziąć wody. Przypominamy sobie prawie równocześnie, że jeszcze nie mieliśmy dzisiaj nic w ustach. Ale szef szkoły podoficerskiej st. sierżant Szpinder - ten sam, który rok temu w Warszawie był fotografowany i udzielał wywiadu "Polsce Zbrojnej" jak będzie szkolił rekrutów nie zapomina o niczym. Któryś z jego wychowanków niesie nam już na punkt dowodzenia dwie manierki kawy. Nagle radiotelegrafista. Jest !

- Obywatelu Pułkowniku ... por. Kucharczyk.

- Dowódca łapczywie chwyta słuchawkę. Mówi gospodarz ... mówi gospodarz, co się z wami dzieje, czy ścigacie bandę, gdzie uciekli bandyci, odbiór.

- Por. Kucharczyk melduje, że jego oddział stoczył walkę z ukrytą w zasadce bandą i ściga ją obecnie w kierunku zachodnim.

Część bandytów ukrytych na drzewach, otworzyła silny ogień na skrzydła. Część ogniem broni maszynowej atakowała na odcinku drużyny. Znaleziono sześciu zabitych banderowców. Rannych banda zabrała ze sobą. Cztery trupy są już w stanie rozkładu. Leżały rzucone na noszach. W każdym razie muszą to być jakieś "grube płotki" w bandzie, jeżeli ich trupy zostały przyniesione aż tutaj. Pierścień zamyka się więc jeszcze raz.

Lada chwila może nastąpić starcie. Prawe skrzydło wyjdzie za chwilę na polanę leśną na wprost punktu dowodzenia.

W tej chwili na tle jasnej polany widać kilku posuwających się wolno sylwetek żołnierskich. To ubezpieczenie. Za nimi widać idącą całą tyralierę. Z wąwozu przed lasem wytryskuje w niebo biała rakietka.

Po przyjeździe do Warszawy, zdjęcia moje po raz pierwszy pokazały społeczeństwu, jak giną żołnierze naszego wojska, pomimo tego, że prawie dwa lata już po wojnie. Wiele można było opisać przygód, jednak każda z nich miała swój urok i przeżycia.

XXI 1. " B A J "

Kiedy wreszcie umilkły strzały armatnie, a naród zabrał się z całą energią do leczenia ran po działaniach wojennych, redakcja "Polska Zbrojna" była w tym czasie już w stolicy.

13 marca 1947 roku Minister Obrony Narodowej WP Marszałek Michał Rola Żymierski wydał rozkaz Nr 089/Org. polecający Szefowi GZP zorganizowanie Wydawnictwa Prasy Wojskowej przy którym istniała by również Wojskowa Agencja Fotograficzna.

Szef Wydawnictwa Wojskowego z kolei otrzymał polecenie zorganizowania WAF do dnia 1 czerwca 1947 roku, w tym celu zostałem wezwany jako fotoreporter wojskowy centralnego organu WP aby przedstawić możliwości wykonania zadania.



Właściwie to nie wiedziałem od czego zacząć, chociaż posiadałem już początek w postaci mojego asystenta Stanisława Iwana. Ale rozkaz to rozkaz. Otrzymałem niewielkie pomieszczenie przy ul. Krakowskie Przedmieście Nr 11, gdzie zorganizowałem biuro i laboratorium fotograficzne. Miałem własny fotoaparat "Leica", kilka zdobycznych wanienek, koreks do wywoływania małoobrazkowych filmów i powiększalnik własnej roboty. Stanisław Iwan w pierwszym okresie pełnił funkcję urzędnika przyjmującego zamówienia, laboranta, a w konieczności i fotoreportera. Pierwszymi fotoreporterami, którzy zgłosili się do pracy z własnym sprzętem byli: Bernard Koszewski i Andrzej Millak. Kierownictwo nad laboratorium objął Wacław Zawodzki. Nie chciałem jednak rezygnować z fotoreporterki i rozpocząłem poszukiwania odpowiedniego kierownika WAF-u do administrowania.

Pierwszym był Kazimierz Kralczyński, ale długo nie zagrzał sobie miejsca, dopiero z prawdziwego zdarzenia kierownikiem WAF-u okazała się Kazimiera Latoszek, która z całą pasją poświęciła się sprawom organizacyjnym.

Zorganizowano biuro którym zajęła się Janina Roguska, redakcją serwisów prasowych kierowała doświadczona redaktor Anka Grzybowska. Zatrudniono także bardzo energicznego akwizytora Zdzisława Puciato i zaopatrzeniowca Stanisława Pacewicza. Kierowni<sup>ctwa</sup> artystycznego na krótki czas podjęła się Julia Pierotte. Pierwszy mój fotoreportaż sygnowany skrótem WAF ukazał się już 1 czerwca 1947 roku na łamach centralnego organu WP "Polska Zbrojna". Zawierał on relację z uroczystostej defilady Wojska Polskiego w Gnieźnie z okazji obchodów Święta Ludowego. 24 czerwca 1947 roku odbyło się oficjalne otwarcie WAF-u z udostępnieniem pierwszego serwisu prasowego, gdzie na odwrotnej stronie

znajdował się stempel z nazwiskiem autora zdjęcia i znak firmowy "WAF". Ja od początku pełniłem funkcję starszego fotoreportera tworząc spółkę z Bernardem i Andrzejem "BAJ". Nasza spółka w dużej mierze przyczyniła się do dalszego rozwoju i stylu pracy WAF-u. Fotografowaliśmy wtedy wszystko, nie tylko tworzące się nowe garnizony Ludowego Wojska Polskiego, ale również uruchomienie nowych zakładów pracy, odbudowę kraju ze zgliszcz powojennych oraz utrwalanie Władzy Ludowej w Polsce.

Pamiętam obchody święta Centralnych Dożynek w 1947 roku we Wrocławiu. Na uroczystość przybyliśmy samolotem z Ministrem Obrony Narodowej Marszałkiem Rola-Żymierskim.

Punktualnie o godzinie 10<sup>00</sup> rozpoczęły się uroczystości przy trybunie tłoczyło się mnóstwo fotoreporterów fotografując barwny korowód furmanek i maszyn rolniczych. W czasie uroczystości oficer informacji kontrolował karty wstępu której ja nie miałem. Kazano mi opuścić teren przed trybuną, ale ja powołałem się, że fotografuję z rozkazu Ministra Obrony Narodowej i tylko na jego polecenie mogę przerwać pracę. Po zakończeniu uroczystości oficjalnych prezydent Bierut udał się od razu do samolotu aby wracać natychmiast do Warszawy. Zaświtała mi myśl aby zabrać się tym samolotem w drogę powrotną.

Za pośrednictwem Ministra Obrony Narodowej zamierzenia moje były zrealizowane.

O godzinie 17<sup>00</sup> tego samego dnia laboratorium pracowało pełną parą a akwizytor Zdzisław Pusiato dzwonił po wszystkich redakcjach zawiadamiając o gotowym serwisie fotograficznym z Centralnych Dożynek. Moje zdjęcia wtedy znalazły się nie tylko w prasie stołecznej, ale i prowincjonalnej, bowiem fotoreporterzy Filmu Polskiego wrócili z Wrocławia pociągiem dopiero na drugi dzień.

Staliśmy się poważnym konkurentem dla fotoreporterów Filmu Polskiego, dostaliśmy również posiłki z redakcji "Skrzydłata Polska" w postaci młodego fotoreportera Leszka Koczakowskiego oraz oddelegowano do WAF-u z kadry podoficerskiej starszego sierżanta Henryka Grzędę. Przekwalifikował się również na fotoreportera kierownik laboratorium Wacław Zawadzki, a jego miejsce zajął Alfred Kuciński. Zaistniała konieczność zaangażowania fotoreporterów terenowych Janusza Uklejewskiego z Gdyni i Kazimierza Seko z Katowic, którzy dostarczali nam materiały zdjęciowe z przemysłu stoczniowego i węglowego.

Nasze zdjęcia ze znakiem "WAF" cechowały wysoka jakość i aktualność tematyki, operatywność i chęć wyprzedzenia innych fotoreporterów. To też były reprodukowane we wszystkich dziennikach, tygodnikach i wydawnictwach albumowych, a także w prasie zagranicznej. Dla fotoreporterów WAF nie było przeszkód w wykonywaniu obowiązków, jeżeli nie wpuszczono ich drzwiami, potrafili wejść oknem i swoje zrobić. Nie brakło także pomysłów fotografując każdy temat, a w laboratorium chociaż w trudnych i prymitywnych warunkach, sprawnie wykonywano serwisy fotograficzne zaopatrzone w dokładne opisy wykonane przez pracowników redakcyjnych. MARSZAŁEK DWÓCH NARODÓW.

x271

6 listopada 1947 roku Marszałek Rola-Żymierski zostaje odwołany z zajmowanego stanowiska do pracy w Radzie Państwa, a na jego miejsce za porozumieniem z Rządem Radzieckim został powołany i mianowany Marszałkiem Polski i Ministrem Obrony Narodowej Konstanty Rokossowski. Tego samego dnia trzeba było dokonać zdjęć nowomianowanego Marszałka Polski.



Zameldowałem się w gabinecie wraz z fotoreporterem Wacławem Zawadzkiem.

Chwilę porozmawialiśmy, potem podeszedłem do Marszałka, obciągnąłem z tyłu mundur i włączyliśmy ~~z tyłu~~ reflektory, ~~z~~ kolejno ~~z rozpoczęliśmy~~ <sup>ujac</sup> fotografować każdy ze swojego punktu widzenia.

Na zakończenie poprosiłem, aby Marszałek usiadł za służbowym biurkiem, jak okazało się, leżało tam już kilka pierwszych dokumentów do podpisu, zaczął podpisywać. Ja wykorzystałem ten moment i dokonałem jeszcze kilka zdjęć. Odmeldowałem się.

Na pożegnanie Marszałek życzył nam udanych zdjęć i jeszcze powiedział, abyśmy nie zapomnieli przyjść 10 listopada, będzie okazja zrobienia dobrych zdjęć.

Byliśmy zaskoczeni, ale nie dopytywaliśmy się co to za niespodzianka. Dopiero rano 10 listopada powiadomiono WAF, że o godzinie 12<sup>00</sup> Marszałek Rokossowski pragnie zapoznać się z wyższymi oficerami WP i wydaje przyjęcie u siebie w gabinecie.

Byłem przed rozpoczęciem uroczystości. Stoły były suto zastawione, nie brakło też czystej wyborowej.

Nie wiedziałem tylko dlaczego stały dosyć okazałe kieliszki do wina, a wina na stole nie było widać.

Jak okazało się Marszałkowi nie zbywało na humorze, toteż punktualnie o godzinie 12-tej otworzyły się drzwi i wszedł do gabinetu Marszałek Rokossowski w towarzystwie adiutanta i Szefa Sztabu.

Gen. Popławski zameldował przybycie oficerów na spotkanie,

następnie Marszałek ze wszystkimi przywitał się i poprosił do stołu, a adiutantowi polecił nalać do kieliszków wyborową. U wielu oficerów pojawił się uśmiech na twarzy od samego widoku, a Marszałek Rokossowski podniósł kielich w górę i zupełnie poważnie powiedział:

- "A teraz wypijemy na moje zdrowie". Zwracając się do adiutanta:

- "A ty zanotuj kto nie pije". Rzeczywiście był to żart, jednakże nie wszyscy ten żart zrozumieli.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, jak trudne są działania bojowe w okresie zimowym. Napoleon przegrał wojnę pod Moskwą, Niemców niejednokrotnie zima zmusiła do odwrotu. Trudności te odczuwa zwłaszcza artyleria.

Toteż aby uzyskać pełną gotowość bojową artylerzyści muszą nauczyć się działać zimą, muszą pokonać trudności, wynikające z warunków zimowych.

Zadanie to spełniają obozy zimowe. Są one jednocześnie praktycznym egzaminem wyszkolenia w strzelaniu ostrą amunicją. Dookoła wre wytężona praca. Obsługi dział, zwiadowcy, wachmistrze, telefoniści doskonalą się w opanowaniu jak najszybszej sprawności. Tu współzawodniczą ze sobą baterie, plutony, działony. Współzawodniczą też indywidualnie oficerowie, podoficerowie i kanonierzy. Szybko mijają dni. Nadszedł wreszcie przez wszystkich wyczekiwany dzień ostrego strzelania. Był to egzamin bojowy zgrania całej jednostki. Kanonierzy młodego rocznika w wielkim podnieceniu oczekiwali tej chwili. Na osmalonych słońcem twarzach kanonierów maluje się radosny uśmiech. Baterię zajęły ogniowe stanowiska. Młodzi artylerzyści znają już z pogadanek tradycję swojej jednostki.

Pokażą teraz, że są godnymi następcami starszych kolegów. Odbędzie się strzelanie na wprost do celu stałego. Dobrze wyszkolona obsługa błyskawicznie wykonuje swoje czynności. Przy działach panuje spokój: - "Celuj spokojnie i dokładnie" powtarza sobie w myśli każdy celowniczy. Zespół kanonierów stanowi precyzyjnie zgrany mechanizm. Nie ma ani jednego zbędnego ruchu. Już wręczyciel otrzymał nabój od amunicyjnego i podał go ładownicemu. Suchy trzask zamka - działo załadowane. Działonowy szybko sprawdził nastawy. Od działa - Pal ! Z wylotu lufy buchnął strumień ognia i dymu. Huk wstrząsnął powietrzem. Zadzwonił w uszach. W pobliżu celu wystrzelił w górę słup dymu. - Drugi ! Tuż za celem. Po wprowadzeniu poprawek następny pocisk trafia w cel, dla zniszczenia celu wystarczyło tylko trzy pociski. Inne działony strzelały również bardzo dobrze i wykonały zadanie. Koniec ćwiczeń. Wyróżnieni kanonierzy, otoczeni przez kolegów przyjmują serdeczne gratulacje. Dumni są artylerzyści z osiągniętych wyników, dumni są również z doskonałych dział, które przyczyniły się do takich osiągnięć. Moje strzelanie z aparatu fotograficznego również było udanym plonem.

Rok 1947 zakończył się dosyć pomyślnie zabawą sylwestrową w klubie oficerskim, oraz awansem do stopnia porucznika, a redakcja nasza wróciła do frontowego tytułu "Żołnierz Wolności".

Natomiast w lutym 1948 roku spotkała mnie niespodzianka, kiedy obchodzono akademię ku czci święta Armii Radzieckiej otrzymałem zaproszenie na uroczysty obiad do Ambasady Radzieckiej. Kiedy zgłosiłem się, była tam już spora grupka młodszych polskich oficerów, którzy posiadali obywatelstwo radzieckie.



Trzeba przyznać, że powitano nas serdecznie i potraktowano gościnnie. Na zakończenie uroczystego obiadu wręczono wszystkim medale XXX-lecia Armii Radzieckiej i zaproponowano, aby kto chce pozostać na stałe w Polsce zwrócił się <sup>z</sup> pisemną prośbą do Rady Państwa ZSRR o zrzeczenie się obywatelstwa Radzieckiego i wydanie zezwolenia przyjęcia obywatelstwa Polskiego. Ogarnął nas wszystkich strach, czy to aby nie podstęp. Ale powiedzieliśmy wszyscy raz kozie śmierć, i jeszcze tego samego dnia złożyliśmy podania w ambasadzie do Rady Państwa ZSRR. Po dwóch miesiącach otrzymaliśmy pozytywną odpowiedź. W ten sposób pozostaliśmy pełnoprawnymi obywatelami Polski Rzeczpospolitej Ludowej.

W następnym roku oficer informacji wezwał mnie do gabinetu szefa Wydawnictwa na rozmowę osobistą. Na początku zapytał mnie czy ja umiem rozmawiać po polsku?

Byłem trochę zażenowany ponieważ rzeczywiście moja mowa była naszprycowana rusycyzmem, ale nie oto jemu chodziło. Doniesiono do niego, że ja będąc ostatnio w jednostce na reportarzu pożegnałem się z jednym z oficerów po angielsku "God boy", ale kiedy mi wyjaśnił, odpowiedziałem jemu, że ja mogłem tak samo powiedzieć "doswidanie", przecież nie ma w tym nic złego. Ale był to tylko pretekst.

Następnie zaczął wypytywać jaką mam rodzinę, ile zarabiam i czy mi wystarcza na utrzymanie. Następnie zwrócił się do mnie z propozycją, że może mi pomóc finansowo za współpracę. Odpowiedziałem, że nie mam wysokich wymagań i daję sobie radę. Wyjaśnił mi, że współpraca ta będzie polegała na obserwacji wszystkich pracowników WAF-u i na składaniu cotygodniowych sprawozdań.

Nie wyraziłem na to zgody tłumacząc się, że mam swój zawód fotoreportera co pochłania mi dużo czasu, a jakby spotkał kogoś

kto próbował by dokonać jakiegoś sabotażu to bez współpracy ale z obowiązku obywatelskiego zawiadomię odpowiednie władze.

Po dwóch tygodniach dostałem drugie wezwanie, ale już ~~nie~~ do jego osobistego gabinetu, ~~nie~~ do gabinetu który wyglądał na salę balową, miał chyba ze 60 m<sup>2</sup>. Całe pomieszczenie było puste, w prawym kącie stał tylko regał z aktami, a po środku biurko i po obu stronach po jednym krześle.

Kiedy wszedłem oficer siedział za biurkiem i coś pisał potem wyjął chusteczkę i wysmarkał zakatarzony nos, a następnie wskazał ręką mi krzesło stojące koło biurka po stronie od drzwi. Kiedy usiadłem oficer wstał, podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Na mnie zaczęła cierpnąć skóra, przypomniałem sobie aresztowanie ojca, bałem się, że już nie wydostanę się z tego ponurego gabinetu.

Oficer podszedł do biurka i stojąc wyjął pistolet z prawej szuflady biurka i przełożył do lewej, a następnie wydusił z siebie te słowa: "Urodził mi się synek, czy mógłby prosić o wykonanie mu zdjęcia pamiątkowego". Powiedziałem : - dlaczego nie, zawsze to mogę zrobić.

- "To jeśli niesprawi Wam to trudności, jutro o godzinie 18<sup>00</sup>".  
- i podał mi na kartce swój adres.

Wszedłem na słabo oświetlony długi korytarz, wytarłem z czoła potoczy moje zaszły mgłą i nie wiedziałem w którym kierunku mam iść. Oparłem się o ścianę, aby dojść do siebie i nabrać sił. Na drugi dzień wieczorem wziąłem fotoaparat i zgłosiłem się pod wskazany adres. Okazało się, że nie był to noworodek, ale półroczne dziecko płci męskiej. Tak jak ojciec był dobrze zbudowanym, ~~za~~ ~~wynikiem~~ to matka tylko skóra i kości i do tego ruda. Ułożyłem dziecko na kolorowym kocyku, ustawiłem fotoaparat na

statywie i przy błysku magnezji wykonałem sześć zdjęć w różnych pozach. Przy takich zdjęciach często miewam pecha, ale tym razem zdjęcia wyjątkowo były udane i dosłownie na drugi dzień dostarczyłem komplet pocztówek, po trzy odbitki z każdego ujęcia. Oficer nie chciał przyjąć zdjęć bez zapłacenia, więc powiedziałem symboliczne 100 złotych, ale jednocześnie z banknotem podsunął mi urzędowy papierek aby pokwitować tę sumę. Zaprotestowałem i zostawiłem zdjęcia i pieniądze. Od tego czasu w domu zawsze był przygotowany plecak z bielizną, ale więcej z oficerem informacji nie spotkałem się.

W tym czasie aresztowano wiele ludzi, preparowano procesy i wykonywano wyroki na niewinnie skazanych. Nie ominęło naszych czołowych przywódców wojskowych jak: Marszałek Rola-Żymierski, generałowie Spychalski, Tatar, Mossor, Kirchmajer i innych, których w późniejszym czasie zrehabilitowano, ale niektórym przyszło to po wykonaniu wyroków.

W roku 1951 na polecenie władz ogólnych odebrano WAF-owi tematykę cywilną, którą przyjęła całkowicie nowoutworzona Centralna Agencja Fotograficzna, a nam pozostawiono wyłącznie zdjęcia związane z obronnością kraju. W archiwum WAF pozostał dorobek fotoreporterów wojennych, którzy na polach bitew II wojny światowej rejestrowali ważniejsze etapy formowania polskich oddziałów i zmagania żołnierza polskiego z hitlerowską agresją. Odebrano nam także fotoreporterów cywilnych zastępując wojskowymi. Nowy nabytek to oficerowie Józef Fil i Zbigniew Chmurzyński, jedynie Wacław Zawacki i Stanisław Iwan pozostali wierni WAF-owi.

W latach pięćdziesiątych WAF przeżywał okres dynamicznego rozwoju. Otrzymano nowe pomieszczenie przy nowowynbudowanym budynku Wydawnictwa MON przy ul. Grzybowskiej Nr 77.



Został rozbudowany dział redakcyjny i fotoreporterski, jak również wybudowano nowe laboratorium. W roku 1953 redakcja WAF rozpoczyna wydawanie codziennego serwisu prasowego o tematyce wyłącznie wojskowej dostarczając dla wydawnictw wojskowych i cywilnych ponad 13 tysięcy zdjęć rocznie.

Zaczyna również wychodzić fotogazetka i przezrocza dla celów szkoleniowych wojska. W krótkim czasie wydawnictwa te stały się cenną pomocą dla prowadzących zajęcia dydaktyczne nie tylko w wojsku, ale również w organizacjach politycznych i społecznych, zakładach pracy, domach kultury i instytucjach państwowych przekazując wiadomości z historii i tradycji oręża polskiego oraz informację o życiu i szkoleniu Ludowego Wojska Polskiego.

Fotoreporterów Wojskowej Agencji Fotograficznej można było spotkać tam, gdzie wykuwa się bojowy kunszt naszego Wojska Ludowego, towarzysząc żołnierzom od pierwszych dni szkolenia, fotografując ćwiczenia na poligonach wszystkich rodzajów wojsk.

Na zdjęciach dokumentuje się także kształcenie kadry oficerskiej i podoficerskiej oraz pracę żołnierzy na rzecz gospodarki narodowej.

Zaistniała również konieczność przeszkolenia fotografów w jednostkach wojskowych, zlecono mi przygotować plan zajęć, dobrać odpowiednią ekipę i wyjeżdżać kolejno do każdego Okręgu Wojskowego. W okręgach kolejno organizowano w ramach pracy kulturalno oświatowej dziesięciodniowe kursy dla fotografów z podległych jednostek wojskowych.

Pierwsze szkolenie odbyło się w Okręgu Warszawskim. Ja prowadziłem zajęcia ogólne z historii fotografii, optyki i wyposażenia w sprzęt fotograficzny.

Fotoreporter Wacław Zawadzki prowadził zajęcia praktyczne z techniki fotografowania.

A kierownik laboratorium Alfred Kuciński szkolił z procesu negatywowego i pozytywowego. Mieliśmy także oficera, opiekuna z ramienia dowództwa okręgu. W czasie pracy wynikło, że koniecznym było przyspieszyć suszenie negatywów, więc zwróciłem się do opiekuna aby zakupił 1/4 litra spirytusu.

Wacław Zawacki nigdy wódki nie wylewał za kołnierz i był rozczarowany, że niszczy się tak doskonały trunek, ale udało nam się oszczędzić prawie połowę spirytusu, aby wieczorem pocieszyć kolegę Zawadzkiego.

Po przyjeździe do Okręgu Krakowskiego już na nas czekała grupa fotoreporterów. Wacław Zawadzki zwrócił się do mnie aby u opiekuna zamówić 1/2 litra spirytusu co udało się bez większych trudności. Ale po przyjeździe do Okręgu Śląskiego we Wrocławiu Zawadzki przebrał miarę i zaproponował aby zamówić cały litr, czego opiekun nie odmówił, ale był tak inteligentny, że kiedy zakomunikowałem jemu, że dosyć sporo spirytusu zostało, oficer ucieszony odpowiedział, że on wie i już nawet zakupił soczek i zamówił u szefa kuchni, aby przyrządził pożegnalną kolację.

W następnych punktach szkolenia przerwałem ten eksperyment, bo mogło dojść do absurdu z czego Wacław Zawadzki bardzo był niezadowolony.

Następnie Wydawnictwo MON zleciło mi napisanie książki pt. "Poradnik fotografa wojskowego". Kiedy książka ukazała się na półkach księgarskich w 1953 r. spełniło się moje młodzieńcze marzenie.

Wiele świetlic żołnierskich posiadało już studia lub kółka fotoamatorskie, czasami prowadził je doświadczony instruktor przeszkolony w szkole zawodowej lub na kursie zorganizowanym przez WAF. Niestety, fachowców fotografików jest stosunkowo niewiele

i często zdarza się, że owe grupy fotoamatorów zdane na własny los, którzy zniechęcają się już po pierwszym niepowodzeniu. Dlatego też warto przypomnieć, że poważną pomocą dla każdego wojskowego fotoamatora stał się "Poradnik fotografa wojskowego". Posiada on dosyć obszerny dział poznawczy teorii z historii, optyki i aparatury fotograficznej jak również praktyczne wskazówki techniki fotografowania i obróbki laboratoryjnej. Poza tym na końcu książki podano przykłady zdjęć o tematyce wojskowej. "Poradnik fotografa wojskowego" można znaleźć w każdej bibliotece, jednostki wojskowej.

Po dokonaniu wielu przemian społecznych w kraju przyszła kolej na wydarzenia międzynarodowe w których obowiązki służbowe fotoreportera zmuszały automatycznie uczestniczyć.

XXIII Vlt

Urząd Warszawski.

Był majowy dzień, podobny do dnia w którym ogłoszono zakończenie II wojny światowej. Rany częściowo zaczęły już goić się, z gruzów powstawały bloki mieszkalne, a dzieci nasze spokojnie wychodziły z domów do szkół z nadzieją, szczęśliwego powrotu. Stolica przybrała uroczysty charakter. Świętowano dziesiątą rocznicę historycznego zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem.

Lotnisko było udekorowane barwną tęczą różnorodnych flag. Społeczeństwo warszawskie witało gości przybywających na konferencję Państw Europejskich w sprawie zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa. Dnia 11 maja 1955 roku już o godzinie 8<sup>00</sup> rano byłem uzbrojony w sprzęt fotograficzny i oczekiwałem razem z fotoreporterami CAF-u na przybycie gości do gmachu Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu.



Była to prawdziwa rewia dostojników państwowych. Aparat fotograficzny rejestrował każdą delegację rządową. Sala wypełniła się. Przy okrągłym stole zasiedli gospodarze i goście. Wybiła godzina 10<sup>00</sup>. Dano nam fotoreporterom 10 minut na dokonanie zdjęć i wyproszono z sali obrad do sąsiedniego pokoju, gdzie czekaliśmy aż do przerwy. Po dwugodzinnych naradach każda delegacja uczestnicząca w naradach przedstawiła swoje propozycje, dotyczące utworzenia zjednoczonych sił zbrojnych.

Po tych słowach drzwi sali obrad otworzyły się i uczestnicy wyszli na poczęstunek, który czekał na nich w sąsiednim pomieszczeniu. Na sali było gwaro i czas upływał szybko. Uczestnicy powędrowali na dalsze obrady, a ja z zafotografowanym materiałem do agencji.

Oczy całego świata były skierowane na naszą stolicę, ponieważ konferencja ta była gwarancją dalszego bezpieczeństwa, pracy, wolności i życia nie tylko dla ludzi, których uczestnicy reprezentowali, ale gwarantowała ona pokój całego świata.

Drugi dzień obrad przebiegał w atmosferze przyjaznej dyskusji i zrozumienia potrzeby zjednoczonych sił zbrojnych obozu Demokracji Ludowej. Fotoreporterzy niewiele mieli do roboty.

Trzeciego dnia ustalono treść układu i wyznaczono, że zostanie on podpisany dnia 14-go maja w gmachu Rady Państwa, jak również zostanie utworzone zjednoczone dowództwo Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. I tak się stało w sali kolumnowej Rady Państwa złożono osiem podpisów przedstawicieli uczestniczących państw w konferencji warszawskiej.

Nie trzeba było długo czekać na następne wydarzenia wielkiej wagi, To V Festiwal Młodzieży i Studentów 31 lipca 1955 roku o godz. 16 zabręczały werble, zatrąbiły fanfary i morze młodych dziewcząt i chłopców, ze 114 krajów defilowało w sportowych kostiumach na warszawskim stadionie dziesięciolecia. Dwa tygodnie Warszawa była przepełniona atrakcjami zespołów artystycznych, w parkowych muszlach i na trawnikach wszędzie rozśpiewana młodzież. Nie zabrakło tam i mnie, gdzie coś się dzieje, niezawodny był mój obiektyw.

Wreszcie wszystko pomieszało się i hokej na trawie i występy regionalnych zespołów i spotkanie koleżeńskie indywidualne i zespołowe. Doszło do tego, że niewiadomo było, kto jest gościem, a kto gospodarzem. Za każdym, kto był ubrany młodzieżowo a miał na szyi chustkę festiwalową, biegała gromadka dzieci z notesem zbierając podpisy i znaczki.

Wysiadając ze statku nad Wisłą razem z wycieczką młodych uczestników, podbiegła do mnie grupka dzieci i prosiły o podpis w notesach, wreszcie jedno z dzieci zapytało z jakiego państwa, powiedziałem, że z Polski, wtedy wszyscy zrobili zdziwioną minę i zaczęły skreślać mój podpis.

6 sierpnia odbył się na Rynku Starego Miasta wielki wiec młodzieży przeciwko użyciu groźnej broni pod hasłem "nigdy więcej Hiroszimy". 11 sierpnia młodzież świata złożyła hołd ofiarom faszyzmu w Oświęcimiu, a 14 sierpnia w godzinach wieczornych wspaniała pożegnalna parada młodzieży przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Pochód trwał do późnych godzin z pochodniami i wybuchami sztucznych ogni.

Po powrocie wywołano negatywy, wykonano stykówki, które opisałem i przygotowywałem się do sanatorium w Piętanach.

Kierownik WAF-u kapitan Głuch wręczył mi pudełko odwracalnego filmu 16 mm, który otrzymał od Szefa GZP gen. Naszkowskiego i polecił oddać do wywołania. Zdążyłem jeszcze oddać film do laboratorium filmowego Adama, który miał być wywołany za 30 dni po powrocie z sanatorium. Za dwa dni kiedy ja brałem pierwsze zabiegi sanatoryjne zadzwonił gen. Naszkowski do kierownika WAF-u i zapytał czy film został wywołany, ale kapitan oznajmił, że ja wyjechałem do Czechosłowacji, i wracam dopiero za 30 dni.

Gen. Naszkowski zarządał wyjaśnienia jakim prawem pozwolił zabrać wojskowy film do Czechosłowacji, przygotowując jednocześnie paszport dla adiutanta celem wyjazdu po film do Piešťan. Z wyjaśnieniem do gabinetu generała zgłosił się kierownik laboratorium Alfred Kuciński, kiedy wysłuchał co generałowi leżało na sercu serdecznie roześmiał się, a generał był zaskoczony jego zachowaniem ponieważ nie był przyzwyczajony do takiej reakcji. Ale kiedy zorientował się, że przysłano mu cywila machnął ręką i powiedział "co ja z cywilem będę rozmawiał?". Kuciński próbował wyjaśnić, że może małżonka Mierzanowskiego będzie wiedziała gdzie jest ten film ponieważ do Czechosłowacji na pewno nie zabrał. W tym czasie ochłonął generał i polecił aby adiutant sprawę załatwił. Kuciński miał rację. Po uzyskaniu wiadomości od mojej małżonki znaleźli laboratorium Adama i w przyspieszonym terminie wywołano i oddano film generałowi. Po powrocie z Czechosłowacji generał Naszkowski zwrócił się znowu do mnie, aby dokonać montażu tego filmu, byłem nawet zadowolony bo chciałem wiedzieć jakie tam tajemnice wojskowe były sfilmowane. Jednak byłem zaskoczony i miałem swoje zdanie, ponieważ na całym filmie był obraz bawiącego się, wśród kwiatków na ogródku, dziecka.

XXIV

#### Uczmy się fotografować.

Poza pracą w Wojskowej Agencji Fotograficznej poświęcałem dużo czasu również szkoleniu młodzieży w Warszawskich Domach Kultury i na terenie Warszawskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Będąc jeszcze w Łodzi otrzymałem wiadomość o powołaniu do życia z dniem 28 marca 1945 roku Stowarzyszenia Miłośników Fotografii z siedzibą w Poznaniu.



Wiadomość ta mnie bardzo uradowała, więc natychmiast złożyłem deklarację i przekazałem kwotę 1.000 zł. na cele organizacyjne, o czym jest powiadomienie w czasopiśmie "Świat fotografii" Nr 6. W tym czasie opracowuję pierwsze po wojnie pięć broszurek fotograficznych:

1. Ogólne wiadomości o fotografii,
2. Historia fotografii,
3. Podstawowe wiadomości światła i szkła optyczne,
4. Niedostatki zwykłej skupiającej soczewki,
5. Aparaty fotograficzne.

Po zorganizowaniu 8 lutego 1948 roku Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Fotograficznego członkostwo swoje przenoszę do stolicy w miejscu zamieszkania.

Biore tu czynny udział w pracach organizacyjnych jak również w konkursach, wystawach, prelekcjach i szkoleniu początkujących fotoamatorów. W 1949 roku otrzymuję nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za film amatorski pt. "Dzień Kazia".

W 1951 roku obejmuję funkcję wiceprezesa zarządu głównego PTF, gdzie wspólnie z prezesem Tadeuszem Zyglarem i pozostałymi członkami zarządu tworzymy nowe plany pracy i działalności twórczej dla oddziałów, organizując przy tym wystawy ogólnokrajowe i międzynarodowe. Jednakże często zamiast pracy nad twórczą działalnością byliśmy zmuszeni tracić cenny czas na przesiadywanie w poczekalni Ministra Kultury i Sztuki zebrząc o dotacje na imprezy fotograficzne. Właśnie za naszej kadencji powstał projekt organizacji ogólnokrajowej wystawy "Małe formaty".

We wrześniu 1951 roku przechodząc przez Muranów zauważyłem napis "Dom Harcerza". Jak Dom Harcerza, to powinny być dzieci, a jak dzieci, to coś dla mnie ! Wszedłem i rozglądam się. Czyściutko, ładnie i gwarnie, w świetlicy grupa dzieci uczy się ludowego tańca - kujawiaka.

Później zobaczyłem gabinet harcerski, czytelnie, pracownie radiotechniki, stolarnie, modelarnie lotniczą i skutniczą oraz gabinet biologiczny. Z niecierpliwością czekałem, kiedy zostanie pokazana mi pracownia fotograficzna, I tu spotkało mnie rozczarowanie, gdyż pracownia ta nie posiadała nic więcej poza jednym aparatem fotograficznym Praktiflex. Dobrze jednak, że był aparat. Na początku nie trzeba więcej. Zacząłem rozglądać się za pomieszczeniem, którego Dom Harcerza niewiele posiadał, ale i na to znalazła się rada. Dokooptowano szatnie dziewcząt do szatni chłopców, zaciemniono okna i drzwi, trochę sprzętu przyniosłem z domu, trochę zrobiliśmy własnym przemysłem i pracownia była gotowa.

Pierwszym moim zadaniem było pouczyć uczestników jak posługiwać się aparatem fotograficznym. Wytłumaczyłem zaraz na wstępie że jest to przyrząd precyzyjny i dopóki nie będzie każde z nich umieć należycie obsługiwać się nie będzie mógł robić zdjęć. Uczestnicy byli posłuszni, dokładnie notowali w zeszycie wszystkie części aparatu i sposób obchodzenia się z nim.

Minał miesiąc wstępnych przygotowań i zapoznania się z ogólnymi <sup>ymi wiadomościami</sup> ~~o~~ fotografią. Pewnej słonecznej niedzieli wybraliśmy się do parku Łazienkowskiego. Długo nie mogłem się zdecydować komu dać pierwszemu robić zdjęcia.

Zaproponowałem ciągnięcie losów i za minutę w mojej czapce wojskowej znalazło się 12 numerków, bo tyle było uczestników.

Pierwszy szczęśliwiec budzi cichą zazdrość innych. Po dokonaniu zdjęć posypały się pytania. Niecierpliwi chcieli wiedzieć "co tam wyszło", chociaż dobrze wiedzieli, że na materiale światłoczułym w procesie fotografowania można otrzymać tylko obraz skryty.

Następnie zdjęcia w laboratorium, gdzie mieliśmy zobaczyć obraz wywołany - negatyw, miał nastąpić dopiero za trzy dni wg planu.

Wiadomość o naszej pracowni fotograficznej rozeszła się po szkołach całej dzielnicy Muranowa.

Napływał wciąż nowy element, można było teraz przyjmować nowych biorąc pod uwagę nie tylko zachowanie i wyniki w nauce, ale również zdolności artystyczne dziecka.

Do pracowni, która była bardzo mała można było zmieścić nie więcej jak 4-5 uczestników, a chętnych przybywało z każdym dniem więcej. Zaczęliśmy zastanawiać się z kierownictwem Domu Harcerza, aby magazyn przenieść do szatni i tym samym powiększyć pomieszczenie ciemni w której mogła zmieścić się co najmniej piętnastoosobowa grupa.

Po roku czasu otrzymaliśmy wreszcie dodatkowe oddzielne pomieszczenie. Zbudowaliśmy we własnym zakresie pięć kabin. Zakupiono nowe aparaty fotograficzne, powiększalniki oraz sprzęt pomocniczy. W każdej kabinie był jeden powiększalnik, zainstalowano światło ciemniowe i niezbędne urządzenia do pracy. Uczestnicy pracowali po dwie osoby w kabinie, ja mogłem w każdej chwili wejść do kabiny i skontrolować jak pracują.

Były również wolne pomieszczenia na suszenie i wykańczanie odbitek.

Szkoliłem harcerzy w najbardziej prosty sposób. Zapoznawałem ze sprzętem fotograficznym i laboratorium. Uczyłem nastawiania ostrości na matówce, ładowania kaset, obliczania czasu naświetlenia i techniki fotografowania. Fotografowanie zaczynałem od martwej natury. Tu harcerz nie musiał się spieszyć, przedmiot nieruchomy dawał mu możliwość dokładnego ustawienia ostrości, a w wypadku gdyby pierwsze próby nie powiodły się, można było zawsze zdjęcie powtórzyć i naprawić błędy.

Na podstawie pracowni fotograficznej na Muranowie opracowałem program pracy w Zespole, który został przyjęty do pracy przez Centralną Radę Związków Zawodowych.



Wzorując się również na swoich doświadczeniach zorganizowałem takie same pracownie w Domach Kultury w dzielnicy "Grochów" i "Ochota".

Będąc na wyjeździe służbowym w Bydgoskim Garnizonie Wojskowym, gdzie po ćwiczeniach poligonowych żołnierze i oficerowie zebrali się na polance pod lasem, aby podziwiać występ estradowego zespołu artystycznego WP. Przybyła również ludność cywilna z okolicznych wiosek i osiedli.

Młode aktorki i aktorzy w mundurach wojskowych na uprzednio przygotowanym podwyższeniu na wolnym powietrzu prezentują swoje numery - piosenki, tańce, recytacje.

Słońce po całodziennym trudzie udawało się na spoczynek, a resztkami promieni oświetlało aktorów i widzów. Na wzgórzu pod laskiem znajdowała się widownia i wśród tego tłumu cywilów i mundurów dostrzegłem z dołu od estrady cudownie bawiące się dwie młodziutkie dziewczynki. Blond włosy ich srebrzyły się w resztkach kąpieli słonecznej. Trzeba było krótkiej decyzji, zdążyć do nich przed zniknięciem słońca i nie dać po sobie znać, że fotoaparat kieruję w ich stronę. Odległość do <sup>(przedmiotu zafiksie)</sup>osiągnięcia była dosyć duża, ale pokonałem to w mgnieniu oka. Teraz wybrać najlepszy punkt zdjęcia i uchwycić najlepszy moment.

Tańczono na zakończenie kujawiaka, posypały się brawa, na twarzach dziewczynek ukazał się uśmiech i zainteresowanie zespołem, wtedy właśnie skierowałem aparat fotograficzny nie na zespół, który ukłonem dziękował za oklaski, a w kierunku dziewczynek. Trud zawsze opłaci się, zdjęcie to później znalazło się na Ogólnopolskiej Wystawie Fotograficznej i zdobyło nagrodę Prezydium Stołecznego miasta Warszawy.

Praca z młodzieżą zawsze mnie pasjonowała toteż wiele moich prac w archiwum WAF-u dotyczy nie tylko wojska, ale również zdjęcia dzieci.

W kilka lat później zaproponowano mi przez Wydział Kultury Stołecznej Rady Narodowej, abym zorganizował ognisko fotograficzne w parku kultury na Bielanach. Zakupiłem trochę sprzętu, urządziłem ciemnię fotograficzną i rozpocząłem zapisy uczestników. Park Bielany był tematyką do zdjęć. Wielu z uczestników przychodziło na nasze niedzielne spotkania, aby nauczyć się wyłącznie posługiwania własnym aparatem celem fotografowania swoich najbliższych do albumu rodzinnego, inni pragnęli poznać czynniki wpływające na czas naświetlenia, a jeszcze inni interesowali się tajemnicą obróbki laboratoryjnej.

Był to po prostu punkt konsultacyjny dla fotoamatorów. Po roku pracy wśród uczestników Parku Bielańskiego wyłoniła się grupa fotoamatorów, którzy zerwali z bezmyślnym pstrykaniem, a z entuzjazmem zabrali się do poszukiwania piękna obrazu fotograficznego.

Koniec lata przyniósł już pożądaný wynik - został uwieńczony pierwszą wystawą fotograficzną na Bielanach.

Wystawa ta może nie miała jeszcze walorów współczesnej sztuki fotograficznej, ale dała możliwość poznać rzeczy bardzo istotne wyodrębnienia właściwego motywu z całego bezkresu szerokiego świata, spostrzegania piękna lub wyrazistości w czymś, koło czego zwykle się przechodzi nie widząc, tak pisał w swojej recenzji pan Jan Sunderland.

W tym czasie powstała myśl zorganizowania się w grupę, którą nazwali "Start 13", bo omawianie w zespole i porównywanie wyników w pracy i doświadczeń zarówno technicznych jak i estetycznych, bardziej sprzyja rozwojowi artystycznemu, niż samotne poszukiwania.

Wielu moich uczniów pracuje już zawodowo w dziedzinie fotografii. Poza Stanisławem Iwanem, który wyrósł na jednego z najlepszych fotoreporterów WAF-u, należy wymienić również Antoniego Łuszczewskiego, Agnieszkę Manugiewicz, Janusza Popławskiego, Janusza Majewskiego, Ryszarda Grabowskiego oraz wielu innych.

W tym czasie żonę, którą już zapoznałem częściowo z terminologią fotograficzną posyłam do szkoły, gdzie uzyskuje zawód w rzemiośle fotograficznym. Umożliwiłem jej otrzymanie zawodu nie tylko w tym celu, aby pomagała mi finansowo, ale przede wszystkim dla zabezpieczenia się, gdyby ze mną coś się stało podczas częstych podróży służbowych, gdzie narażałem swoje życie. Po ukończeniu szkoły poczuła się bardzo niezależna i zamiast bardziej zbliżyć się do rodziny, zaczęły się różnego rodzaju nieporozumienia oraz całkowite zaniedbanie domu. Nieodpowiednie towarzystwo, picie alkoholu, wszystko to prowadziło do rozłamu rodzinnego.



Ponieważ rodzina była dosyć liczna, wydawało się, że rozładowanie zagęszczenia może poprawić naszą sytuację. Na moją prośbę otrzymuję w pracy przydział na nowe mieszkanie, ~~przy~~ <sup>Przepracowałam się z ul. Świerczewskiego 145 nr 42</sup> ul. Nowolipki 8

m 39, gdzie zamieszkałem wyłącznie z żoną i dziećmi. ~~skróć~~

XXV

Małgorzata

23 marca 1953 roku przychodzi na świat wymarzona córeczka Małgorzata. Cieszyłem się jak małe dziecko, że wreszcie mamy córeczkę i żona będzie miała pomoc na starsze lata.

Po tygodniowym pobycie żony w szpitalu z bukietem róż byłem po odbiór żony i dziecka.

Małgosia mimo tego, że jeszcze była taka maleńka, ale najpiękniejsza i najśłodsza na całym świecie i okolicach. I znowu łudziłem się nadzieją, że wreszcie córeczka przyniesie nam szczęście i pokój. Jednakże i to żony nie przyciągnęło do rodziny. Zawsze wynajdywała jakieś przyczyny, aby wszcząć awanturę, a o dzieciach twierdziła: "Wystarczy, że je urodziła". Nigdy nie mogłem znaleźć z żoną wspólnego języka. Kiedy miałem jakieś zmartwienie nie pocieszyła mnie, kiedy osiągnąłem sukces znowu mówiła, że się chwale. Zgasł powoli mój dawny uśmiech na twarzy i straciłem dowcip, którym niegdyś bawiłem towarzystwo.

Jako obojętność żony <sup>na</sup> sprawy rodzinne może posłużyć dowód, że gdy Tadeusz zdawał egzaminy do Technikum Poligraficznego i matki stały przed szkołą czekając na wyniki - żona w najlepszy sposób w tym czasie najspokojniej spała do godziny 10 rano.

Drugi z wielu wypadków można przytoczyć fakt, gdy najmłodszy syn Janek poczuł mdłości i miał temperaturę +39<sup>0</sup> żona w tym czasie zamiast zaopiekować się i wezwać lekarza, wygrywała sobie gamę na akordeonie. Dopiero o godzinie 20 jak wróciłem z pracy zastałem zwijającego się z bólu syna, wezwałem lekarza, który stwierdził ostry stan zapalny wyrostka robaczkowego wymagający natychmiastowej operacji.

O godzinie 23 syn był już w szpitalu, a o godzinie <sup>piętnastej</sup> w nocy po operacji. Żona ani razu nie odwiedziła syna w szpitalu. W roku 1959 latem postanowiliśmy razem wyjechać na wczasy, ale trzeba było trafu, że trzy dni przed wyjazdem, przyjechała z Tarnowa koleżanka żony Anacka Kamilia z trojgiem dzieci. Doszło do tego, że wyjechałem sam z dziećmi, bo dla żony ważniejsza była koleżanka od rodziny.

Dzieci rosły, rosły również potrzeby. Aby podnieść swoje zarobki postanowiłem pod koniec <sup>1959</sup> roku zwolnić się do rezerwy i otworzyć własną pracownię fotograficzną. Nie był to dobry pomysł, ponieważ żona zamiast pomagać mi w pracowni znalazła sobie inną pracę. Mając zawód fotografa, przy tym bardzo dobrze opanowany retusz portretowy, pracę rozpoczęła w kotłowni, bo tam znowu koleżanki, koledzy i wódka i do tego można poflirtować.

12 grudnia 1959 roku o godzinie 13 wyszła z domu po pierwszą wypłatę pozostawiając w domu samą 6-letnią córeczkę. Po kilku godzinach dzieci starsze wróciły ze szkoły, ale matki nie było, nie było również obiadu. Ja wróciłem z pracowni o godzinie 20, nakarmiłem dzieci i ułożyłem do spania, ale sam byłem niespokojny i dopiero przed dwunastą wróciła żona. Była wesolutka, oczy jej świeciły jak kotce, a gdy zwróciłem jej uwagę, że jest pijana, stwierdziła, że wolno jej i wyszła z domu trzaskając drzwiami. Przez całą noc poszukiwaliśmy jej z dziećmi, ale ona wróciła dopiero na drugi dzień z obstawą brygadzysty pana Zielonkiego. Dyskusja była krótka. Pan Zielonka obawiając się o swoje stanowisko, szybko nasunął czapkę na oczy i czym prędzej wyniósł się.

W rodzinie sytuacja była dosyć napięta, rozmowy odbywały się tylko służbowo, jednak żona pracy nie zostawiła.

W tym czasie najstarszy syn Kazimierz ukończył już 19 lat i pracując w warsztacie radiotechnicznym poznał dziewczynę Barbarę, z którą w krótkim czasie ożenił się.

Młodszy syn Tadeusz ze względu na brak opieki ze strony matki zmuszony był zamieszkać u kolegi, którego matka po pokryciu przeze mnie kosztów zobowiązała się dać całodzienne wyżywienie.

I tak czas płynął, zbliżały się święta Bożego Narodzenia, zdawało się, że sytuacja nieco poprawia się. Postanowiłem, aby wrócić do tej sprawy przy wieczerzy wigilijnej i wszystko zażegnać, niestety żona nie dała się przekonać, że jej postępowanie godzi nie tylko w dobro rodziny, ale przede wszystkim w nią samą. Zaraz po świętach, długo nie trzeba było czekać, żona wybierała się robić zdjęcia znajomym w synagodze. Zaproponowałem, aby mnie zabrała ze sobą. W synagodze była znana jako stały bywalec, ja pomagałem jej oświetlać w czasie nabożeństwa. Po całym ceremoniale odsłonięto zasłonę i zobaczyłem stoły nakryte talerzami z kartoflami i mnóstwo wódki w litrowych butelkach. Byłem pierwszy raz na takiej uroczystości i zdziwiło mnie to, ale żona już siedziała w towarzystwie swoich znajomych i szklankami pili wódkę, proponowali również mnie, ale ja nie wyraziłem na to ochoty. Po powrocie do domu żona poprosiła, aby wywołać jej film. Dzieci już spały, ja wszedłem do ciemni, a po wywołaniu filmu, żony w domu nie było. Włożyłem film do płukania, a sam położyłem się w ubraniu w poprzek łóżka i usnąłem. Po krótkim czasie obudził mnie zegar laboratoryjny, dochodziła godzina pierwsza w nocy. Wszedłem na klatkę schodową i usłyszałem gwar u koleżanki żony Boreusztejn, gdy otworzyłem drzwi przy stole żona była w objęciach jakiegoś obcego mężczyzny. Okazało się, że był to rzeźnik, Boruch, kochanek żony. Powrotu do domu żona odmówiła.



Wtedy wziąłem w rękę niedopitą butelkę z wódką, ale nie miałem zamiaru nikomu zrobić krzywdy, uderzyłem tylko po zastawie stołowej, tak, że wszystko ze stłu zleciało na podłogę. Kobiety zaczęły krzyczeć, ale bały się zadzwonić na milicję, bo czuły się winne schadzki. Po chwili wszedł syn Tadeusz, wziął matkę za kołnierz i pociągnął po schodach do domu. Po tym incydencie sprawa znalazła się na wokandzie w sądzie. Była to próba nastraszenia rozwodem, ale i to nie pomogło. Coraz częściej brakowało w domu żony i matki. Nowy Rok również spędziłem z dziećmi sam. Wreszcie przestaliśmy na ten temat rozmawiać. Na wiosnę Małgosia już szykowała się do Pierwszej Komunii Świętej.

Po uroczystości, która odbyła się w kościele przy ul. Nowolipki, żona znowu zaczęła znikać z domu, nieraz na kilka dni, a nawet po tygodniu nie było jej w domu. Interwencja dzielnicowej komendy MO spowodowała, że nocowała w domu, ale codziennie były awantury do tego stopnia, że ja zmuszony byłem wyprowadzić się do swojej pracowni. Taka sytuacja bardzo żonie odpowiadała, ponieważ kiedy dzieci były w szkole, mogła w tym czasie sprowadzać obcych mężczyzn do domu.

Pewnego razu, gdy odwiedziła ją siostra Halina w godzinach przedpołudniowych, zastała ją z obcym mężczyzną w łóżku, co oficjalnie zeznała w sądzie na rozprawie rozwodowej. Dzieci odwiedzały mnie w mojej pracowni, a Małgosia pewnego razu wiedząc, że matka poszła do pracy w kotłowni na nocną zmianę, pozostała u mnie nocować. Żona wracając z pracy o godzinie 5 rano przyszła pod moją pracownię i żelaznym prętem zaczęła wybijać szyby z grubego mrożonego szkła tak, że odłamki szkła posypały się na dziecko. Ja przykrywając Małgosię kołdrą zostałem skaleczony odpryskiem szyb w prawą brew i lewą nogę.

Małgosia, gdy zobaczyła krew bardzo przestraszyła się i zaczęła bardzo krzyczeć. Ponieważ nie było możliwości w tych warunkach prowadzić pracowni, zmuszony byłem zlikwidować ją, a sam wróciłem do domu. 12 października 1961 roku rozpocząłem pracę w Wytwórni Filmowej "Czołówka" jako realizator filmów dokumentalnych pod tytułem "Serwis S". Małgosia bardzo bała się matki, która zabraniała jej kontaktować się ze mną, a jednak <sup>Małgosia</sup> wykorzystywała każdą chwilę jej nieobecności i garnęła się do mnie.

W 1963 roku wyjeżdżając służbowo do miasta Łodzi zabrałem Małgosię ze sobą, aby pokazać jej miasto. Kiedy wróciliśmy wieczorem Małgosia bała się iść spać do matki i położyła się ze mną, a w nocy ~~szła~~ wychodziła <sup>do</sup> do WC została napadnięta przez matkę i pobita tak, że synowie zmuszeni byli stawać w obronie.

Wiele było takich zajść, dopóki sąd zdecydował się orzec rozwód. Dnia 15 grudnia 1965 roku matka moich dzieci przestała być moją żoną, a także pozbawiono jej opieki nad dziećmi, zasądzając symboliczną kwotę 100 zł. jako alimenty dla nieletniej córki Małgorzaty.

W lutym 1966 roku otrzymaliśmy rozkwaterowanie, gdzie ja z dziećmi przenoszę się na ul. Szcześliwicką 29a m 83. Po roku syn Tadeusz ożenił się, a ja pozostałem tylko z córką Małgorzatą i najmłodszym, studiującym na Politechnice synem Jankiem.

### XXVI USSR . Odwiedziny miejsca urodzin.

Pierwszym moim marzeniem po rozwodzie było, aby pokazać dzieciom miejscowość, gdzie się urodziłem i spędziłem swoje dzieciństwo. Pierwszy wyjazd po 23 latach trochę budził we mnie niepokój.

Przy załatwianiu pewnych formalności dla siebie i dla dzieci brakowało mi tylko zezwolenia matki na wyjazd Małgosi. Owszem zezwoliła, ale za opłatą 2.000 złotych. Przyjazd do Winnicy nastąpił o 6 rano dnia 15 lipca 1966 roku. Ponieważ wziąłem ze sobą aparat fotograficzny od razu w oczy uderzały ciekawe obiekty, aż proszące się do sfotografowania.

Pierwszym takim obiektem był sznur kobiet idących na bazar z koszykami na plecach, ale na wszelki wypadek tego nie fotografowałem. Miasto Winnicę trudno było rozpoznać, nowy dworzec kolejowy o pięknym rozwiązaniu architektonicznym. Następnie ulica, która prowadziła od dworca kolejowego przez most aż do bazaru niegdyś zwanym "Kalisz", a obecnie do Centralnego Domu Towarowego, była nie do poznania. Wszystkie małe domki żydowskie zostały rozebrane, a na ich miejsce powstały piękne bloki mieszkalne z wystawami sklepowymi. Na każdym rogu nie ma już jak dawniej budek, gdzie sprzedawano wodę pitną na wiadra, dziś stoją automatyczne saturatory z wodą sodową. Jedyne co nie zmieniło się w Winnicy to otaczająca miasto zieleń i wstęgą przecinająca miasto rzeka Bug. Wsiadając do tramwaju - jedyńki, ktoś zawołał z tyłu Jan Michajłowicz. Obejrzałem się. Stał za mną mężczyzna z brzuszkim, w kapeluszu, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kto to mógł być? Po wyjaśnieniu okazało się, że jeszcze w liceum, jak prowadziłem kółko fotograficzne, był jego uczestnikiem i do dziś dnia pasjonuje się fotografią.

W Winnicy długo nie bawiliśmy. Na wieczór trzeba było trafić do ciotki, która mieszka 8 kilometrów od miasta we wsi Hawryczówka. Na obiad poszliśmy do hotelu "Sawoj", podeszła do nas kelnerka w ukraińskim ludowym stroju i podała kartę.



Zaczęliśmy wybierać coś oryginalnego, ale niestety kilka propozycji i nic z tego, dopiero kelnerka nam zaproponowała, że jest jeszcze wątróbka. I cóż nam pozostało, zamówiliśmy trzy razy i wodę mineralną borżom. Podano nam wątróbkę, która była drobnutko pokrojona i tak podsmażona, że nadawała się do strzelania z procy. Nie byłem grzeczny, poprosiłem znowu tę piękną, w ludowym stroju dziewczynę i zaproponowałem, aby przyjechała do mnie na wątróbkę, to ja ją nauczę jak należy smażyć. Po chwili wątróbka nasza powędrowała do kuchni, z której wyjrzał kucharz w białym fartuchu i wysokiej czapce, a po 15 minutach sam osobiście przyniósł trzy sznycle cielece z jajkiem i zaznaczył, że on również potrafi zrobić dobre danie.

Po obiedzie odwiedziliśmy jeszcze mojego szkolnego kolegę Hryszę Trifonowa. Idąc w odwiedziny wstąpiłem do sklepu i kupiłem butelkę koniaku, aby uczcić nasze spotkanie.

Hrysza był zaskoczony i przemówił do mnie w ten sposób:

- "I czoże ty sdiełał, eto że byłoby tri butyłki wódki".

Kiedy słońce już zachodziło, myśmy autobusem jechali na wieś.

Czekano na nas już przez cały dzień, ponieważ uważali, że od razu z pociągu pojedziemy do nich.

Na wsi, jak na wsi, po dwóch dniach już się nudziło, zwłaszcza, że ta wioska to tylko sąsiadująca z wioską w której urodziłem się. Toteż po dwudniowym odpoczynku u ciotki poszliśmy piechotą do wsi Małe Kruszline. Tam zmian wielkich nie zauważyłem, poza tym że wieś miała już światło elektryczne no i przybyło dużo domów murowanych i krytych blachą. W miejscu gdzie gospodarzyli moi rodzice mieszkała inna rodzina.

Zobaczyłem również młyn, który stał obok naszego ogrodu i był całą atrakcją mojego dzieciństwa, pracował jak dawniej pełną parą.

Piękna ukraińska cerkiew, ozdoba całej wsi i niewielka kapliczka rzymsko-katolicka zostały rozebrane, a teren wykorzystano na obiekty "kulturalne". Na miejscu cerkwi stanęła wiejska świetlica, a na terenie kaplicy i cmentarza urządzono park, gdzie chłopcy mogli wypoczywać po pracy na grobach naszych rodaków.

Na polach kołchozowych rozpoczął się sezon zimowy, to też poszedłem do przewodniczącego, aby pozwolił mi dokonać kilku zdjęć z prac polowych. Zezwolenie otrzymałem, ale zdjęć nie wykonałem. Spodziewałem się kombajnów na obfitych łanach dorodnej pszenicy, a okazało się, że kombajny owszem duże i pracowały pełną parą, ale pszenica była tak marna, że ścinał tylko kłoski co straciło cały urok.

Jak okazało się, że nieprawidłowa obróbka gleby bez obornika, a tylko na sztucznym nawozie wyjałowiała się i plony zamiast poprawiać się, marniały. Dopiero na dziedzińcu kołchozowym zrobiłem kilka zdjęć i młócenia i czyszczenia zboża.

Następnym dniem była niedziela, wolny dzień od pracy, ale wielu kołchoźników wyszło w pole, przeważnie mężczyźni, a kobiety pozostały w domu, aby chociaż raz w tygodniu przygotować godny obiad i zasiąść razem z rodziną przy stole.

Przechodząc nad stawem "Pańskim" usłyszałem w bocznej ulicy grającą orkiestrę, skręciłem nieco w bok i zobaczyłem na podwórku wiejskie wesele, a w gronie orkiestry poznałem mego kuzyna Józka Mierzanowskiego, który był zupełnie odmiennej karnacji. Miał zawsze śniadą, jakby opaloną skórę i krucze, czarne włosy, co prawda już siwiejące, za młodych lat przezywano go cyganem.

Na moje spotkanie wyszedł pan młody i zaprosił do weselnego stołu przy którym siedziało co najmniej 150 osób. Nalano mi szklan-  
kę "bimbru" i zaproszono do poczęstunku, gdzie prawie co metr

stała duża, gliniana miska ze smażoną kapustą, na pół z mięsem. Pomyślałem sobie, nie - tu się nic nie zmieniło.

Odmówiłem wypicia bimbru, więc młody natychmiast posłał do sklepu i za chwilę stała przede mną butelka koniaku, znalazł się również talerz i widelec. W każdym bądź razie potraktowano mnie bardzo gościnnie. Trzeba było odwdziaczyć się i wyjąć swój fotoaparat, i poprosiłem młodą parę oraz družbę do zdjęcia.

W czasie dokonywania zdjęcia podeszła do mnie młoda dziewczyna, zupełnie mi nie znana, chwyciła mnie za rękę i całując oświadczyła że jestem jej ojcem. Zrobiło mi się jakoś nieswojo, ale na szczęście wyjaśniła, że tylko ojcem chrzesnym. Jak okazało się w czasie okupacji mieszkałem w Winnicy, niedaleko kościoła i kto przywoził z mojej wioski dziecko do chrztu, prosił mnie abym zostałem ojcem chrzesnym.

Tego samego dnia wieczór spędziłem u swojej chrześnicy. Zapraszano mnie w odwiedziny do wielu kolegów szkolnych, ale niestety zabrakło dla wszystkich czasu. Nocowałem z dziećmi u mojego kuzyna - Włodzimierza, który miał przeuroczą i gościnną żonę, Olgę, oraz dwoje małych dzieci.

Następnego dnia odwiedziliśmy rodzinę chrzesnej matki Apolonie Lewandowską.

Wiadomość o moim przyjeździe migiem rozeszła się po wsi. Wszyscy zapraszali do siebie na poczęstunek, a na pierwszym miejscu natychmiast na stole stała butelka z bimbrem, co przynosiło im duży zawód, ponieważ bimbru w życiu nie piłem i nikt nie mógł mnie do tego namówić. Więc poszło w ruch wino z miejscowego sklepu do tego stopnia, że jak odjeżdżałem sklepowa prosiła, abym częściej przyjeżdżał, to ona będzie wykonywać większy plan.

Pokazałem również dzieciom stolicę Ukrainy - Kijów.



Już był całkowicie odbudowany po zniszczeniach wojennych i trzeba przyznać, że przyjęli nas bardzo serdecznie. W hotelu Moskwa, gdzie były miejsca zarezerwowane tylko dla turystów dostaliśmy bardzo przyzwoity apartament, płacąc tylko 7 rubli od osoby. Zwiedziliśmy całą ulicę Kreszczatnik, Pałac Pionierów, Metro, park miejski i wiele bogato zaopatrzonych sklepów.

Po dwóch latach ciotka znowu przysłała zaproszenie. Tym razem wybrałem się z matką. Siostry miały wiele <sup>sobie</sup> do powiedzenia. Przy wejściu na podwórko stała ciotka z najmłodszym synem Wiktorem. Po 25 latach, spotkanie było niesamowite, siostry zwarły się w objęciach i zalewając się łzami nieustannie całowały się. Po chwili otoczyła ich dosyć spora gromadka kobiet powracająca z polnych prac. Zrobiło się gwarno, kobiety coś półgłosem szeptały sobie wzajemnie, wreszcie siostry opanowały się, a każda z sąsiedek chciała coś dowiedzieć się o Polsce, jaki to kraj, jacy ludzie, a jedna nawet zapytała czy wszyscy rozmawiają po polsku.

Ja natomiast zdecydowałem się odwiedzić w Jałcie swoją znajomą Tamarę, pierwszą moją miłość. Tamara była mężatką i miała dzieci, dlatego też matka mi odradzała, ale ja przecież nie jechałem tam, aby rozbić małżeństwo. Lubiłem bardzo Tamarę i chciałem się z nią bardzo spotkać, dowiedzieć się jak żyje, a przy tym zobaczyć miasto w którym mieszkają nad Morzem Czarnym.

Zwróciłem się przede wszystkim do władz, aby dali mi pozwolenie na wyjazd. Władze obiecały ale nie dawały, toteż strzeliło mi do głowy, wsiadłem w pociąg i pojechałem. Przyjechałem tam rano o godzinie 5.<sup>00</sup>. Gdy zadzwoniłem, na spotkanie wyszła Tamara z mężem Klimentem, bardzo serdecznie mnie powitali i po śniadaniu kazano mi odpoczywać. Mąż Tamary na godzinę 9<sup>00</sup> szedł do pracy, Tamara miała urlop, ale na wszelki wypadek Kliment o 10<sup>00</sup> był już

w domu, widocznie niezbyt pewny. Dwudniowy pobyt oswoił Klimenta i bardzo zaprzyjaźniliśmy się. Zaproponowano mi jeszcze pozostanie na tydzień, ale trzeba było zameldować się w komisariacie. Wybraliśmy się razem z Klimentem. Kliment wziął mój dowód osobisty i wszedł do gabinetu, gdzie przy stole siedział kapral milicji. Ja zostałem w poczekalni. Po chwili słyszę jak milicjant podniesionym głosem zaczyna wyzywać, że jakim prawem, że to jest kategorycznie zabronione i tak dalej. Przyznam się, że mnie to trochę wkurzyło. Tu przyszedł człowiek, znany chirurg w dobrych zamiarach i dostaje wcierę. Nie wytrzymałem, otwieram drzwi i mówię: to ja jestem, dlaczego tak głośno. Wtedy milicjant do mnie, że niby jakim prawem ja znalazłem się w Jałcie. Ja wtedy zupełnie spokojnie pokazuję mu stępel graniczny, a tam jest wyraźnie napisane, że przekroczyłem granicę Związku Radzieckiego, to wtedy pytam się, gdzie ja jestem. Tak, ~~zajęło mi~~<sup>przeżywa mi</sup> milicjant:

- "ale u nas takie prawo, że należy być tylko tam, skąd jest zaproszenie". A pokażcie mi takie prawo na piśmie - mówię do niego.

- I cóż ja widzę, milicjant oniemiał, a po chwili ściszym głosem

- "my nie mamy tego na piśmie", i wtedy ja trochę głośniej:

- "to dlaczego towarzysz od razu krzyczy, kiedy człowiek uczciwie chce się zameldować? Chwila namysłu i rozmowa potoczyła się normalnie. Milicjant, który przez cały czas siedział, wstał, to już duży postęp i zaproponował mi, abym przyszedł na drugi dzień o dziesiątej, on zadzwoni do Winnicy i spyta czy mnie można zameldować. Wtedy mi jakoś po prostu wymknęło się i mówię do niego:

- to po co dzwonić do Winnicy, zadzwóńcie do tow. Popławskiego przewodniczącego towarzystwa przyjaźni radziecko-polskiej w Moskwie on może wam o mnie wiele powiedzieć.

Na drugi dzień o godzinie 10<sup>00</sup> otwieram drzwi bez pukania i pytam się czy można?

Milicjant poprosił abym usiadł, wtedy ja zapytałem - jak tam, dzwoniście?. Nie odpowiedział, ale my Was zameldujemy. Ja tu jeszcze mam zamiar dla naszej telewizji nakręcić dwa filmy o jałtańskich sanatoriach i o krymskim winie. Już nie był nawet zaskoczony moim powiedzeniem i nawet nie zapytał czy mam jakieś uprawnienia, tylko przyrzekł pomoc. Oczywiście otrzymałem do dyspozycji na tydzień czasu samochód, łożko motorową i dziennikarkę z miejscowej telewizji - Halinę Supruniuk do pomocy organizowania planów zdjęciowych. Wszędzie gdzie dokonywałem zdjęć filmowych zaczynało się od sutego poczęstunku. Jednakże ~~we~~ we wszystkich sanatoriach były bardzo nikle urządzenia, jedynie ciekawym tematem do zdjęć było leczenie schorzeń reumatycznych przy pomocy ozokorytu, coś w rodzaju naszego leczenia borowiną. Drugim akcentem lecznictwa jałtańskiego okazało się leczenie schorzeń neurologicznych sposobem muzycznym. W tym celu pacjent po nałożeniu nauszników kładł się do łóżka, a siostra włanczała adapter ze specjalną płytą, gdzie były nagrane melodie muzyki poważnej, oraz uspakajające dialogi. W ten sposób pacjent słuchając muzyki i dialogów powoli zasypiał..

Kiedy dōszło do tego, że chciałem nakręcić na taśmie filmowej okazało się to absolutnie niemożliwym, ponieważ siostra która dysponuje nausznikami zanknęła magazyn, zabrała klucze i wyjechała na urlop wypoczynkowy. Inaczej wyglądała sprawa kiedy rozpocząłem nakręcanie drugiego filmu o winach krymskich. Na początku zgłosiłem się do znanego instytutu winorośli "Magoradz", gdzie dyrektor Paweł Hołodryga osobiście pokazał mi plantację winogron ponad 1000 gatunków. Następnie w niewielkiej odległości znajdowała się przetwórnia tych produktów - fabryka win "Mansandra", gdzie dokonałem bardzo ciekawych zdjęć filmowych od dostawy winogron, dojrzewania win w olbrzymich beczkach oraz taśmowe nalewanie i korkowanie butelek. W specjalnym muzeum pokazano wina z przed 700 lat, które w czasie okupacji było ukryte w lasach aby nie dostało się w ręce wroga.



XXVII

U przyjaciół

Jest rzeczą naturalną, że fotoreporter nie rozstaje się z fotoaparatem nawet wtedy, kiedy ma zaplanowany wolny czas dla siebie czy dla rodziny. Szczególnie ważne są wyjazdy zagraniczne, które przynoszą dla fotoreporterów dużo wrażeń przy zetknięciu się z nowym krajobrazem czy też folklorem.

Wyjeżdżając na sanatoryjne leczenie do Czechosłowacji zapowiedziane było, że fotoaparatów nie wolno przewozić przez granicę. Po przybyciu na miejsce do Piesztan, czułem się bardzo dziko bez fotoaparatu. Szybko rozejrzałem się wśród przyjezdnych kolegów oficerów różnych narodowości, państw Demokracji Ludowej, jednakże i wśród nich nie znalazłem żadnego fotoaparatu, dopiero komendant sanatorium płk Skodaczek, kiedy dowiedział się, że jestem fotoreporterem powierzył mi służbowy fotoaparat. Rzeczywiście nie mogłem nie skorzystać z propozycji i po tygodniu na świetlicy już wisiała fotogazetka z życia sanatorium.

Pełniący w tym czasie funkcję wiceprezesa Warszawskiego Klubu Kinoamatorów zawiadomiłem zarząd klubu filmowego w Pradze. Po kilku dniach przyjechali do mnie wiceprezes Willi Weinzettl i członek zarządu Jarosław Cmiral, aby nawiązać z naszym klubem kontakt. Po zakończeniu kuracji, odbyła się trzydniowa wycieczka

Przechodząc korytarzem domu, jeden z mieszkańców, samotnik, usłyszał rozmowę polską, wyskoczył z kąpieli i w szlafrocisku zastawił nam drogę, zapraszając nas do siebie na salami własnej roboty i samorodny tokaj.

W mieszkaniu widać było wyraźnie, że brak tam kobiety. Po krótkim poczęstunku z adapteru rozległa się melodia czardasza i całe towarzystwo runęło w tany. Gospodarz był tak zachwycony towarzystwem, że tańcząc zapomniał o szlafroku, pod którym miał gołe ciało. Szlafrok w ruchu rozsunał się na boki, a towarzystwo miało nie lada ubaw. Zawstydzony gospodarz szybko doprowadził się do porządku, a my w wesołym nastroju przenieśliśmy się do następnego mieszkania państwa Kowaczów.

Drugi dzień pobytu w Budapeszcie spędziliśmy na zwiedzaniu zabytków i fotografowaniu.

*Go powrocie do kraju*  
~~Powrocie dnia~~ Dokonując zdjęć gmachu Sejmu przy ulicy Wiejskiej zauważyłem przy domu Nr 9 moją znajomą Lenę, która razem ze mną pracowała w Domu Młodzieżowym "Ochota" jako główna księgową. Była to kobieta o wesołym usposobieniu i towarzyska, ale spotkał ją również zawód miłosny. Była ona już po rozwodzie i po rozkwarterowaniu. Chociaż przysłowie mówi, że samotnemu mężczyźnie wszędzie jest źle, a żonatemu tylko w domu, zacząłem zastanawiać się, że przydałaby się kobieta w domu, a może i córce zastąpiłaby matkę. Małgosia prawie od pięciu lat nie widziała się z matką, chociaż w czasie choroby na grypę azjatycką, kiedy stan był bardzo ciężki i w ciągu nocy wzywałem trzy razy pogotowie lekarskie, zadzwoniłem do jej matki, że Małgosi stan jest bardzo ciężki, może chce przyjść i zobaczyć się z nią, na co ordynarnie mi odmówiła.

XXVIII

WIEWYPAŁ

Lena miała swoje dwie córki na wydaniu, które były już po

studiach i w krótkim czasie otrzymały własne mieszkania, a o mężów nie było tak trudno.

Dnia 14 marca 1970 roku postanowiliśmy z Leną połączyć nasze losy, a w lipcu wspólnie wyjechaliśmy na wczasy do Jugosławi, do nowowypbudowanego wczasowego Solaris koło miasta Szybenik. Do Splitu przyjechaliśmy samolotem w nocy, następnie autobusem zbiorowo dowieziono nas do domu wczasowego "Solaria" nad samym Adriatykiem. Do plaży mieliśmy zaledwie 200 metrów. Wspaniała, piaskiem wysypana plaża i bogato wyposażony dom wczasowy, jak również wspaniałe wyżywienie dawało nam maksimum zadowolenia i doskonałe samopoczucie. Szybko mijał czas na upalnej plaży, ale nie tylko plaża. Wzdłuż pięknej magistrali janrańskiej można zwiedzać mnóstwo zabytków starej kultury pozostawionej przez różnych najeźdźców. W Splicie oglądaliśmy nie tylko największy port Dalmacji, ale również pałac, który został wybudowany w latach 284 - 305 przez cesarza Dioklecjana.

W drodze do Soliny mamy piękne akwedukty, a Trogir to perła Dalmacji. Miasto to istniało już w starożytności jako kolonia grecka. Również ważny port i ośrodek przemysłowy to dawna stolica Dalmacji - Zadar, słynący ze światowej sławy fabryki win "Maraska". Wybitnym zabytkiem architektury romańskiej jest kościół z IX wieku św. Donata obok którego znajduje się rzymskie forum oraz kościół z XIII wieku św. Stosije. Wreszcie w kilku kilometrach od naszego domu wczasowego, u ujścia rzeki Krka, znajduje się bogate w historię miasto Szybernik, gdzie tchnie dziś upałem i zapachem smażonych ryb morskich. Najpiękniejszym dziełem sztuki tego miasta jest katedra św. Jakuba, budowę której rozpoczęto przez mistrzów dalmatyńskich w XIV wieku w stylu gotyckim, a ukończono w XV wieku w stylu renesansowym. Najbardziej atrakcyjnym miejscem dla turystów są znajdujące się niedaleko od miasta Szybernik wodospady



Slapove KRK zwane europejską Niagarą, które leżą na wysokości 1710 m nad poziomem morza i spadają tarasami, dając piękny niezapomniany obraz.

Pobyt swój w Jugosławii zakończyłem zrealizowaniem filmu pt. "Od Splitu do Zadaru", który wszedł do Filmoteki Ministerstwa Oświaty jako film geograficzny.

Najmłodszy syn Janek po ukończeniu Politechniki Warszawskiej w 1971 roku założył również swoje gniazdko rodzinne. Moje małżeństwo z Leną po roku pożycia uznałem za nieprzemyślany krok. Powodem tego była jeszcze niepełnoletnia, ale prawie dorosła i samodzielna córka i trudno było dwóm kobietom dogadać się. Do tego również dużo przyczyniła się matka Małgosi, która nagle zaczęła kontaktować się i buntować przeciwko macosze. Ponieważ dzieci zawsze stawiałem na pierwszym miejscu, zająłem się wyłącznie córką, a Lenę przetransportowałem do dawnego jej mieszkania przy ul. Wiejskiej 9.

Latem 1973 roku Małgosia mając poza sobą już dwadzieścia lat w towarzystwie ciotek Haliny i Ludmiły wyjechała na wczasy do Jugosławii i tam w pięknym mieście Dubrowniku, gdzie gromadzi się większe skupisko turystów, poznała chłopca Miodraga Petrovica, który od pierwszego wejrzenia zakochał się. Małgosia po powrocie do domu zaczyna nagle studiować język serbski. Listonosz codziennie zaczął przynosić kolorowe pocztówki, a na sylwestra otrzymała zaproszenie na bal do Beogradu.

W maju 1974 roku Micio przyjeżdża osobiście jako narzeczony do Warszawy i proponuje małżeństwo. Było to dla mnie zaskoczeniem, ale życząc córce jak najlepiej, skoro twierdzi że <sup>w fajnie</sup> to ten odpowiada jej, nie stawiałem przeszkód. Kiedyś to musiało nastąpić.

28<sup>e</sup> sierpnia tego <sup>samego</sup> roku narzeczony przyjechał z ojcem Milanem i siostrą Radmiłą, aby ustalić datę ślubu. 30 sierpnia odbyło się uroczyste pożegnanie córki w restauracji Saskiej, a 14 września wyjechaliśmy z najbliższą rodziną do Beogradu na ślub Małgorzaty i Miodraga. Ślub odbył się 15 września w urzędzie Stanu Cywilnego w Beogradzie na którym była również najbliższa rodzina - matka Małgosi, ja oraz synowie Jan, Tadeusz z małżonką Elżbietą. Najstarszego syna nie było z powodu wyjazdu służbowego do Stanów Zjednoczonych. Ślub był skromny, mniej uroczysty jak to odbywa się w Polsce, ale całonocna zabawa była wesola i serdecznie się ubawiłem.

Zwiedzając miasto Beograd byłem zachwycony jego architekturą i czystością ulic, jak również wysoką kulturą handlu, gdzie klient rzeczywiście jest panem czy kupuje, czy tylko ogląda, jak to było w moim przypadku.

Mimo tego polubiłem ten kraj, bo w nim jest coś wspólnego z moją Ojczyzną. Przede wszystkim wspólne walki z tym samym faszystowskim najeźdźcą, taki sam ustrój socjalistyczny i nawet melodia hymnu narodowego zbliżona do naszej. A teraz gdy trwa przyjaciel-ska współpraca naszych narodów moja najmłodsza i najśladza dziecina wybiera sobie ten kraj i przenosi się na stały pobyt.

Wiele zdjęć powstało w moim archiwum z pobytu na wycieczkach. Co kraj to obyczaj. Praha jest piękna ze swoją Wełtawą i zabytkowymi mostami, ktoś powiedział, że Bóg zapoczątkował tworzyć świat od Prahy. To samo można powiedzieć o Budapeszcie, który szczyci się swoją górą Gelerta i mostem Małgorzaty, nie mówiąc o różnego rodzaju grotach i falach Balatonu.

Zwiedzając Berlin byłem trochę zde gustowany, ponieważ będąc w Berlinie w 1945 roku czułem się dużo lepiej, byłem wtedy

zwycięzcą, a dziś ta pedantyczna czystość i bogactwo sklepów nie da się porównać do żadnego z naszych miast. To samo zauważyłem w Poczdamie i Dreźnie. Dlatego też Beograd stał się dla mnie najbliższy, ale po dokonaniu zdjęć i zrealizowaniu filmu o ślubie mojej córki wyjechałem do Warszawy. Stwierdziłem jednak, że wszędzie jest pięknie i dobrze, ale w domu najlepiej.

### XXIX Krajobraz

Jednakże najbardziej odpowiednim tematem zdjęć moich jest własna ojczyzna, której krajobraz zmienia się z każdym dniem. Warszawa dostarcza fotoreporterowi mnóstwo obiektów do fotografowania. Rosną nowe dzielnice, odbudowują się zabytki i pomniki. Niemalym zasobem tematów do fotografowania są wyjazdy służbowe i prywatne w teren.

Obiekt do fotografowania można znaleźć wszędzie. Nad morzem w górach czy też na mazowieckiej równinie, wszędzie towarzyszy mi fotoaparat. Jednakże wszędzie trzeba umieć widzieć i fotografować to co jest najciekawsze. A fotografując "z sercem" jak pouczał nas Jan Bułhak, zawsze można znaleźć coś <sup>na</sup> czym można zatrzymać ~~oko~~ oko.

Będąc w Oleśnicy napotkałem piękną, zabytkową bramę wjazdową do miasta, była szara i pusta. Trzeba było koniecznie poczekać na słońce, a w tym dniu wcale nie zapowiadało się na słoneczną pogodę. Po wykonaniu służbowych obowiązków, poszedłem do hotelu, ale brama nie dawała mi spać, wziąłem statyw i próbowałem fotografować w nocy. Efekt uzyskałem dopiero na drugi dzień o godzinie szóstej rano, gdy do miasta schodziły się z okolicznych wsi kobiety na targ, a wschodzące słońce złościście oświetliło bramę od strony miasta.



Kiedy jadę w teren na poszukiwanie tematu, staram się zabrać ze sobą coś lekkiego do czytania, abym mógł nerwowo wypocząć a całą energię twórczą rozładować tam, gdzie będzie ona niezbędna. Będąc we wsi Juszczyń koło Wrocławia, gdzie znajduje się cztero-klasowa szkoła im. Braci Korczyńskich zdawałoby się, że nie ma nic ciekawego, jednakże urzekły mnie dzieci z tej szkoły.

Od razu poczułem się członkiem ich niewielkiej rodziny, którzy tak wiele zrobili dla upamiętnienia żołnierzy czołgistów, którzy oddali swoje życie, aby one dziś spokojnie mogły się uczyć i przygotowywać do budowy lepszego jutra.

Ponieważ przybyłem tam w czasie wykopków kartofli, dzieci zaprosiły mnie na pieczenie kartofli w polu. Była to wspaniała impreza. Dzieci nazbierały kartofli, nazbierały także chrustu, a w zupełnej ciemności zapłonęło ognisko. Za pół godziny wygrzebywaliśmy pieczone kartofle z ogniska, zajadaliśmy jak najlepsze pączki. Może na tym impreza byłaby zakończona, ale na drugi dzień jak na zamówienie piękna pogoda. Wziąłem aparat fotograficzny i poszedłem na spacer, kiedy na tej samej ulicy, którą myśmy szli w nocy na pieczone kartofle, były piękne domki wiejskie, odbijały się w stawie, a na tafli wodnej pływały kaczęta. Może to było i banalne, ale trudno było nie sfotografować. Jak również wiele innych krajobrazów zwracających na siebie uwagę.

### XXX 4. Portret

Zdjęcia portretowe nie są moją mocną stroną, ponieważ w pracy fotoreporterskiej występują one rzadziej. Jednakże fotoreporter powinien być omnibusem i mieć opanowane wszystkie rodzaje zdjęć. Artysta malarz, aby wykonać portret, studiuje przez dłuższy czas twarz, postać, ruchy i dopiero, gdy zaobserwuje najbardziej charakterystyczny wyraz, zaczyna pracę nad obrazem. W fotografii powinno być tak samo, ale nie zawsze jest na to czas. Nierzadko zmuszony byłem w ciągu kilku sekund zdecydować się i wykonać kilka zdjęć portretowych tej samej osoby, aby po wywołaniu wybrać najodpowiedniejsze. Będąc na zebraniu produkcyjnym u hutników, zauważyłem na sali niezliczoną ilość ciekawych twarzy, żywo zainteresowanych dyskusją, Trzeba było natychmiast zdecydować, którą twarz fotografować. Ale to nie takie proste. Skierowanie aparatu w kierunku portretowanego popsułoby cały zamierzony efekt na zdjęciu. Wydobyłem z teczki boczn<sup>celownik</sup>~~wizjer~~, założyłem na aparat, obiektyw osłoniłem osłoną przeciwsłoneczną i udając, że fotografuję zupełnie kogo innego, starałem się uchwycić wybraną uprzednio charakterystyczną twarz hutnika. W fotografii portretowej bardzo ważnym czynnikiem jest oświetlenie i tego nie należy lekceważyć. Przede wszystkim absolutnie należy wyeliminować wszelkiego rodzaju światło błyskowe, ponieważ spłaszcza ono obraz i zatracą fakturę modelu. Dzięki wysokiej światłoczułości materiałów negatywowych i wysokiej klasy obiektywów o dużym otworze czynnym

Zdjęcia portretowe z reguły przyjęto, że to zbliżenie głowy portretowanego lub nawet fragment. Często jednakże zachodzi potrzeba wykonać portret grupowy lub osoby pojedynczej w całości. Ważnym czynnikiem w fotografii portretowej jest osiągnięcie zaplanowanego celu. Jeżeli chcemy pokazać fakturę ciała stosujemy normalne, ostro rysujące obiektywy, natomiast często istnieje konieczność otrzymania miękkiego rysunku portretu. Do tego celu stosuje się specjalne miękorysujące obiektywy portretowe lub soczewki nasadkowe typu "Duto". W wypadku braku takowej, można stosować zwykły kawałek pończochy nylonowej naciągnięty na obiektyw. Jakość zmiękczenia obrazu zależy od gęstości i barwy siateczki. W czasie fotografowania zwracam przede wszystkim uwagę, aby nie ulec szablonowi i umieć dojrzeć w swoim modelu prawdziwego człowieka.

Dla wydawnictw wojskowych były częste zapotrzebowania na zdjęcia portretowe przodowników szkolenia bojowego oraz wyróżniających się żołnierzy.

Pewnego razu, kiedy wysiadałem z autobusu w Płocku uklonił mi się jakiś młody mężczyzna. Przyglądając się jemu, nieprzypomniałem sobie jego twarzy, ale ów osobnik powiedział: " Co, nie poznaje mnie pan, a ja pana poznałem. Jak byłem dwa lata temu w wojsku, robił pan mi zdjęcia jako przodownikowi i było umieszczone w "Żołnierzu Polskim", o tu mam jeszcze wycinek". Wyciągnął z kieszeni portfel i pokazał zdjęcia, które rzeczywiście było z podpisem "fot.WAF Jan Mierzanowski". Takich znajomych każdy fotoreporter ma mnóstwo, ale zapamiętać to wydarzenie może tylko fotografowany.



XXVI ~~25~~. A tu jest Warszawa

Dziś chodząc ulicami Warszawy trudno uwierzyć, że w 1945 zastałem ją całą w gruzach. Pamiętam jak Warszawa w okresie początkowym żywiłowo powracała do życia, mieszkało się wszędzie: w piwnicy, w norze, ale w "arszawie, ale u siebie. Rosłem razem z Warszawą, dokonując dokumentacji fotograficznej. Zmiany zachodziły niemal z dnia na dzień. Cały naród budował swoją stolicę, byłem świadkiem pierwszego przedstawienia na scenie Teatru Wielkiego, odbudowy Nowego Świata, Starego Miasta, Pałacu Łazienkowskiego, renowacji zniszczonych pomników i budowy Trasy W-Z, pomnika Bohaterów Warszawy, nowych osiedli mieszkaniowych i zakładów przemysłowych, Trasy Łazienkowskiej i odbudowy Zamku Królewskiego. Wszystko to dzieło polskich rąk pracy. Fotoreporterzy wykonywali tysiące zdjęć fotograficznych, które tworzą historię odbudowy stolicy, do której również przyłączam się i ja ze swoim skromnym archiwum.

Oglądając zdjęcia i rozpamiętując okres odbudowy, ten nadzwyczajny, jedyny w dziejach narodu czas zmartwychwstania miasta, widzi się to wszystko jako sen. Już zdążyłem przyzwycząć się do nowowypbudowanych dzielnic mieszkaniowych i miejsc upamiętniających bohaterskie czyny Polaków w walce z najeźdźcą hitlerowskim. Można śmiało powiedzieć, że powzięta decyzja odbudowy Warszawy była wielkim, a jakże trudnym zadaniem, które zawdzięcza się jedynie faktom, że tradycje rewolucyjne Polaków uczyniły ją bliską masom ludowym, dla których stało się oczywiste, że podźwignięcie z gruzów bohaterskiej stolicy musiało być dziełem całego narodu.



XXVII  Sport

Bardzo lubiłem zlecenie redakcyjne na zdjęcia sportowe, jednakże po wywołaniu materiału negatywowego byłem rozczarowany. Najbardziej fascynowała mnie piłka nożna, można tam było zająć miejsce blisko bramki i mieć zawsze w wizjerze aparatu fotograficznego obraz boiska. Przy fotografowaniu piłki nożnej czy też ręcznej używałem aparatu typu Leica z teleobiektywem z ogniskową 135 mm, dającym możliwość otrzymania 2,7 raza obraz większy od obiektywu standardowego. Wyczekując na specjalną sytuację podbramkową często zapominam, że mam w ręku aparat fotograficzny i naciskam na spust migawki niestety już po fakcie. Dlatego też należy zaznaczyć, że kibicowanie przy zdjęciach sportowych bardzo przeszkadza.

Moim ulubionym tematem zdjęć sportowych jest podpatrywanie zawodników w czasie treningów lub po zawodach. Będąc na Wojskowych Mistrzostwach Lekkoatletycznych we Wrocławiu zrobiłem w czasie biegu mistrza na 100 m majora Feryńca, ale to było normalne, sztapowe zdjęcie jak wiele innych.

Po ukończeniu biegów chodziłem za mistrzem i obserwowałem go, jego zachowanie, był spokojny i zadowolony z sukcesu. Relaksowo położył się na trawie, ja stałem niedaleko od strony nóg i właśnie wtedy przyszła mi myśl, aby właśnie tak go pokazać na fotografii. Sięgnąłem po szeroką obiektyw, wkręciłem do Leici zamiast teleobiektywu, przykucnąłem od strony nóg i miałem to co pragnąłem, że właśnie dzięki nogom major Feryniec został mistrzem. Ustawiając się ze swoim aparatem fotograficznym do zdjęć na wyścigach samochodowych, motorowych lub rowerowych, najbardziej odpowiednim miejscem dla mnie był zakręt, miałem tam na pierwszym planie główny motyw w pełnym ruchu, często nawet mógł być lekko poruszony,

a w perspektywie następnych zawodników i kibiców.

Fotografowanie sportów wodnych wymaga innych warunków, ponieważ wchodzi tu w grę woda, która daje duży efekt fotografując pod słońce.

Fotografując pod słońce nie zapomniałem nigdy o osłonie przeciwsłonecznej. Poza tym należało również brać pod uwagę wzmocnione oświetlenie odbitymi promieniami od wody. Do tych samych warunków fotografowanie stosowałem się przy sportach zimowych, gdzie na śniegu czy też na tafli lodowej pod słońce otrzymywałem wspaniałe obrazy, czego nie można powiedzieć przy oświetleniu przednim płaskim.

Jednakże tak jak we wszystkich zdjęciach fotograficznych, tak i w sportowych podstawową cechą jest zajęcie odpowiedniego punktu zdjęcia i ostrość obrazu. W pierwszym wypadku trzeba mieć dobrze wyrobiony refleks, aby wiedzieć, kiedy należy nacisnąć na spust migawki. W drugim wypadku ostrość należy ustawiać uprzednio przewidując, w którym miejscu może nastąpić efektowne wydarzenie, w przeciwnym razie ustawianie ostrości na bieżące znacznie opóźni uruchomienie migawki.

W czerwcu 1961 roku zwrócił się do mnie Zarząd ZMW, aby dla młodych nauczycieli wiejskich podczas wczaso-kursu zorganizować wykłady z dziedziny fotografii.

Wczaso-kursy odbywały się w różnych miejscowościach, trzeba było do każdej miejscowości zaangażować instruktora fotografii, sam podjąłem się prowadzić na obozie w Sopocie.

Przez dwa miesiące w trzech turnusach odwiedziłem obóz ponad 2.000 uczestników.

Były tam wykłady różnych specjalności twórczych i rozrywek kulturalnych. Fotografia miała jednak największe powodzenie. W każdym turnusie zgłaszało się nie mniej jak czterdzieści osób z którymi trzeba było wg programu przerobić materiał oraz na zakończenie urządzić wystawę prac wykonanych przez uczestników.

Pomieszczenie na laboratorium mieściło tylko 5-6 osób, więc po dokładnym poinstruowaniu zostawiałem grupę uczestników w laboratorium, a z resztą wędrowaliśmy, poszukując tematów do zdjęć. Jedynym utrudnieniem w pracy była deszczowa pogoda przez całe dwa miesiące. Jak nigdy, jak żadne lato w 1961 roku lipiec i sierpień - tylko deszcze i burze. Powstała myśl, aby właśnie główną tematyką był deszcz, mgła i burza. Ponieważ nauczyciele przyjeżdżali tu również na odpoczynek, nie każdemu chciało się wstawać rano, lub w deszcz pod parasolem dokonywać zdjęć, toteż, na tych najbardziej wścibskich, można było liczyć Ci właśnie porywali się nawet na dalsze wycieczki do Westerplatte i na Warmię Kaszubską, gdzie tematów do zdjęć nie brakowało nawet w dni deszczowe.

Należy zaznaczyć, że najbardziej aktywnymi okazały się Krystyna Grela - młodzieńka nauczycielka, przewodnicząca Koła ZMW z Boguszyca k/Cleśnicy, Henryka Różycka - także młodzieńka nauczycielka i działaczka ZMW w woj. katowickim, inż. Edward Bartos - nauczyciel największej szkoły PGR w Złochowicach k/Kłobucka. Wiktor Gola - nauczyciel i działacz 100 osobowego koła ZMW w Bziu Górnym k/Wodzisława.

Na zakończenie urządzono wystawę fotograficzną, na której dominował przeważnie krajobraz morski.

Pierwsze miejsce zajęła Hanna Panasiuk - nauczycielka z woj. łódzkiego, a drugie miejsce zdobył jej ojciec, nauczyciel Tadeusz Panasiuk.

Trzecie miejsce natomiast zdobyła Barbara Kulesza, nauczycielka z województwa ostrołęckiego, która wyjeżdżając na obóz do Sopotu pierwszy raz kupiła aparat fotograficzny.



Po powrocie z obozu szkoleniowego w Sopocie postanowiłem zmienić swój zawód fotoreportera na filmowca.

Z dziedziną realizacji filmów byłem już zapoznany dosyć szczegółowo pracując na terenie Klubu Filmowego wąskiej taśmy.

12 października 1961 roku rozpoczynam pracę w Wytwórni Filmowej "Czołówka", początkowo jako asystent operatora Adolfa Forberta, a następnie samodzielnie realizuję filmy dokumentalne dla potrzeb Zarządu Głównego Inspektoratu Szkolenia MON.

Nowa dziedzina twórczości zainteresowała mnie nie mniej jak fotografia. Jesienią 1963 roku powierzono mi funkcję społeczną wiceprezesa Warszawskiego Towarzystwa Fotograficznego oraz opiekuna sekcji filmowej, gdzie w roku 1967 otrzymuję nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za działalność kulturalną. Z każdym dniem szerzą się szeregi fotoamatorów, prawie w każdej rodzinie można znaleźć aparat fotograficzny. Powstała konieczność stworzenia zawodu instruktora fotografii i filmu.

W roku 1969 zostaję wybrany prezesem klubu instruktora fotografii i filmu przy Stołecznym Domu Kultury, gdzie za pośrednictwem Ministerstwa Kultury i Sztuki zostaję weryfikowani instruktorzy już prowadzący zespoły fotoamatorów, a następnie zorganizowano szkolenia nowych instruktorów i punktu konsultacyjnego dla wszystkich interesujących się fotografią i filmem.

Przynależność moja do klubu filmowego "Sawa" umożliwia mi również realizację krótkometrażowych filmów publicystycznych za które na przeglądzie filmów amatorskich Mazowsza otrzymuję w roku 1974 nagrodę II stopnia za film pt. "Planowy urlop".

Zanim przystąpi się do realizacji filmu koniecznym jest opracować scenariusz, a następnie szczegółowy scenopis, nad którym prowadzi się szeroką dyskusję wśród twórców i wreszcie po wyciągnięciu wniosków z uwag kolegów przystępuje się do realizowania swoich zamierzeń.

Temat powstał pod tytułem "Planowany urlop", jako miejsce realizacji wybrałem Podhalańską Brygadę WOP w Nowym Sączu. Na dokumentację wyjechałem sam. Dowództwo Podhalańskiej Brygady przyjęło mnie bardzo serdecznie i gościnnie. Po dłuższej naradzie i przedstawieniu moich zamierzeń posypały się rozkazy. Pierwszy telefon do majora Basty, któremu powierzono

konsultację pod względem merytorycznym i opiekę nad naszą ekipą, która ma przyjechać dopiero za dwa dni.

Załatwiono kwaterę, wyżywienie i umundurowanie dla głównego bohatera. Następnie wyjechaliśmy z majorem Bastą w teren, aby ustalić miejsce pleneru. Wiele obejrzeliśmy i już prawie byłem zdecydowany przenieść akcję w rejon Zakopanego, ale na horyzoncie wyłoniło się gospodarstwo wiejskie właśnie takie o jakim marzyłem. Po powrocie do Nowego Sącza splądrowałem w jednostce wszystkie świetlice, izby żołnierskie, a nawet areszt. Dobrałem odpowiednią ilość statystów i odpowiednią scenerię.

Po przybyciu ekipy z Warszawy, Marysia - Ela Rudzińska, Tadek - odtwórca głównej roli - Jerzy Piluchowski, matka Tadka - Janina Żak, ojciec Tadka - Tadeusz Skałowski, jednocześnie pełniąc funkcję kierownika produkcji filmu.

Pomimo tego, że Tadek już dwa razy podcinał sobie włosy przed wyjazdem major Basta kazał, przed umundurowaniem odwiedzić fryzjera i doprowadzić do porządku włosy, aby wyglądać na żołnierza.

Pierwszy klaps odbył się w kasynie oficerskim. Wzbudziło to wiele sensacji, bo po chwili prowadzono już naszego bohatera filmu do aresztu. Niestety takie jest życie żołnierza. Przed chwilą otrzymał kartę urlopową, już był jedną nogą w domu, już marzył jak Marysia rzuca mu się w objęcia; a na chwilę zapomniał że jest w Wojsku, że nosi zaszczytny mundur i zachował się nie - zgodnie z regulaminem. Na drugi dzień praca ekipy przeniosła się w plener. Był to dzień dosyć owocny, pełen emocji i w pewnym stopniu zawiedzionych nadziei, którą sprawiła nam pogoda.

Wyjechaliśmy w plener skoro świt mikrobusem wojskowym w towarzystwie majora Basty. Po drodze zdobyliśmy rekwizyty dla Marysi i ojca Tadka.

W zagrodzie ojca we wsi Gorkowice Górne u rzeczywistych właścicieli pana Cebuli zagospodarowaliśmy się na dobre. Wkroczenie w ubiory góralskie wymagało poważnych zabiegów siłowych, gdyż portki góralskie dla ojca były za wąskie, a buty Marysi za małe.

Strój Marysi ślicznie haftowany, ale tak zimny, że biedaczka tak trzęsła się jak osika. Przy stole suto zastawionym przez p. Cebulę dokonano serii ujęć filmowych z akcji rozgrywającej się w mieszkaniu rodziców Tadka.

Cały zespół pilnie nasłuchiwał czy po zatrzymaniu się kamery powiem "kupiłem to ujęcie". Jeśli ten wyraz nie padł to znaczyło, że ujęcie będę powtarzał jeszcze raz i tak aż do skutku.

Niektóre ujęcia były "kupione" za pierwszym razem, a niektóre trzeba było powtarzać pięć, sześć a nawet osiem razy.

W czasie zdjęć udawanie jedzenia przeszło w nawyk, gdyż kiełbasa chłopska, czysto wieprzowa, wspaniale wędzona zniknęła migiem ze stołu, a ciastka poszły za śladem kiełbasy przy kawie. W tej sytuacji kierownik produkcji, a zarazem ojciec Tadka był w kłopotcie i czuł się w obowiązku zorganizować parę wianków kiełbasy chłopskiej, aby gospodarze nie byli poszkodowani i wyruszył z dziesięcioletnim statystą na poszukiwanie w teren. Po żmudnych zabiegach wrócił ... z kiszka kaszaną. Parę wytropionych świnio-  
bić i ich produkty były z góry przeznaczone dla gości weselnych. Tylko pół dnia pracowaliśmy, ale rzetelnie wykorzystując do maksimum możliwości wewnątrz. W dzień pochmurny i ~~ciężki~~ dżysty o zdjęciach plenerowych mowy być nie mogło.

W strugach deszczu wróciliśmy do kwatery głównej świadomi porzekadła, że na pogodę nie narzeka się, na pogpde (czeka się)

Trzeci i ostatni dzień, który przewidziany był planem pobytu ekipy w Nowym Sączu powitał nas zachmurzeniem umiarkowanym z przejaśnieniami, wiatrami z kierunków zmiennych i temperaturą ciut powyżej zera.



Raz jeszcze przypuszczamy atak do wiejskich plenerów we wsi Gałkowice. Zdobywamy pierwszą linię i kręcimy. Film na szczęście czarno-biały, co daje nam pewność, że sinawy odcień twarzy aktorów będzie co najmniej imitował opaleniznę.

Wstrząsające nimi dreszcze łatwo można wytłumaczyć wibracjami sejsmicznymi. Co prawda nie było ich w Polsce, ale kiedyś przecież mogą się zacząć.

Marysia nasza nadrabiała miną, ale kto żyw zaraz po umknięciu z planu w pośpiechu wrzucał na siebie każdą napotkaną sztukę odzieży. Dzielnie ekipa przetrwała kilka godzin o głodzie i chłódzie, gdy nagle...

Od samego wspomnienia tego okropnego momentu stawiała nam włosy na głowach. Kamera stanęła na mur. Wszelkie rękoczynny dokonywane na niej wg rad całej ekipy <sup>nie</sup> dały pozytywnych efektów.

Dusze nasze zalała fala przerażenia. Co teraz będzie?

Po naradzie z majorem Bastą zdecydowano jechać do Nowego Targu. Zdjęcia musimy przerwać, stroje oddać, rozpacz w kratkę zachować dla siebie.

W Nowym Targu dołączył do nas nowy aktor pies "Hamlet" z uroczym przewodnikiem. Przez to w samochodzie zrobiło się ciaśniej i cieplej.

Zahaczono o Zakopane, a w rzeczywistości o kasyno na ulicy Kościuszki skąd pojechaliśmy do Łysej Polany. Na strażnicy <sup>już nas oczekiwano,</sup> ~~przyjęto nas serdecznie,~~ wiele było radości i krzyku, po czym mogliśmy się zająć naszymi kłopotami.

Rozkręciłem kamerę na drobny maczek, obawiałem się tylko, aby po złożeniu nie zostało mi części na aparat fotograficzny, ale udało się zmieścić do pudełka wszystko i ... kamera zaczęła chodzić.

Jeszcze tego samego dnia po kolacji przewróciliśmy dla potrzeb filmu połowę strażnicy, <sup>i</sup> ~~ale~~ nakręciliśmy wszystkie wnętrza. Dzień został pracowicie skończony z nadzieją o dobrych efektach na taśmie. Postanowiliśmy przedłużyć pobyt o jeden dzień, aby następnego dnia zakończyć zdjęcia <sup>plenerowe.</sup> ~~do filmu.~~

Nazajutrz rano kręcimy scenę na dziedzińcu strażnicy. Tyle było tu przymierzania, prób, poprawek. Gdy zaczęło się robić "na ostro" kamera obraziała się w połowie ujęcia, przyprawiając całą ekipę wraz z wojskiem o nerwowe drgawki. Przesympatyczny dowódca strażnicy rzekł najpierw coś z polskiej łaciny, a następnie "niechaj żywi nie tracą nadziei..." po czym zakomunikował, że zna kogoś kto ma kolegę, który ma taką samą kamerę. Decyzja krótka, szybko i sprawnie zorganizowaliśmy wyjazd do Zakopanego szukać człowieka z kamerą. Spędziliśmy kilka godzin na poszukiwaniach i oczekiwaniach, ale człowiek ów z kamerą przepadł jak kamień w wodę. Najgorsze było to, że do tego kamienia przywiązana była kamera mogąca nas uratować. Po obiedzie "kamerze" zrobiło się ciepłej na duszy, więc zdecydowaliśmy się jechać w plener i nakręcić ile się da. Jednocześnie ustalono że kamerę trzeba trzymać w miarę możliwości w ciepłe.

Pojechaliśmy do lasu. Śnieg był po kolana, ślisko jak w zanieczyszczonej, za przeproszeniem, oborze. Przemytncicy przekraczają granicę, dzielny patrol z psem ich gonił, przy okazji co poniektórzy doznają kontuzji w ferworze walki.

Kamera chodzi jak złoto. Ale do czasu. W pewnym momencie znów odmawia posłuszeństwa. Najcieplejszym miejscem w promieniu kilometra jest popiersie Marysi, tam też wędruje kamera. Po pewnym czasie decydujemy się ją wyjąć i kopnąć. Chodzi ! Robimy kolejne ujęcie. Znów stoi !

Zaczynam podejrzewać, że ta kamera to samiec. /Krasnogorsk/. Wyraźnie podoba mu się grzanie intymną częścią ciała kobiecego. Kilkakrotnie powtarzaliśmy zabieg, ale zaczęło dochodzić do tego, że czas grzania do czasu kręcenia stale się zwiększa. Wracamy do strażnicy, by resztę dnia spędzić na rozrywkach. Zrobiono podsumowanie, odfajkowano wykonane ujęcia, zostało niewiele, ale tego dnia musimy opuścić strażnicę i udać się do Warszawy. Po wywołaniu negatywu obrazu i wykonaniu kopii roboczej trzeba było jeszcze wykonać kilka przebitek i zbliżeń do czego posłużył nam plener parku Bielańskiego.

Tych kilka wspólnie przeżytych dni było niezapomnianą przygodą dla każdego z nas, a gdyby nie kaprysy martwych przedmiotów przedsięwzięcia pod względem organizacyjnym były wspaniałe. *W tym czasie moja najmłodsza córka Małgorzata wychodzi zamąż za serba Miodraga Petroviča i wyjazd ~~Małgorzaty~~ do Beogradu pozostawił w domu pustkę i tęsknotę,* więc postanowiłem i ja ~~zrobić się~~ jeszcze raz i ~~jużowe~~ raz spróbować szczęścia.

XXIV

*Do trzech razy sztuka.*

Barbarę poznałem jeszcze w maju 1973 roku, było to zupełnie przypadkowe spotkanie u reżysera Przemysława Borkowskiego, który później został moim szwagrem. Jak okazało się, Barbara była rozwódką po nieudanym małżeństwie z Danielem Kowalcukiem, za to pozostawił jej bardzo udaną córeczkę Ewę. Barbara była moim marzeniem, właśnie taką o której marzyłem od wielu lat. Już po pierwszym spotkaniu zaprzyjaźniliśmy się, a po wyjeździe córki *na Koloniz* doszliśmy do wspólnego mianownika, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby zamieszkać razem. Dnia 23 stycznia 1975 roku przed urzędnikiem Stanu Cywilnego Paramonowym już składaliśmy przysięgę o wierność małżeńską.

Mieszkanie, które zajmowałem przy ulicy Szczęśliwickiej 29 i mieszkanie Barbary przy ulicy Marchlewskiego 23 zamieniliśmy na dwupokojowe przy ulicy Gen. Zajączka 1.



Latem tego samego roku w czasie urlopu wybraliśmy się we trójkę w odwiedziny do Małgosi, gdzie spędziliśmy dwa tygodnie w Beogradzie, a następne dwa tygodnie nad Adriatykiem w Dubrowniku.

Należy stwierdzić, że ze wszystkich wyjazdów w kraju i za granicą nie ma piękniejszego krajobrazu jak w podróży pociągiem z Beogradu do Dubrownika. Po drodze 202 tunele wykute w skałach, a po każdym tunelu inny koloryt przyrody, podnóża i szczytów gór i wreszcie lazurowa tafla spokojnego Adriatyku wzdłuż którego ciągnie się magistrala Jadrńska od Triestu aż do granic Albanii. Oczywiście aparaty moje pracowały bez oddechu. Dokonałem mnóstwo zdjęć fotograficznych i barwnych slajdów, które ciągle przypominają nam tamte lato i przygody.

W następnym roku wczasy spędziliśmy w Bieszczadach, a w 1977 roku za resztę moich oszczędności z czasów kawalerskich, wybraliśmy się znowu całą trójką do Jałty.

Podróż z Warszawy do Kijowa mieliśmy wspaniałą, ale w Kijowie przesiedliśmy się do miejscowego pociągu w kierunku Semferopola, to już nie było to samo, ale dojechaliśmy szczęśliwie i wspaniale spędziliśmy trzy tygodnie nad Morzem Czarnym.

Dużą satysfakcją był pokaz moich filmów zrealizowanych w czasie poprzedniego pobytu pt. "Sanatoria Jałty" i "Kramskie wina". W sali widowiskowej sanatorium im. Siemaszki zebrały się delegacje sanatoriów z lekarzem naczelnym, delegacja Centralnego Zarządu przemysłu winiarskiego "Maharadz" z dyrektorem Pawłem Hołodrygą, redaktor telewizji Semferopol Halina Supruniuk. Moje przybycie powitała orkiestra i wręczono mi wiązanke kwiatów, a na zakończenie poproszono do sali prób wina, gdzie z kilkudziesięciu gatunków najbardziej smakowało mi wino Muskat z czerwonego kamienia pro-

dukcji fabryki "Salamandra". Wina tego gatunku można znaleźć tylko na przyjęciach dyplomatycznych w Moskwie, ale mnie pokazano wystawie. Wręczono mi komplet w specjalnym opakowaniu trzy butelki wina ~~z~~ Muskat z czerwonego kamienia i komplet miniaturki wszystkich gatunków "Salamandy"

Nasi znajomi Tamara i Klemens Sawiccy u których zatrzymaliśmy się bardzo serdecznie nas gościli, umożliwiając nam jednocześnie zwiedzanie wielu zabytków jak: Zamek Lewadia, który w 1869 roku był własnością Potockich, w tymże pałacu w 1945 roku odbyła się konferencja jałtańska Trzech Wielkich Mocarstw.

Przepiękny w bogactwa roślinności 200 hektarowy Nikitinski ogród botaniczny, muzeum Czechowa, Gniazdo Jaskółcze usytuowane na szczycie gór i wiele innych niezapomnianych wrażeń pozostało w pamięci i na zdjęciach fotograficznych.

Następny wyjazd był w roku 1978 wczesną wiosną, ponieważ przypadała w tym roku 50 rocznica kiedy poszedłem do pierwszej klasy szkoły wiejskiej. Moim celem było odwiedzić szkołę oraz w drodze powrotnej dokonać zdjęć w Skałacie wiejskim, koło Tarnopola, gdzie brałem udział na pierwszej linii frontu w 1944 r. Kiedy zgłosiłem się do szkoły i przedstawiłem się kierownikowi szkoły kim jestem, zarządzono ogólną zbiórkę szkoły i powitano mnie bardzo serdecznie. Po dokonaniu kilku pamiątkowych zdjęć zaproszono mnie na szkolny obiad, gdzie jedna z kucharek poprosiła aby dokonać zdjęcia personelowi kuchennemu.

W czasie fotografowania dowiedziałem się, że tam również pracuje moja chrześnica, którą poznałem poprzednim razem na weselu, ale ~~nie była~~ w pracy <sup>jej</sup> tego dnia nie było, ponieważ miała w domu pranie.

W powrotnej drodze odwiedziłem swoją chrześnicę w domu, jak okazało się, nie było to pranie, ale pędzenie bimbru. Zapytałem, gdzie jest mąż, odpowiedziała ze spokojem, że jest na odwykówce i to mnie bardzo zaintrygowało - mąż na odwykówce, a żona pędzi bimber, ale podobno za bimber sąsiedzi pomagali jej w gospodarce co było koniecznym aby istnieć.

Będąc w biurze meldunkowym w Winnicy, aby zgłosić swój wyjazd ~~złodziłem~~ <sup>powiedziałem</sup>, że w czasie przejazdu przez Tarnopol będę chciał zatrzymać się na dwa-trzy dni, aby dokonać zdjęć w Skałacie Wielkim. Milicjant prowadzący meldunki powiedział, że w żadnym wypadku nie wolno zatrzymywać się w Tarnopolu. Zacząłem tłumaczyć jak dużą wartość przedstawiają te zdjęcia, a poza tym mam tam przyjaciela którego chciałbym odwiedzić. Po długim namyśle, powiedział mi - proszę napisać podanie, może komisja rozpatrzy waszą prośbę i zezwoli.

W Winnicy na emelaku kaboletku podzieleno gości z nami, gdzie rozmawiano w 1981 roku napisano ojez pitez Nikitinski aby po powrocie do waszemu zorganizować temu symbolicznemu pogrzeb i grob na omlawitaku kowunna budyku.



Chciałem napisać od ręki, ale milicjant twierdził, abym poszedł na kwaterę, napisał i po południu przyniósł. Tak zrobiłem, jak mi zalecono. Napisałem na całą stronę maszynopisu podanie, wyjaśniając i uzasadniając swój cel i w godzinach popołudniowych zgłosiłem się znowu w biurze meldunkowym. Milicjant przeczytał moje podanie, pomyślał i powiedział, skoro tylko na dwa-trzy dni to możecie zatrzymać się bez zezwolenia, tylko napiszcie waszemu przyjacielowi, aby po was wyszedł na dworzec, aby nie kręcić się po mieście samemu.

Dojechałem do Tarnopola, wysiadłem i taksówką pojechałem do kolegi bez żadnego uprzedzenia. Okazało się, że pracował on w Radzie Miejskiej i na drugi dzień załatwił samochód, aby wyjechać do Skałatu Wielkiego na zdjęcia.

Po tygodniu wyruszyłem w dalszą drogę, mając ze sobą tylko niewielki neseser ze zmianą bielizny i rzeczy osobiste.

Na granicy celnik radziecki przewertował cały neseser, obejrzał dokładnie każdą rzecz i wreszcie zapytał, a złota pan nie wiezie? - odpowiedziałem, że to co wiozłem w tamtą stronę to i z powrotem wiozę. Kazał mi zdjąć obrączkę, <sup>oglądał</sup> jakby pierwszy raz widział obrączkę, wreszcie wyjaśniłem mu, że tam jest wyryta data ślubu, wtedy dopiero oddał mi obrączkę i kazał iść za nim.

Zaprowadzono mnie do specjalnego pokoiku, kazano wszystko powyjmować z kieszeni i usiąść na specjalne krzesło, a po zbadaniu prawie wypchnął mnie z pokoiku.

Spojrzałem na niego, ale tylko pomyślałem: kultury to ty nie masz za grosz i wróciłem do wagonu aby <sup>zaparkować</sup> ~~zapełnić~~ mój neseser.



Już przed naszą erą ludzie pierwotni rysowali obrazki pojedyncze, a następnie serię, co były niczym innym jak malowanym reportażem, który służył jako informacja.

Grecki reportaż obrazkowy przedstawiający pracę rolników. Proces powielania i rozpowszechniania wynaleziono później, który przybierał różne formy.

Na początku drzeworyty, miedzioryty i litografia.

Fotografia wkroczyła na łamy prasy początkowo za pośrednictwem drzeworytów, a później klisz cynkowych. W Polsce pierwsze nazwiska w prasie pod zdjęciami pojawiają się w 1900 roku Karol Beyer, Jan Mieczkowski, Eleonora Głowacka, Janina Golcz oraz słynne zdjęcia Zawiszy "Pochód szkółek miejskich" na rynku Krakowskim. 1-go grudnia 1910 roku Fuks otwiera pierwszą Polską Agencję Fotograficzną. W latach 1918 - 1925 w czasie gdy na rynku pojawia się mnóstwo różnych fotoaparatów, a między innymi mało-obrazkowy aparat typu "Leica" na taśmę filmową, rozwija się również na skalę światową fotografia dla celów prasowych.

W dzisiejszych czasach trudno sobie wyobrazić wydawnictwo,

które nie korzystało<sup>by</sup> ze zdjęć fotograficznych dokonanych przez własnego fotoreportera lub fotoreporterów ~~Własnych~~<sup>agencji</sup>.

Współczesny reportaż to przede wszystkim prawdziwie oddany charakter wydarzenia, a warunkiem jego aktualności jest nie to co było i nie to co będzie lecz to co jest, w przeciwnym wypadku to co dzieje się dziś, jutro może być nieaktualne.

Aby osiągnąć te wymagania fotoreporter powinien być nie tylko dobrym technikiem i laborantem, a również powinna go cechować kondycja fizyczna, śmiałość, reflex i szybka decyzja oraz zdrowy rozsądek, talent dziennikarski i spojrzenie intelektualne. Wtedy zdjęcia jego zawsze będą aktualne o dobrych walorach kompozycyjnych i wysokiej treści ideologicznej tak, aby nie było rozbieżności myślenia twórcy i odbiorcy.

Ważnym zadaniem fotoreportera jest, aby zdjęcia jego przedstawiały cenny i ciekawy materiał ilustracyjny.

Każde wydarzenie, na które przbywa<sup>y</sup> fotoreporter ma swój punkt kulminacyjny, który należy zadokumentować na zdjęciu, kiedy nastąpi ten punkt może orientować się tylko rutynowany fotoreporter, który robi to zupełnie automatycznie. Jednakże i w tym wypadku należy być ostrożnym, aby nie było to rutynowe zdjęcie do danego wydarzenia. Na przykład wykonane zdjęcia: przecięcia wstęgi i w czasie otwarcia wystawy.

Dlatego też fotoreporter powinien szukać każdorazowo nowego punktu ujęcia i nowych form pokazania wydarzenia.

Wielkim wydarzeniem zwrotnym w fotografii reportażowej była wystawa "The family of Man", która odzwierciedliła życie ludzi i ich środowiska tak naturalnie, że wzbudziła szerokie zainteresowanie na całym świecie.

Fotoreporter jak wynika z samego tytułu oprócz robienia zdjęć

powinien prowadzić notatki dotyczące wydarzeń, aby oddając swoje zdjęcia do redakcji, dodać do nich szczegółowy tekst informacyjny.

Każde zdjęcie wykonane przez fotoamatora, fotoreportera czy też przez fotografika powinno być zrozumiałe i czytelne dla odbiorcy. A oto słowa znanego fotografika Leonarda Sempolińskiego "Uważam, że fotografia wiele straciła ze swojej roli na rzecz filmu i telewizji. Zawsze cenilem nowość i nowoczesność pod warunkiem, że to nowe i nowoczesne będzie lepsze od starego. A przecież niezrozumiałość w fotografii wiąże się dość często z tym co przyjęto nazywać awangardą. Kiedy widzę wyeksponowany, intymny szczegół aktu kobiecego, a powiększony do bardzo wielkich rozmiarów, to nieraz pytam - komu to potrzebne".

/ Magazyn Foto Nr 1 - 1977 r./

Z tego wniosek, że fotografia prasowa służąca w postaci jednego informacyjnego zdjęcia czy też jako cały fotoreportaż powinna odpowiadać rzeczywistości i nie odbiegać od tradycyjnej techniki fotografowania, z tym, że powinna dominować indywidualność w ujęciach każdego fotoreportera.

Jan Kosidowski pisząc o fotoreporterach powołuje się na cytata królowej holenderskiej, którą zapytano co sądzi o fotoreporterach - odpowiedziała : "Fotoreporterzy to po prostu banda małp".  
- To prawda. Fotoreportera można zobaczyć nie tylko na oficjalnych uroczystościach, ale przy poszukiwaniu tematu i wyszukanego ujęcia często fotoreporter przyjmuje niezwykle pozycje. Aby na zdjęciu pokazać więcej majestatyczności fotografując z pozycji żabiej fotoreporter zmuszony jest często szukać jakiegoś wykopu lub po prostu położyć się na ziemi.

Robiąc zdjęcie z pozycji lotu ptaka koniecznym jest wznieść się na podwyższenie w zależności od twórczego zamysłu fotorepor-



tera, może to być stołek czy też po prostu ramiona kolegi, przy większych ogólnych planach można wykorzystać samochody, dźwigi, balkony i dachy budynków.

Najwygodniej fotografować ogólne plany miast z kabiny samolotu lub śmigłowca. Fotoreporterów również często spotykają pochlebne opinie oraz podziw odwagi i refleksu. Jednakże najczęściej traktuje się ich jako zło konieczne. Często bywa i tak, że fotoreportera po prostu wyrzuca się i zamyka się przed nim drzwi, ale to nie usprawiedliwia go i wtedy każde wejście jest dobre, okno, strych, czy też inny sposób używając przy tym różnych forteli aby dostać się do obiektu zdjęcia i wykonać zamierzony cel. Jedynym atutem fotoreportera jest to, że fotografia nie kłamie, a powtórzyć tego samego ujęcia już nigdy nie da się.

Jak mówi polskie porzekadło, że "szewc zawsze chodzi bez butów", ale mnie udało się zdobyć kilka zdjęć na których zadokumentowano mnie podczas wykonywania zawodu.

Jedno z ostatnich zdjęć wykonałem na obozie harcerskim w Pieninach. Wyszedłem rano o piątej, aby określić pogodę przed wyjściem na wycieczkę fotograficzną z moimi podopiecznymi. Na trawie była poranna, siarczasta rosa, a od drzew padały długie cienie. Aparat fotograficzny zabrałem automatycznie. Zacząłem rozglądać się i przymierzać do zdjęć, od czasu do czasu naciskając na spust migawki. Wykonałem kilka zdjęć drzew, pni, gałązek i nagle w plan wszedł mi własny cień, na tle zroszonej trawy, sfotografowałem i nazwałem to zdjęcie autoportretem."

XXXVI  
Za zasługi

W roku 1944 kiedy zostałem mianowany fotoreporterem Centralnego Organu W.P. "Polska Zbrojna" miałem zaledwie 23 lata, od 1947 roku po zorganizowaniu Wojskowej Agencji Fotograficznej pracuję jako starszy fotoreporter, a następnie w 1961 roku zmieniam zawód na realizatora filmów dokumentalnych Wytwórni Filmowej "Czołowiek". Cały czas pracuję dla posterunku Wojska Polskiego ~~o~~ nie licząc pracy społecznej jako instruktor fotografii i filmu przy Warszawskim Towarzystwie Fotograficznym i dwulicowym Domach Kultury.

153

I wreszcie organizacja własnego muzeum fotograficznego w zbiorach którego posiadam już dziś ponad 650 eksponatów aparatów fotograficznych i sprzętu pomocniczego od kamery turystycznej 18x24 cm z końca XIX wieku do nowoczesnego, amatorskiego fotoaparatu produkcji japońskiej "TRAVELER" na taśmę 16mm. Poza tym posiadam około 2.000 tomów podręczników i wydawnictw fotograficznych oraz ponad 3.000 negatywów służących jako pomoc naukowa do szkolenia młodych adeptów sztuki fotograficznej.

*Darowkiem moim jest archiwum zdjęć fotograficznych historycznego powstania ~~Wojska Polskiego~~ Wojska Polskiego, wydanie książek fachowych z dziedziny fotografii "Poradnik Fotograf Wojskowego", "Fotoinstruktor", "Historia aparatu fotograficznego", "36 tablic poglądowych do szkolenia fotoamatorów" i cykl artykułów w rubryce "Fotografia hobby milionów" w dzienniku "Słowo Powszechne". Ponadto zaprojektowanie znaczka instruktora fotografii i filmu oraz realizowanie 100 filmów dokumentalnych.*

Podsumowując lata żmudnej pracy zastanawiam się co zrobiłem przez te lata mojego życia. Co pozostawiam po sobie jako dowód mojego istnienia i stwierdzam, że niewiele, a mógłbym dużo więcej, gdyby nie obiektywne przyczyny. Ale to już historia, zmienił się stan osobowy Centralnego Organu WP, Wojskowej Agencji Fotograficznej i WF "Czołówka", stara generacja <sup>na zastużony odpoczynek</sup> odeszła, ich miejsca zajęli młodzi, pełni inicjatywy twórczej i zapału do pracy. W naszej pamięci pozostały wspomnienia, a dla naszych wnuków książki i albumy, w których reprodukowane są historyczne zdjęcia z tamtych ciężkich czasów i dni.

Rok 1991 będzie dla mnie rokiem wyjątkowym, ponieważ kończę w tym roku 70 lat mojego istnienia i jako kombatant II wojny światowej jestem na zasłużonym odpoczynku. Nie jest to zbyt miła uroczystość, ale takie prawa natury, że trzeba ustąpić miejsca młodszemu. Tak się złożyło, że w tym właśnie roku zbiegło się kilka moich jubileuszów, a mianowicie:

- 70 lat od dnia urodzenia,
- 60 lat od dokonania przeze mnie pierwszego zdjęcia,
- 50 lat od ukazania się pierwszego mojego zdjęcia w prasie,
- 40 lat od rozpoczęcia pracy jako instruktor fotografii i filmu
- 30 lat od rozpoczęcia pracy jako reżyser filmów dokumentalnych
- 20 lat od pierwszego pokazu mojego muzeum fotograficznego,
- 10 lat jako emeryt wojskowy.

Za wieloletnią pracę i upowszechnienie fotografii i filmu przyznano mi stopień majora ~~Wojska Polskiego~~ Wojska Polskiego,

Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski,

Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi,

Brazowy i Srebrny Medal Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny,

Brazowy, Srebrny i Złoty Medal Za Zasługi dla Obronności Kraju,

Odnaka Zasłużonego Działacza Kultury,

Srebrny Medal Za Zasługi Dla Pożarnictwa,

Medal Zwycięstwa,

Medal Za Warszawę,

Medal Za Odrę, Nysę, i Bałtyk,

Odnakę Grunwaldzką,

*w uznaniu zasług dla rozwoju i upowszechnienia fotografii*  
Medal XXXX lecia ZPAF, i medal 150 lecia fotografii.

oraz wiele <sup>nagród i</sup> dyplomów uznania.

Jan Mierzanowski